

Tarzan i złoty lew

Burroughs Edgar Rice

Książka IX z Tarzan



calibre 0.9.43

Edgar Rice Burroughs

Złoty lew

PRZYGODY TARZANA CZŁOWIEKA LEŚNEGO CZĘŚĆ IX
tłumaczył Władysław Kierst

Rozdział I

Złoty Lew

Sabor, lwica, karmiła swe małe — nastroszoną kulkę, centkowaną jak lampart. Leżała na słońcu przed jaskinią skalną, służącą jej za legowisko, wyciągnięta na boku z na pół przymkniętymi oczami. Ale miała się na bacności. Z początku były trzy takie nastroszone kulki — dwie córki i syn. Sabor i Numa pysznili się nimi; byli dumni i szczęśliwi. Ale mało było wówczas zwierzyny. Źle odżywiana Sabor nie miała dosyć mleka, by należycie wykarmić troje tęgich małych, potem przyszły zimne deszcze i maleństwa zachorowały. Najsilniejsze pozostało przy życiu — dwie córki zmarły. Sabor, chodząc tam i na powrót obok żalosnych szczątków, szlochała i jęczała. Obwąchiwała je, jak gdyby chciała obudzić je z długiego snu, nie znajdującego przebudzenia. Porzuciła wreszcie te wysiłki i całe swe dzikie serce oddała maleńkiemu samczykowi, który jej pozostał. Dlatego właśnie Sabor miała się więcej, niż zazwyczaj, na bacności.

Numa, lew, był nieobecny. Przed dwiema nocami upolował zdobycz i przyciągnął ją do legowiska. Ubiegłej nocy znowu wyszedł na łowy i dotychczas nie powrócił. Sabor, na pół drzemiąc, myślała o tłustej antylopie, którą jej wspaniały małżonek ciągnie poprzez dżunglę. A może to Pacco, zebra, najulubiejsza potrawa lwów — soczysta Pacco — Sabor ślinka szła z ust.

Ach, co to? Cień jakiegoś dźwięku dotarł do jej bystrych uszu. Podniosła głowę, przechylając ją, to na jedną, to na drugą stronę, jak gdyby nastroszonymi uszami usiłowała pochwycić najłżejsze powtórzenie tego, co ją zaniepokoiło. Nosem węszyła w powietrzu. Był leciuchny tylko wietrzyk, ale to, co w nim wyczuła, poruszało się w jej kierunku stamtąd, skąd dochodził dźwięk. Dźwięk ten wciąż słyszała, z lekka się wzmagający. Dowodziło to, że coś, co go sprawiało, zbliżało się do niej. W miarę zbliżania odgłosu, wzrastał jej niepokój. Przewróciła się na brzuch, przerywając malcowi ssanie. Ten zaczął objawiać swe niezadowolenie miniaturowym warczeniem. Lwica nakazała mu milczenie niskim, swarliwym warknięciem. Malec stanął u jej boku, spojrzał najpierw na matkę, potem w kierunku, w którym jej wzrok był zwrócony, i zaczął kręcić główką to w jedną, to w drugą stronę. Widocznie w dźwięku dosłyszonym było coś niepokojącego, chociaż, jak dotąd, nie była pewna, czy wróży on coś złego. Mógł to być jej pan, powracający z łowów. Ale to nie brzmiało jak poruszenia lwa, zwłaszcza lwa, ciągnącego ciężką zdobycz. Spojrzała na swe małe i żałośnie zaszlochała. Wiecznie była w strachu, że jakieś niebezpieczeństwo mu zagraża — temu ostatniemu z rodu. Ale ona, Sabor–lwica, była tu, by go bronić.

Wietrzyk przyniósł jej woń tego, co się ku niej zbliżało. Stroskane oblicze matczyne przeobraziło się natychmiast w maskę dzikiej wściekłości o roziskrzonych oczach i obnażonych kłach, gdyż woń, przywiana do niej z dżungli, była wonią znieprawionego człowieka. Podniosła się, opuściła głowę, nerwowo zamachała ogonem. Małemu nakazała lec i pozostać na miejscu do swego powrotu i cicho a szybko ruszyła na spotkanie intruza.

Malec usłyszał to samo, co usłyszała matka, a teraz poczuł woń człowieka — nieznaną woń, która

nigdy jeszcze nie dotarła do jego nozdrzy. A jednak poznał od razu, że to woń wroga i zareagował na nią tak jak lwica, stosząc sierść na swym małym grzbiecie i obnażając drobne kły. Nie zważając na nakaz matki, pospieszył za nią, kołysząc się na tylnych łapkach, co stanowiło zabawny kontrast z pełnymi godności ruchami przednich łap. Lwica, zajęta tym, co ją zaniepokoiło, nie wiedziała, że malec poszedł za nią.

Na jakie sto łokci przed nimi była gęsta dżungla, w której lwy wyłłobiły ścieżkę do swego legowiska. Dalej znajdowała się mała polanka, przez którą przebiegał dobrze wydeptany trop leśny. Sabor, dosięgnąwszy polanki, ujrzała na niej przedmiot swej trwogi i nienawiści. A jeśli człowiek nie polował bynajmniej na nią i jej rodzinę? Jeśli nawet nie przeczuwał ich obecności? Nic to dziś nie obchodzi Sabor–lwicy. Kiedy indziej dałaby mu przejść spokojnie o ile by się nadto nie zbliżył, zagrażając małemu, lub gdyby była bezdziejna, usunęłaby się za jego zbliżeniem. Jedno tylko pozostało jej maleństwo. Jej instynkt macierzyński potrójnie skupił się na tym jednym z trojga jej pozostałym. Nie czekała, by człowiek zagroził bezpieczeństwu jej dziecka, lecz ruszyła na jego spotkanie. Łagodna matka stała się straszliwym narzędziem zniszczenia. Mózgiem jej opanowała jedyna myśl — zabić!

Ani na chwilę nie zawahała się na skraju polanki, ani też nie dała najłżejszego ostrzeżenia. Na czarnego wojownika, nie mającego pojęcia, że w promieniu dwudziestu mil znajduje się lew, natarł rozwścieczony kot z szybkością strzały. Wojownik nie polował na lwy. Gdyby wiedział, że się w pobliżu znajdują, byłby ominął to miejsce. Teraz chętnie by uciekł, gdyby miał dokąd. Najbliższe drzewo znajdowało się odeń dalej niż lwica. Jedno tylko mu pozostało do zrobienia. Ciężką swą włócznię cisnął w Sabor, właśnie w chwili gdy się wspięła, by go pochwycić. Włócznia przeszła dzikie serce i prawie jednocześnie potężne szczęki zwały się na twarzy wojownika. Ciężar lwicy powalił go na ziemię. Chwilę jeszcze drgały mięśnie dwu trupów. Osieroczone szczenię zatrzymało się opodal i pytającym spojrzeniem przyglądało się pierwszej swej wielkiej katastrofie życiowej. Chciało zbliżyć się do matki, ale wrodzony strach przed wonią ludzką powstrzymał je. Zaczęło szlochać na sposób, którym zazwyczaj przywoływało matkę. Ale teraz nie przyszła, nie podniosła się nawet, by na nie spojrzeć. Było zdumione — nie rozumiało, co to ma znaczyć. Szlochało, czując się coraz samotniejszym z wolna zbliżało się do matki. Zobaczyło, że dziwne stworzenie, które zabiła, nie porusza się. Po chwili zaczęło się go mniej obawiać. Wreszcie zdobyło się na odwagę, podeszło do matki i zaczęło ją obwąchiwać. Wciąż szlochało, ale ona mu nic odpowiadała. Zaczynało pojmować, że stało się coś złego, że jego piękna, wielka matka nie jest taka, jak była, że zaszła w niej jakaś zmiana. Wciąż jednak trzymało się jej, płacząc, póki nie zasnęło, przytulone do jej martwego ciała.

Tak znaleźli je Tarzan, Janina, jego żona, i Korak, ich syn, wracając z tajemniczego kraju Pal–ul–donu. Na odgłos ich kroków lwiątko otworzyło oczy. Podniosło się, położyło po sobie uszy i zawarczało. Człowiek–małpa uśmiechnął się na ten widok.

— Dzielny diablík — rzekł.

Zbliżył się do lwiątko pewien, że ucieknie. Ale ono jeszcze groźniej zawarczało i uderzyło go po rękę, gdy się nachylił sięgając po nie.

— Co za dzielne stworzonko! — zawołała Janina. — Biedna sierotka!

— Wyrośnie na wielkiego lwa, a raczej wyrosłoby, gdyby jego matka żyła — rzekł Korak. — Spójrzcie na jego grzbiet — prosty i mocny, jak włócznia. Szkoda, że musi umrzeć!

— Wcale nie musi umrzeć — rzekł Tarzan.

— Niewiele jest dla mego nadziei; trzeba mu mleka jeszcze przez kilka miesięcy, a któż mu go dostarczy?

— Ja — odparł Tarzan.

— Zamierzasz go zaadoptować? Tarzan kiwnął głową.

Korak i Janina roześmieli się.

— To będzie piękne — rzekł Korak.

— Lord Greystoke, przybrana matka syna Numy — zaśmiała się Janina.

Tarzan również się uśmiechnął, nie zaprzestał jednak zajmować się lwiątkiem. Pochyliwszy się nagle, chwycił je za kark i łagodnie je głaszcząc, przemówił do niego cichym, śpiewnym głosem. Nie wiem, co mu powiedział, ale może lwiątko wiedziało, gdyż przestało wrywać się i nie usiłowało więcej drapać i gryźć pieszczącej je ręki. Podniósł je i przytulił do piersi. Lwiątko nie wyglądało na zatrwożone.

— W jaki sposób to robisz? — zawołała Janina Clayton. Tarzan wzruszył ramionami.

— Ludzie nie lękają się ciebie, bo należą do tego samego, co ty gatunku. Zwierzęta to mój gatunek, choćbyś nie wiem jak chciała mnie ucywilizować i dlatego zapewne nie boją się mnie, gdy im daję dowody przyjaźni. Nawet ten mały łotrzyk zdaje się to wiedzieć.

— Nie mogę tego zrozumieć — rzekł Korak. — Sądzę, że jestem chyba obeznany z afrykańskimi zwierzętami, nie posiadam jednak nad nimi twojej władzy, ani ich tak, jak ty, nie rozumiem. Dlaczego?

— Jeden jest tylko Tarzan — rzekła lady Greystoke nie bez odcienia dumy w głosie.

— Pamiętaj, że urodziłem się wśród zwierząt i że one mnie wychowały — przypomniał Tarzan.

— Może zresztą mój ojciec był małpą — wiecie, Kala zawsze się przy tym upierała.

— John! Jak można! — zawołała Janina. — Wiesz doskonale, kim byli twoi rodzice.

Tarzan uroczyście spojrział na syna i przymknął jedno oko.

— Twoja matka nie może się nauczyć doceniania zalet antropoidów. Można by przypuścić, że nierada jest temu, iż poślubiła jednego z nich.

— Johnie Clayton, nigdy do ciebie nie przemówię, jeśli nie przestaniesz mówić takich wstrętnych rzeczy. Wstydzę się za ciebie. Dostyc już złego, że jesteś niepoprawnym dzikusem, po co jeszcze usiłować wmawiać, że jesteś w dodatku małpą.

Długa podróż z Pal-ul-donu miała się ku końcowi. W ciągu tygodnia będą z powrotem w miejscu, gdzie był niegdyś ich dom. Wątpliwym było, czy zastaną ruiny tego co pozostawili Niemcy.

Stodoły i zabudowania gospodarskie zostały spalone, wewnątrz bungalowu częściowo zniszczone. Ci spośród Waziri, których nie zamordowali żołnierze kapitana Fritza Schneidera, posłuchali wezwania i poszli służyć w szeregach angielskich sprawie ludzkości. Tyle Tarzan wiedział, zanim wyruszył na poszukiwanie Lady Greystoke. Ilu jednak jego wojowniczych Waziri przeżyło wojnę, co się stało z jego obszernymi posiadłościami — nie wiedział. Koczownicze szczepy krajowe lub łupieżcze bandy arabskich handlarzy niewolnikami dokończyły zapewne dzieła zniszczenia, przez Prusaka rozpoczętego. Prawdopodobnie też dżungla objęła w posiadanie swą własność, grzebiąc pod bujną roślinnością wszelki ślad krótkotrwałego najścia człowieka na jej odwieczne granice.

Zaadoptowawszy maleńkiego Numę, Tarzan był zmuszony stosować do jego potrzeb swe pochody i postoje, gdyż szczenię potrzebowało pokarmu, a pokarmem dla niego mogło być tylko mleko. O lwim mleku nie mogło być mowy, ale na szczęście znajdowali się obecnie w okolicach względnie dobrze zaludnionych. Dostyc często napotykali wioski, w których Pana Dżungli znano, szanowano i lękano się. Wieczorem tego dnia, gdy znalazł lwiątko, wszedł Tarzan do wioski w celu otrzymania mleka dla szczenięcia.

Z początku krajowcy zachowywali się ponuro i obojętnie, z pogardą patrząc na białych,

podróżujących bez orszaku — z pogardą i bez obawy. Bez orszaku, ci biali nie mogli przynieść im podarków, ani niczego, czym by mogli zapłacić za żywność, której niechybnie pragną. Bez askarysów nie będą mogli jej żądać, nie będą mogli wydać żadnych rozkazów, ani też obronić się w razie, gdyby zechciano dać się im we znaki. Ponurzy i obojętni wydawali się krajowcy; niezwykle jednak strój i uzbrojenie tych białych budziły ich ciekawość. Widzieli, że byli prawie nadzy, jak oni sami i podobnie uzbrojeni, prócz jednego, młodego mężczyzny, który miał karabin. Wszyscy troje mieli odzież pal-ul-dońską, pierwotną i barbarzyńską, dziwną dla prostych czarnych krajowców.

— Gdzie jest wasz wódz? — zapytał Tarzan, wkraczając do wioski, otoczony tłumem kobiet, dzieci i ujadających psów.

Paru drzemiących wojowników powstało i zbliżyło się do przybysza.

— Wódz śpi — odpowiedział jeden z nich. — Ktoś ty, by go budzić? Czego chcesz?

— Chcę pomówić z waszym wodzem. Przyprowadźcie go!

Wojownik popatrzył na niego ze zdumieniem i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Trzeba mu przyprowadzić wodza! — zawołał, zwracając się do swych towarzyszy i śmiejąc się głośno, uderzył się po udzie i trącił łokciem najbliższego sąsiada.

— Powiedźcie mu — ciągnął dalej człowiek-małpa — że Tarzan chce z nim pomówić.

Natychmiast zmieniła się postawa słuchaczy; cofnęli się i przestali się śmiać. Ten, który śmiał się najgłośniej, stał się nagle bardzo uroczysty.

— Przynieście maty — zawołał — dla Tarzana i jego towarzyszy, by mieli na czym usiąść, a ja tymczasem przyprowadzę Umangę, wodza — i pobiegł czym prędzej, jak gdyby rad ze sposobności zniknięcia z oczu tego mocarza, którego obawiał się, że obraził.

Teraz nic już nie znaczyło, że biali nie mieli orszaku, ani podarków do rozdania. Wieśniacy współzawodniczyli między sobą w oddawaniu im hołdów. Zanim nadszedł wódz, wielu już przyniosło jedzenie i ozdoby. Zjawił się wódz, starzec, który był wodzem jeszcze przed urodzeniem Tarzana. Miał wygląd patriarchalny, zachowanie pełne godności. Powitał gościa, jak równy równego, nie krył jednak zadowolenia, że Pan Dżungli zaszczycił odwiedzinami jego wioskę.

Gdy Tarzan przedstawił mu swe życzenie i pokazał lwie szczenię, Umanga zapewnił go, że przez cały pobyt u nich Tarzana nic zabraknie mleka — ciepłego mleka wprost od własnych kóz wodza. Podczas rozmowy Tarzan rozglądał się po wiosce, jej mieszkańcach i wszystkich szczegółach. Oczywiście dostrzegły wielką sukę między niezliczonymi kundysami, wałęsającymi się po chatach i ulicach. Wymiona jej były nabrzmięte mlekiem. Tarzan wyciągnął palec w stronę zwierzęcia.

— Chciałbym ją kupić — rzekł do Umangi.

— Twoją jest, Bwana, bez zapłaty — odparł wódz. — Oszczeniła się przed dwoma dniami, a zeszłej nocy wykradziono jej szczenięta z nory. Jeśli chcesz, dam ci zamiast niej znacznie młodsze i tłusciejsze psy, gdyż pewien jestem, że z niej będzie marna potrawa.

— Nie chcę jej zjeść — odrzekł Tarzan. — Chcę ją wziąć ze sobą, by mieć mleko dla lwiątku. Przyprowadźcie mi ją.

Kilku chłopaków schwytało zwierzę i uwiązawszy mu ramię na karku, przyciągnęło do człowieka-małpy.

Podobnie jak lew, pies był z początku wystraszony, gdyż woń Tarmanganiego różniła się od woni krajowców i warczał i szczekał na swego nowego pana. Ale ten wkrótce pozyskał zaufanie zwierzęcia, które, głaskane po głowie, ułożyło się u jego nóg.

Inna sprawa była z przybliżeniem do niego lwa. Oboje byli przerażeni sobą nawzajem — lew mrucał i parskał, pies obnażał kły i warczał. Trzeba było cierpliwości, nieskończonej cierpliwości — wreszcie próba się udała. Suka nakarmiła lwa, zaś stanowcza, choć łagodna postawa człowieka-

małpy zdobyła mu zaufanie psa, nawykłego więcej do razów niż do pieszczot.

Tej nocy Tarzan uwiązał sukę w chacie, w której mieszkał, i dwa razy przed nastaniem dnia przykładał jej do wymion lwiątko. Następnego dnia pożegnali Umangę i jego rodzinę i z psem na smyczy wyruszyli w kierunku domu. Tarzan niósł Lwiątko przytulone do piersi, albo w worku na plecach.

Nazwali je Jad-bal-ja, co w języku pitekanthropusów z Pal-ul-donu oznacza Złoty Lew, a to z powodu jego maści. Co dzień więcej oswajało się i coraz bardziej się przyzwyczajało do swej mlecznej matki. Suce nadali imię Za, co znaczy dziewczyna. Już na drugi dzień odjęli jej smycz i szła dobrowolnie za nimi przez dżungłę, nigdy też nie próbowała ich opuścić i najszcześniejsza była, gdy znajdowała się w pobliżu któregoś z nich.

W miarę zbliżania się do równiny, na której był niegdyś ich dom, wszystkich troje ogarniać zaczęło podniecenie, choć żadne z nich nie zdradzało słowem tkwiącej w ich sercach nadziei i obawy. Co zastaną? Co mogą znaleźć innego jak splątaną gęstwą roślinności, wykarczowaną wówczas gdy człowiek-małpa, przyszedłszy tu ze swą oblubienicą, zaczął budować dom?

Zatrzymali się wreszcie na skraju lasu, by spojrzeć na równinę, gdzie w odległości niegdyś wyraźnie widniały zarysy bungalowu wśród drzew i krzewów, zachowanych lub zasadzonych dla upiększenia posiadłości.

— Spójrzcie! — wykrzyknęła lady Janina. — Jest tam, jest nadal!

— Ale co to jest tam na lewo? — zapytał Korak.

— To chaty krajowców — odrzekł Tarzan.

— Pola są uprawione! — zawołała kobieta.

— I niektóre zabudowania gospodarskie zostały odbudowane — rzekł Tarzan. — To znaczy, że Waziri powrócili z wojny — moi wierni Waziri. Odbudowali to, co Niemcy zniszczyli i pilnują naszego domu, oczekując naszego powrotu.

Rozdział II

Tresowanie Jad-bal-ja

I tak Małpi Tarzan, Janina Clayton i Korak wrócili do domu po długiej nieobecności, a z nimi przyszedł Jad-bal-ja, złoty lew i Za, suka. Pierwszy powitał ich Muviro, ojciec Wasimbu, który położył życie w obronie domu i żony człowieka-małpy.

— Ach Bwana — zawołał — na twój widok odmłodziły moje stare oczy. Dawno nas opuściłeś, ale chociaż wielu zwątpiło, czy wrócisz kiedykolwiek, stary Muviro wiedział, że wielki świat nie posiada nic takiego, co by mogło zatrzymać jego pana. Wiedział, że wrócisz, ale że powróciła ta, którą opłakaliśmy jako zmarłą, przechodzi pojęcie. Wielka będzie radość dzisiaj w chatkach Waziri. Ziemia drżeć będzie pod tańczącymi stopami wojowników, a niebo rozbrzmiewać od okrzyków szczęścia ich żon.

Istotnie, wielka była radość w chatkach Waziri. Nie w ciągu jednej nocy, lecz przez szereg trwały tańce i okrzyki, aż wreszcie Tarzan musiał nakazać zakończenie uroczystości, by móc wraz z rodziną przespać kilka spokojnych godzin.

Wierni Waziri, pod kierunkiem równie wiernego angielskiego rządcy, Jervisa, nie tylko odbudowali stajnie, korrale, stodoły i chaty krajowców, ale odrestaurowali wnętrze bungalowu, dzięki czemu zewnętrznie miejscowość przedstawiała się tak samo, jak przed najściem Niemców.

Jervis był w Nairobi w sprawach posiadłości Tarzana i powrócił dopiero w kilka dni po przybyciu swych państwa. Zdumienie jego i radość były równie szczerze jak Moviry. Wraz z wodzem i wojownikami godzinami całymi przesiadywał u stóp Wielkiego Bwany, słuchając jego opowiadania o dziwnym kraju Pal-ul-donie i przygodach, jakie go tam spotkały. Wraz z Waziri zdumiewał się nad szczególnymi ulubieńcami, przyprowadzonymi przez Tarzana. Dość już było dziwne, że upodobał sobie zwykłego krajowego kundysa, przechodziło jednak ich pojęcie, by miał zaadoptować szczenię swych dziedzicznych wrogów, Numy i Sabor. Niemniej zdumiewał ich sposób wychowywania lwiatka.

Tarzan umieścił Złotego Lwa wraz z jego przybraną matką w rogu swej sypialni i co dzień kilka godzin poświęcał na kształcenie małej żółtej kulki, z której miało wyrosnąć wielkie drapieżne zwierzę.

W miarę jak lew podrastał, uczył go rozmaitych sztuk — aportować, leżeć bez ruchu, biegać według jego wskazówek, węchem poszukiwać schowanych przedmiotów. Gdy lew zaczął jadać mięso, Tarzan zrobił manekina w kształcie człowieka i mięso przeznaczone dla zwierzęcia uwiązywano zawsze na piersi manekina. Na dany znak lew kurczył się i przywierał do ziemi. Wówczas Tarzan wskazywał manekin i szeptał jedno słowo: „zabij!” Żeby nie wiedzieć jak głodny, lew nauczył się nie ruszać z miejsca, dopóki jego pan nie wymówił tego wyrazu. Wówczas jednym susem, z dzikim pomrukiem, rzucił się na mięso. Dopóki był mały, nie bez trudu wdrapywał się na manekin po smaczny kąsek, w miarę jednak jak podrastał, przychodziło mu to coraz łatwiej, aż

wreszcie jednym skokiem dosięgał zdobyczy, przewracał manekin i zrywał mu z piersi mięso.

Była jedna lekcja bardzo trudna i wątpliwe jest, czy ktokolwiek inny, prócz Tarzana, zdołałby zapanować nad krwiożerczością drapieżnika. Tygodnie i miesiące trwało uczenie lwa tej prostej pozornie sztuki, by na słowo „aport” znalazł wskazany przedmiot i przyniósł go panu — nawet manekin z mięsem, nie tykając mięsa, ani uszkadzając manekina, lub innego aportowanego przedmiotu, lecz składając go ostrożnie u stóp pana. W nagrodę otrzymywał podwójną porcję mięsa.

Lady Greystoke i Korak często z zaciekawieniem przyglądali się tresowaniu Złotego Lwa. Janina nie rozumiała celu tej pracy i wyrażała pewne wątpliwości co do programu nauki.

— Co zrobisz z tym zwierzęciem, gdy wyrośnie? — zapytywała. — Zapowiada się, że będzie z niego potężny Numa. Przywykłszy do ludzi, nie będzie się ich lękał, a nawykły do karmienia się na piersiach manekina, będzie poszukiwał w przyszłości jadała na piersiach żywych ludzi.

— Będzie się karmił tylko tak, jak mu rozkażę — odparł człowiek-małpa.

— Nie liczysz wszakże na to, że będzie się zawsze żywił ludźmi — przerwała mu ze śmiechem.

— Nigdy nie będzie się żywił ludźmi.

— Jakże temu zapobiegiesz, skoro od maleństwa uczyłeś go żywienia się człowiekiem?

— Obawiam się, Janino, że nie doceniasz inteligencji lwa, albo ja ją przeceniam. Jeśli ty masz słuszość, czeka mnie najtrudniejsza część zadania, jeśli zaś ja mam rację, już ją wypełniłem. Zresztą zrobimy próbę i przekonamy się, po czyjej stronie jest słuszość. Weźmiemy dziś ze sobą Jad-bal-ja na równinę. Pełno tam jest zwierzyny. Przekonamy się, jaką mam władzę nad młodym Numą.

— Założę się o sto funtów — rzekł Korak ze śmiechem — że pokosztowawszy żywej krwi, postąpi według swej natury.

— Zgoda, mój synu. Sądzę, że pokażą wam dziś coś, o czym ani tobie, ani nikomu się nie śniło, że można tego dokazać.

— Lord Greystoke, największy w świecie poskramiacz zwierząt! — zawołała lady Greystoke.

Tarzan roześmiał się wesoło.

— To nie jest tresowanie zwierząt — rzekł. — Mój plan nie byłby dostępny dla nikogo, prócz Małpiego Tarzana. Objasnię wam to. Przypuśćmy, że zjawia się stworzenie, którego nienawidzisz, które instynktownie i dziedzicznie uważasz za swego śmiertelnego wroga. Boisz się go. Nie rozumiesz jego słów. Wreszcie w brutalny zapewne sposób narzuca ci ono swą wolę. Możesz wykonać jego żądania, ale czy spełnisz je chętnie? Nie, zrobisz to pod przymusem, z uczuciem nienawiści do istoty, która ci narzuca swą wolę. Gdy tylko zdołasz, odmówisz mu posłuszeństwa. Pójdiesz nawet dalej — obrócisz się przeciwko niemu i zabijesz je. A teraz z drugiej strony — zjawia się ktoś bliski tobie, twój przyjaciel i opiekun. Rozumie twoją mowę i włada twoim językiem. Żywił cię, posiadał twe zaufanie uprzejmością i roztaczaną nad tobą opieką. Prosi, byś coś dla niego uczyniła. Czy mu odmówisz? Nie, chętnie go posłuchasz. W ten właśnie sposób Złoty Lew będzie mnie słuchał.

— Dopóty, dopóki mu to będzie dogadzało — dodał Korak.

— Pójdę o krok dalej — rzekł człowiek-małpa. — Przypuśćmy, że istota, którą kochasz i której słuchasz, ma władzę ukarania cię, nawet zabicia cię, jeśli tego potrzeba dla wymuszenia posłuchu. Jak będzie wówczas z twoim posłuszeństwem?

— Przekonamy się — rzekł Korak — jak łatwo Złoty Lew zarobi dla mnie sto funtów.

Po południu udali się na równinę z Jad-bal-ja przy koniu Tarzana. Zsiedli przy kępcie drzew niedaleko od bungalowu i stamtąd ostrożnie ruszyli ku bagnu, gdzie zazwyczaj znajdowano antylopy. Skradali się ostrożnie przez zarośla, aż wreszcie dotarli do bagna, na którym spokojnie pasło się stadko antylop. Najbliżej czterech myśliwych, z których najmniej doświadczonym był lew, znajdował

się stary kozioł. Jego to w jakiś tajemniczy sposób wskazał Tarzan swemu wychowankowi.

— Aport — szepnął. Złoty Lew przekradł się ostrożnie przez zarośla. Antylopy, niczego nie podejrzewając, pasły się spokojnie. Odległość między nimi a lwem była zbyt wielka, Jad-bal-ja czekał więc, by się przybliżyły. Stary kozioł z wolna podchodził do Jad-bal-ja. Prawie niedostrzegalnie zbierał się w sobie lew do skoku. Nagle, jak błyskawica, rzucił się na kozła i pochwycił go, zaś reszta stada uciekła w popłochu.

— Teraz — rzekł Korak — zobaczymy...

— Przyniesie mi antylopę — z ufnością powiedział Tarzan.

Złoty Lew wahał się chwilę, pomrukując nad swą zdobyczą, po czym chwycił ją za grzbiet i pociągnął do Tarzana. Ciągnął zabita antylopę przez zarośla i złożył ją u stóp pana, spoglądając w oblicze człowieka-małpy z wyrazem dumy z dokonanego czynu i prośby o pochwałę.

Tarzan pogłaskał go po głowie i cicho przemówił, chwając go. Wyciągnął swój nóż myśliwski i przeciąwszy gardło antylopy wypuścił krew. Janina i Korak przyglądali się teraz, co Jad-bal-ja uczyni, poczuwszy świeżą gorącą krew? Obwąchał ją z pomrukiem i z obnażonymi kłami groźnie popatrzył na ludzi. Człowiek-małpa odepchnął go dłonią. Lew zawarczał i chwycił go zębami.

Zwinny jest Numa, zwinny jest Bara, ale Małpi Tarzan jest błyskawiczny w ruchach. W tej samej chwili gdy Jad-bal-ja zawarczał na swego pana, Tarzan uderzył go tak mocno, że powalił go na ziemię. Lew natychmiast się zerwał. Patrzyli na siebie.

— Leżeć! — rozkazał człowiek-małpa. — Leżeć. Jad-bal-ja! Głos jego był spokojny. Lew zawahał się przez chwilę i legł u stóp Tarzana. Tarzan odwrócił się i wziął na plecy antylopę.

— Pójdź — rzekł do Jad-bal-ja. — Przy nodze! — i nie patrząc na zwierzę, ruszył do koni.

— Powinienem był wiedzieć — roześmiał się Korak — nie byłbym stracił stu funtów.

— Rozumie się, że powinieneś był wiedzieć — odrzekła matka.

Rozdział III

Tajemnicza schadzka

Dosyć przystojna, choć zbyt wystrojona, młoda kobieta siedziała w drugorzędnej restauracji w Londynie. Zwracała uwagę nie tyle zgrabną figurą i pospolicie ładną twarzą, ile niezwykłym wyglądem swego towarzysza. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, około dwudziestu pięciu lat, z olbrzymią brodą. Wszystko w nim zdradzało zawodowego atletę.

Zagłębieni byli w rozmowie, która od czasu do czasu przechodziła w namiętny spór.

Mówię ci — rzekł mężczyzna — że nie rozumiem, po co nam tamci są potrzebni. Dlaczego mamy dzielić na sześć części to, co moglibyśmy zatrzymać dla nas dwojga?

— Dla przeprowadzenia planu trzeba pieniędzy — odpowiedziała — a żadne z nas pieniędzy nie posiada. Oni mają je i dopomogą nam, mnie za moją znajomość rzeczy, tobie — za twój wygląd i siłę. Dwa lata szukali cię, Estebanie. Nie chciałabym być w twej skórze, gdybyś ich zdradził. Teraz, gdy już znasz wszystkie szczegóły ich projektów, jeśli tylko przyszło im do głowy, że nie chcesz im dopomóc, bez wahania poderznąliby ci gardło. — Zatrzymała się, wzruszając ramionami. — Nie, zbyt kocham życie, bym się miała przyłączyć do takiego spisku.

— Ale mówię ci, Floro, że powinniśmy dostać więcej, niż oni zamierzają nam dać. Ty dostarczasz wszystkich wiadomości, ja biorę na siebie całe niebezpieczeństwo — dlaczego nie mamy otrzymać więcej niż po jednej szóstej?

— Sam z nimi pomów, Estebanie, ale jeśli chcesz posłuchać mojej rady, zadowol się tym, co ci proponują. Ja nie tylko mam wszystkie wiadomości, bez których niczego nie zrobią, ale w dodatku znalazłam ciebie, a jednak nie żądam więcej. Zupełnie się zadowolę jedną szóstą i zapewniam cię, że jedna szóstka wystarczy dla każdego z nas na całe życie.

Mężczyzna nie zdawał się być przekonany. Znała go bardzo mało. Zobaczyła go po raz pierwszy przed dwoma miesiącami na ekranie londyńskiego kinematografu w roli rzymskiego żołnierza ze straży pretoriańskiej.

Jego niezwykły wzrost i doskonała budowa zwróciły uwagę Flory Hawkes, gdyż od dwu lat wraz ze swymi towarzyszami rozgląda się za okazem podobnym do Estebana Mirandy. Zaczęła poszukiwać aktora i znalazła go wreszcie po upływie miesiąca. Dla zawarcia znajomości wystarczyła jej uroda; naturalnie, nie zdradziła przed nim rzeczywistego celu przyjaźni. Oczywistym było dla niej, że był Hiszpanem i że pochodził z dobrej rodziny, że zaś był człowiekiem bez skrupułów, przekonała się po łatwości, z jaką przystał na wzięcie udziału w ciemnym przedsięwzięciu, obmyślonym i opracowanym przez nią i jej czterech kompanów. Wiedząc zaś, że był pozbawiony skrupułów, zdawała sobie sprawę z tego, że należy nic dopuścić, by wykorzystał ich plan, którego szczegóły będzie musiał poznać pewnego dnia.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

— Wszystko możesz ze mną zrobić, Floro — rzekł Esteban — gdyż w twojej obecności

zapominam o złocie i myślę o innej nagrodzie, której mi wciąż odmawiasz, a którą, mam nadzieję zdobyć kiedyś.

— Miłość i interes źle idą w parze. Zaczekaj, aż ci się ta robota powiedzie, wówczas będziemy mogli mówić o miłości.

— Nie kochasz mnie — chrapliwie szepnął. — Wiem, widziałem, wszyscy cię kochają. Dlatego gotów jestem ich zniechęcić. Gdybym wiedział, że kochasz któregoś z nich, wydarłbym mu serce z piersi. Zbyt jesteś z nimi poufała, Floro. Pewnego pięknego dnia zapomnę o złocie i zacznę myśleć tylko o tobie, a wtenczas stanie się coś okropnego. Najgorszy jest Kraski, bo jest przystojny. Nie lubię sposobu, w jaki na niego spoglądasz.

— Co cię to obchodzi, senior Miranda, kogo wybieram sobie na przyjaciół, jak się oni ze mną obchodzą, lub jak ja ich traktuję? Zwracam pańską uwagę, że tych ludzi znam od wielu lat, pana zaś dopiero od kilku tygodni. Jeśliby kto miał prawo dyktować mi, jak mam się zachowywać, a tego prawa, chwała Bogu nikt nie posiada, to raczej któryś z nich, niż pan.

— Jest tak, jak przypuszczałem? Kochasz jednego z nich? — Zerwał się i pochylił ku niej przez stół. — Niech tylko wybadam, który to z nich, a posiekam go na kawałki.

Wyglądał jak człowiek pozbawiony rozumu. Dziewczyna przeraziła się i postanowiła go ułagodzić.

— Uspokój się, Estebanie — miękko zaszepiała — po co wpadasz w szał bez powodu. Nie powiedziałam, że kocham jednego z nich, ani nie powiedziałam, że nie kocham ciebie, ale nie przywykłam, by w ten sposób się o mnie starano. Może podoba się to twoim hiszpańskim sennoritas, ale ja jestem Angielką. Jeśli mnie kochasz, obchodź się ze mną tak, jakby to robił Anglik. Ale cicho, oto są — spóźnili się o całe pół godziny.

Czterech ludzi weszło do restauracji. Dwaj z nich byli to Anglicy, duże, tęgie chłopy, byli bokserzy. Trzeci, Adolf Bluber, mały, tłusty Niemiec o czerwonej okrągłej twarzy i bawolim karku. Czwarty, najmłodszy, najlepiej się prezentował. Gładka twarz, duże ciemne oczy, wijące się włosy, postać greckiego boga i wdzięk rosyjskiego tancerza, słusznie budziły w Hiszpanie uczucia zazdrości względem Karola Kraskiego.

Dziewczyna uprzejmie przywitała czwórkę, Hiszpan ponuro skinął głową, gdy zasiedli przy stole. Z początku rozmawiali o rzeczach obojętnych, gdy jednak rozgrzali się przyniesionym przez kelnera trunkiem, przystąpili do rzeczy.

— Wszystko już mamy — zawołał Peebles, uderzając w stół mięsistą pięścią — plany, pieniądze, seniora Mirandę i basta.

— Ile macie pieniędzy? — zapytała Flora. — Potrzeba nam bardzo dużo. Nie warto zaczynać, jeśli nie macie pod dostatkiem.

Peebles zwrócił się do Blubera. — To nasz skarbnik. Ten gruby łotr niemiecki może ci powiedzieć, ile mamy.

Bluber uśmiechnął się i zatarł tłuste ręce:

— Jak panna Flora miszli, ile nam pocieba?

— Nie mniej, niż dwa tysiące funtów — szybko odrzekła.

— Ojoj! — zawołał Bluber. — To barso tuszo, twa tysionce funtów. Ojoj!

— Powiedziałam wam od razu, że nie chcę mieć nic wspólnego z kapcanami i że jeśli nie zdobędziecie dostatecznej sumy pieniędzy, by rzecz należycie przeprowadzić, nie dam wam map i wskazówek, bez których nie dostaniecie się tam, gdzie dosyć jest złota, by kupić cała tę wyspę. Możecie sobie pójść i wydać całe swoje pieniądze, ale zanim dam wam informacje, które uczynią Was najbogatszymi ludźmi w świecie, musicie przekonać mnie, że posiadacie przynajmniej dwa

tysiące funtów.

— To ten zgniłek wziął pieniądze — mruknął Throck. — Niech mnie powiesz, jeśli wiem, co z nimi zrobił.

— To nie jego wina — rzekł Rosjanin. — To już takie jego łotrowskie usposobienie. Bluber próbowałby oszukać rabina przy swym ślubie.

— Czego chce — wEstehnął Bluber — po co mamy fytać więcej, niż tsieba? Jeśli może nam starczyć jeten tysionc, to jeszcze lepi.

— Z pewnością — rozgniewała się dziewczyna. — Jeśli wystarczy tysiąc, to nie wydasz więcej, ale musisz mieć dwa tysiące na wszelki wypadek, a o ile znam ten kraj, napotkasz tam więcej niespodziewanych wypadków, niż czego innego.

— Ojoj! — zawołał Bluber.

— On ma te pieniądze — rzekł Peebles — przejdźmy do rzeczy.

— Może je sobie mieć, ale ja chcę zobaczyć — rzekła dziewczyna.

— Co panna miszlisz, że ja noszę tyle piniędzy w kieszeni? — zawołał Bluber.

— Czy ci nie wystarczy nasze słowo? — zachnął się Throck.

— Dobrzyście sobie — roześmiała się dziewczyna. — Zresztą, wystarczy mi słowo Karola. Jeśli on mnie zapewni, że macie pieniądze i że są w takiej postaci, że mogą i będą użyte na pokrycie wszystkich wydatków naszej wyprawy, uwierzę mu.

— Bluber ma pieniądze, Floro — rzekł Kraski. — Każdy z nas złożył swój udział. Zrobiliśmy Blubera skarbnikiem, zamierzamy parami opuścić Londyn.

Wyciągnął z kieszeni mapę i rozłożył ją na stole. Palcem wskazał punkt, naznaczony literą X.

— Tu się spotkamy i wyekwipujemy na wyprawę. Najpierw wyjadą Bluber i Miranda, potem Peebles i Throck. Zanim ty i ja przybędziemy, wszystko będzie gotowe do wyruszenia w głąb, gdzie założymy stały obóz, z dala od bitego traktu i jak najbliżej naszego celu. Miranda niewątpliwie umie swą rolę i potrafi ją dobrze odegrać. Ponieważ będzie miał tylko głupich krajowców i dzikie zwierzęta do oszukiwania, nie przyjdzie mu to z trudnością. W jego głosie dźwięczała nuta sarkazmu. Gniewnie zabłyszczały czarne oczy Hiszpana.

— Czy dobrze zrozumiałem — zapytał Miranda z pozornym spokojem — że ty i panna Hawkes sami pojedziecie do X?

— Tak — odrzekł Rosjanin — o ile potrafisz coś zrozumieć. Hiszpan groźnie nachylił się przez stół do Kraskiego. Dziewczyna chwyciła go za połą płaszcz.

— Ani mi się waż! — rzekła. — Dostyc już tego i jeśli się to nie skończy, rzucę was i poszukam sobie odpowiedniejszej kompanii.

— Tak, rzuć ich i basta! — zawołał wojowniczo Peebles.

— John ma rację — ryknął Throck swym głębokim basem — i podtrzymam go, Flora ma rację i poprę ją. I jeśli to zdarzy się jeszcze raz, do diabła, jeśli was nie wychłostam, moje ślicznotki — i spojrzał najpierw na Mirandę a potem na Kraskiego.

— Podajmy sobie ręce — uspakajał Bluber — i bądźmy przyjaciółmi.

— Zgoda — zagrzmiał Peebles — dobrze mówi. Podaj mu rękę, Esteban. Dalej Karolu. Nie możemy zaczynać sprawy z wzajemnymi niechęciami, i basta.

Rosjanin wyciągnął przez stół rękę do Hiszpana. Esteban zawahał się na chwilę.

— Uściśnij mu rękę — rzekł Throck — albo wracaj do swojej roboty, a my znajdziemy sobie kogo innego.

Hiszpan z uprzejmym uśmiechem wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Kraskiego.

— Wybacz — rzekł — jestem gwałtowny, ale nic złego nie myślałem. Panna Hawkes ma

słuszność, powinniśmy wszyscy żyć w przyjaźni.

— Przebacz mi, jeśli cię obraziłem — rzekł Kraski.

Ale zapomniał, że tamten był aktorem. Zadrżałby, gdyby mógł zajrzeć do ciemnych głębin jego duszy.

— A teraz, kiety już fszystko jest topsze — rzekł Bluber, zacierając ręce — dlaczego nie ustanowić, kiety zaczynamy, żeby wszystko skończyć? Panna Flora niech mi ta mapę i fskasówki i saras saczniemy.

— Pożycz mi ołówek, Karolu — rzekła dziewczyna.

Gdy ten podał jej żądany przedmiot, wyszukała na mapie miejsce w pewnej odległości od X i zakreśliła tam małe kółko. — To jest O — rzekła. — Gdy wszyscy tam przybędziemy, otrzymacie ostateczne informacje, nie wcześniej.

— Oj, panno Floro, co pani miszli, sze my fytajemy twa tysiące funtów, szepy kupicz kota f forku? Ojoj! Pani nie mosze tego ot nas szontać. Muszemy fszystko fiedzieć, sanim fytamy jeden grosz.

— Tak, i basta! — ryknął John Peebles, uderzając pięścią w stół.

Dziewczyna podniosła się od stołu.

— Och, dobrze, jeśli tak myślicie, możemy dać spokój wszystkiemu.

— Saczekaj, saczekaj, panno Floro — zerwał się spieszenie Bluber. — Niech się pani nie tenerfuje. Czy pani nie rosumie? Tfa tysionce funtów, to tuszy pieniądz, a my jesteszmy tobre kupcy. Nie chcemy fytać ich i nic sa to nie tostacz.

— Wcale nie żądam, żebyście je wydali i nic w zamian nie dostali. Ale jeśli ktoś tu ma komu zaufać, to wy musicie mnie zaufać. Jeśli udzielę wam wszystkich informacji, to nic nie przeszkodzi, byście sobie pojechali i mnie zostawili na lodzie, a wcale sobie tego nie życzę.

— Ale mi nie jesteszmy słocieje, panno Floro — nalegał Żyd. — Ani przez chwilę nie miszlelizszmy oszukacz pani.

— Nie jesteście też aniołami, Bluber — odparła Flora — a ja nie jestem taką gęsią, żebym się miała narażać na trudy i niebezpieczeństwa dżungli, ciągnąc za sobą szajkę bandytów, nie zabezpieczywszy się, że mnie nie wystrychniecie na dudka.

— Co miszlicie o tem, Johnie i Dicku? — zapytał Bluber dwu byłych bokserów. — Karol, nie fatpię, miszli tak jak Flora.

— Niech mnie powieszą — rzekł Throck — nigdy nie miałem zwyczaju nikomu dowierzać, o ile me musiałem, afe teraz tak wygląda, jakbyśmy musieli zaufać Florze.

— Uważaj — rzekł John Peebles. — Jeśli spróbujesz nas naciągnąć, Floro... — Zrobił znaczący ruch palcem po gardle.

— Rozumiem, Johnie — rzekła z uśmiechem — i wiem, że zrobiłbyś to równie prędko dla dwu, jak i dla dwu tysięcy funtów. Zgadzacie się więc zastosować do moich planów? I ty także, Karolu?

— Zgadzam się na wszystko, co inni postanowią — rzekł Rosjanin.

Małe, ale dobrane towarzystwo, zabrało się do roztrząsania najdrobniejszych szczegółów, niezbędnych do doprowadzenia ich do O, nakreślonego przez Florę na mapie.

Rozdział IV

Co zapowiadały ślady stóp

Jad-bal-ja, złoty lew, doszedłszy dwu lat wieku, przedstawiał najwspanialszy okaz swego gatunku, jaki Greystoke'owie kiedykolwiek widzieli. Wzrostem przewyższał przeciętne dojrzałe samce; szlachetny kształt głowy i wielka czarna grzywa nadawały mu wygląd dorosłego lwa, inteligencją zaś znacznie prześcigał dzikich braci leśnych.

Jad-bal-ja był niewyczerpanym źródłem dumy i radości dla człowieka-małpy, który trenował go tak starannie i odpowiednio odżywiał, by rozwinąć wszystkie utajone w nim moce. Lew nie sypiał już w nogach łoża swego pana, lecz zamieszkiwał mocną klatkę, zbudowaną umyślnie dla niego, obok bungalowu. Któż lepiej od Tarzana mógł wiedzieć, że lew, gdziekolwiek i jakkolwiek chowany, nie przestaje być lwem, dzikim pożeraczem ludzi. W pierwszym roku życia biegał swobodnie wokoło domu, później wychodził już tylko w towarzystwie Tarzana. Często włóczyli się po równinie i po dżungli, polując we dwójkę. Lew był prawie tak samo oswojony z Janiną i Korakiem, żadne z nich nie obawiało się go, ale największe przywiązanie okazywał Tarzanowi. Czarnych domowników tolerował, nie napastował też zwierząt ani ptactwa domowego, otrzymawszy za czasów swego szczenięcego żywota należytą naukę za łupieżcze wycieczki do obór lub kurników. Niewątpliwie też bydło farmy zapewniało bezpieczeństwo i to, że nie dopuszczano nigdy do wygłodzenia lwa.

Człowiek i zwierzę znakomicie rozumieli się nawzajem. Wolno powątpiewać, czy lew rozumiał wszystko, co Tarzan do niego mówił, jak bądź jednak, łatwość, z jaką pojmował wszystkie życzenia swego pana, graniczyła z cudownością. Na rozkaz Tarzana z wielkiej odległości przynosił antylopę lub zebrawę, składając u stóp pana swą zdobycz nietkniętą. Nawet żywe zwierzęta, nie wyrządźwszy im żadnej krzywdy, przynosił Tarzanowi.

W tym właśnie czasie zaczęły dochodzić do człowieka-małpy słuchy o łupieżczej bandzie, grasującej na zachód i południe od jego posiadłości, brzydkie historie o kradzieży kości słoniowej, porywaniu niewolników i torturach. Minął miesiąc i wieści ucichły.

Wojna zredukowała majątek Greystoke'ów do skromnych bardzo dochodów. Wszystko niemal oddali sprawie sprzymierzonych, to zaś niewiele, co im pozostało, pochłonęło odbudowanie afrykańskiej posiadłości.

— Zdaje mi się, Janko — rzeki Tarzan pewnego wieczoru — że będę musiał przedsięwziąć nową wyprawę do Oparu.

— Lek mnie ogarnia na myśl o tym. Nie chcę, byś się tam udawał — odrzekła. — Dwa razy ledwie z życiem uszedłeś z tego strasznego miejsca. Za trzecim razem możesz być mniej szczęśliwy. Mamy dosyć, by żyć w wygodach i zadowoleniu. Po co szukać bogactw, narażając się na utratę posiadanego szczęścia?

— Nic mi nie grozi, Janko. Ostatnim razem Wesper śledził mnie, prócz tego było trzęsienie ziemi

i te dwa czynniki omal nie stały się przyczyną mej zguby. Podobny zbieg okoliczności nie powtarza się jednak.

— Ale nic pójdiesz sam? Weźmiesz ze sobą Koraka?

— Nie, nie wezmę go. Zostanie z tobą, gdyż w gruncie rzeczy, długa moja nieobecność bywa zazwyczaj groźniejsza dla ciebie, niż dla mnie. Wezmę pięćdziesięciu Waziri do dźwigania złota, aby przynieść go taką ilość, jaka by nam na długo mogła wystarczyć.

— A Jad-bal-ja, czy zabierzesz go ze sobą?

— Nie, lepiej niech tu zostanie. Korak może go doglądać i brać od czasu do czasu na polowanie. Zamierzam szybko podróżować, byłaby to zbyt trudna dla niego wyprawa. Lwy nie lubią wędrować po słońcu, a ponieważ my będziemy szli przeważnie dniem, Jad-bal-ja nie przetrzymałby tego.

Znowu więc udał się Tarzan w daleką drogę do Oparu, za nim maszerowało pięćdziesięciu olbrzymich Waziri. Na werandzie bungalowu Janina i Korak posyłali mu ostatnie pożegnanie, a z klątki rozlegały się grzmiące ryki Jad-bal-ja, złotego lwa.

Opar leżał o dobre dwadzieścia pięć dni drogi dla ludzi nie obciążonych, obładowani złotem będą wracali wolniej. Dlatego Tarzan przeznaczył na wyprawę dwa miesiące czasu.

Pewnego popołudnia w trzecim tygodniu wędrówki Tarzan, wyprzedziwszy swój orszak w poszukiwaniu zwierzyny, natknął się na zabitego Barę, jelenia, w którego boku tkwiła pierzasta strzała. Wyciągnął strzałę z jelenia i stanął zdumiony. Strzała należała do rodzaju takich, jakich w miastach europejskich używają do strzelania do celu w parkach i na przedmieściach. Nic bardziej niedorzecznego nad tę śmieszłą zabawkę w samym sercu dzikiej Afryki, a jednak dokonała swego dzieła — świadczyło o tym martwe ciało Bary.

Zdarzenie to podnieciło ciekawość Tarzana i zarazem jego wrodzoną ostrożność. Trzeba znać dobrze swą dżunglę, by móc w niej wyżyć, kto zaś ją chce dobrze znać, nie powinien lekceważyć żadnej niezwyklej okoliczności. Dlatego Tarzan puścił się śladem Bary, chcąc, o ile możliwości, poznać jego zabójcę. Krwawy trop był widoczny i Tarzan dziwił się, dlaczego myśliwy nie wyśledził i nie zabrał swej zdobyczy, która zabita została ubiegłego dnia. Przekonał się, że Bara daleko był zawędrował. Słońce już się zniżyło ku zachodowi, gdy Tarzan znalazł pierwszą wskazówkę co do osoby myśliwca: natrafił na ślady stóp, które takim samym zdumieniem go napełniły, jak poprzednio strzała. Starannie je obejrzał, nawet obwąchał. Jakkolwiek wydawało się to nieprawdopodobne, niemożliwe nawet — ślady bosych stóp należały do białego człowieka, człowieka wielkiego, zapewne tak wielkiego, jak sam Tarzan.

Jaki nagi biały człowiek, mógł się znajdować w dżungli Tarzana i zabijać zwierzynę Tarzana, ładnymi strzałami miejskiego klubu strzeleckiego? Człowiek-małpa przypomniał sobie głuche wieści, dosłyszane przed wielu tygodniami. Zdecydowany rozwiązać zagadkę, ruszył tropem obcego, błędnym tropem, wijącym się beładnie przez dżunglę. Tarzan domyślił się, że wynikało to z niezajomości dżungli niedoświadczonego myśliwca. Zanim rozwiązał zagadkę, zapadła noc i wśród nieprzeniknionych ciemności zawrócił do obozu.

Wiedział, że Waziri oczekują mięsa i nie chciał sprawić im zawodu, upolował więc antylopę, sprzątając ją sprzed nosa współzawodniczącemu z nim w łowach lwu, zarzucił ją sobie na plecy i wskoczywszy na gałąź, powietrzną drogą wrócił do swych głodnych Waziri.

Wczesnym rankiem wyruszył Tarzan w dalszą drogę do Oparu. Nakazawszy Waziri trzymać się jak najprostszej drogi, oddalił się, by prowadzić dalej rozpoczęte badania w sprawie tajemniczej strzały i śladów stóp. Wrócił do miejsca, w którym poprzedniej nocy ciemności zmusiły go do przerwania poszukiwań, i podjął znowu trop niezajomego. Niedługo znalazł nowy dowód obecności szkodnika; na tropie leżał trup wielkiej małpy ze szczepu antropoidów, wśród których Tarzan się

wychował. We włochatym podbrzuszu Mangani tkwiła strzała wyrobu maszynowego.

Zwężyły się oczy człowieka–małpy, zachmurzyło się jego czoło. Kim był ten, który ważył się wtargnąć w jego nietykalne obszary i tak okrutnie wymordował jego lud?

Tarzan pospieszył tropem zabójcy. W jego przekonaniu zostało tu popełnione zwykłe morderstwo. Zbyt dobrze obeznany był ze zwyczajami Manganich, by wiedzieć, że żaden z nich nie spowodował napaści.

W pół godziny po spostrzeżeniu trupa małpy, wrażliwe nozdrza Tarzana poczuły odór innych antropoidów. Nie chcąc ich spłoszyć, posuwał się teraz z wielką ostrożnością. Nie widywał ich często, wiedział jednak, że znajdowały się wśród nich osobniki pamiętające go i że przez nich zawsze może nawiązać przyjazne stosunki z resztą szczepu.

Wkrótce natknął się na olbrzymie antropoidy. Było ich ze dwadzieścia, zajętych poszukiwaniem gąsienic, stanowiących ważną część składową ich pożywienia.

Z lekkim uśmiechem ukrył się na wielkiej gałęzi, przyglądając się gromadce na polance. Każdy ruch wielkich małp przypominał mu żywo lata dziecięce, gdy pod opieką macierzyńskiej miłości Kali, włóczył się po dżungli ze szczepem Kerczaka. Zwyczaje ludzkie mogą się zmieniać, ale małpie są zawsze te same — wczoraj, dziś i wiecznie.

W milczeniu przyglądał się im przez kilka minut. Jakże się ucieszą, gdy go poznają! Małpi Tarzan znany był wzdłuż i wszerz dżungli, jako przyjaciel i obrońca Manganich. Z początku zaczną mruczeć i grozić mu, gdyż nie zawierzą swym oczom ani uszom. Dopiero gdy zejdzie między nie na polankę, gdy otoczą go najeżone samce z obnażonymi kłami i nozdrzami sprawdzą świadectwo swych oczu i uszu, wtedy dopiero poznają go ostatecznie. Nastąpi chwila wielkiego podniecenia, aż zgodnie z właściwością umysłu małpiego, uwagę ich oderwie od niego polatujący liść, jakaś gąsienica lub jajo ptasie. Wówczas wrócą do swych codziennych spraw, nie interesując się nim więcej niż innymi członkami plemienia. Ale nastąpi to dopiero wówczas, gdy każdy z obecnych go obwącha i pogłaska stwardniałymi rękami.

Tarzan wydał przyjazny dźwięk powitania i zszedł między małpy.

— Jestem Małpi Tarzan — rzekł — potężny wojownik, przyjaciel Manganich. Tarzan przychodzi do swego ludu z przyjaźnią.

Nastało istne piekło. Z ostrzegawczymi wrzaskami samice przebiegły wraz z młodymi na drugą stronę polanki, samce najeżywszy się, z pomrukami spoglądały na przybysza.

— Cóż to — zawołał Tarzan — nie poznajecie mnie?! Jestem Małpi Tarzan, przyjaciel Manganich, syn Kali, król szczepu Kerczaka.

— Poznajemy cię — zawarczał jeden ze starych samców — wczoraj widzieliśmy, jak zamordowałeś Gobu. Uchodź, albo cię zabijemy.

— Nic zamordowałem Gobu. Wczoraj znalazłem jego trupa i właśnie śledziłem trop zabójcy, gdy natknąłem się na was.

— Widzieliśmy cię — odrzekł stary samiec — uchodź, albo cię zabijemy. Nie jesteś więcej przyjacielem Manganich.

Człowiek–małpa stał zadumany. Było oczywiste, że te małpy szczerze wierzyły w to, że widziały go, gdy zabijał ich brata. Jak to wytłumaczyć? Czy ślady bosych stóp wielkiego człowieka, którego tropił, znaczyły coś więcej, niż sądził? Przemówił znowu do samca:

— To nie ja zabiłem Gobu. Dużo z was zna mnie, odkąd żyjecie. Wiecie, że tylko w otwartym boju, jak samiec walczy z samcem, zabiłem kiedykolwiek jakiego Mangani. Wiecie, że spośród całego ludu dżungli Mangani są najlepszymi moimi przyjaciółmi i że Małpi Tarzan jest najlepszym przyjacielem, jakiego Mangani posiadają. Jakże więc mógłbym zamordować członka swego

własnego ludu?

— Wiemy tylko — odrzekł stary samiec — że widzieliśmy cię zabijającego Gobu. Widzieliśmy to na własne oczy. Uchodź spiesznie, bo cię zamordujemy. Potężnym wojownikiem jest Małpi Tarzan, ale potężniejsze od niego są wielkie samce Paghta. Jestem Paght, król szczepu Paghta. Uchodź, zanim cię zabijemy.

Tarzan próbował przekonywać małpy, ale nie chciały go słuchać, tak pewne były, że to on zabił Gobu. Wreszcie, nie chcąc narażać się na utarczkę, w której zostałby niechybnie zabity, oddalił się strapiiony. Więcej niż kiedykolwiek zdecydowany był teraz odszukać zabójcę Gobu, by porachować się z kimś, kto ważył się nachodzić jego obszary.

Tarzan tropił ślad, dopóki ten nie poplątał się ze śladami wielu ludzi — bosych murzynów przeważnie. Ale wśród nich znajdowały się ślady obutych białych ludzi, a także kobiety, czy dziecka — tego Tarzan nie był pewien. Trop wiódł ku skalistym wyżynom, osłaniającym dolinę Oparu.

Niepomny na swe pierwotne zadanie, pełen jedynie dzikiego pragnienia porachowania się ze szkodnikami i wymierzenia zabójcy Gobu zasłużonej kary, Tarzan popędził szerokim, dobrze ubitym szlakiem licznego oddziału, który niewątpliwie wyprzedził go zaledwie o pół dnia marszu. Znaczyło to, że ci ludzie znajdowali się obecnie na skraju doliny Oparu, o ile tam właśnie dążyli. Co mieli na celu? Tarzan nie mógł odgadnąć.

Trzymał zawsze w ścisłej tajemnicy położenie Oparu. O ile mu było wiadomo, żaden biały, prócz Janiny i Koraka, nie wiedział, gdzie leży zapomniane miasto starożytnych atlantydzian. Cóż jednak innego mogło sprowadzić tych białych ludzi z tak znacznym oddziałem do niezbadanych pustkowi, ze wszystkich stron otaczających Opar?

Takimi myślami zajęty, spiesznie szedł tropem, wiodącym do Oparu. Ciemności zaległy, ale ślady były tak świeże, że z łatwością mógł je rozróżnić węchem. Wkrótce ujrzał światła obozowiska.

Rozdział V

Zgubny napój

W domu życie szło w bungalowie i na farmie zwykłym trybem. Korak, czasem pieszo, czasem konno, doglądał pracy robotników to sam, to w towarzystwie białego rządcy, Jervisa. Często towarzyszyła mu Janina.

Złotego Lwa prowadził Korak na smyczy w obawie, by podczas nieobecności pana nic uciekł do lasu. Taki lew w dżungli stałby się groźny dla ludzi, gdyż Jad-bal-ja, wśród ludzi wychowany nie obawiał się ich, jak zwykłe dzikie zwierzęta.

W pierwszym tygodniu nieobecności Tarzana goniec z Nairobi przyniósł telegram dla lady Greystoke, donoszący o poważnej chorobie jej ojca w Londynie. Matka i syn omówili sprawę. Upłynie pięć do sześciu tygodni, zanim Tarzan powróci, gdyby nawet wysłali po niego gońca. Gdyby Janina chciała na niego czekać, nie zastałaby już swego ojca przy życiu. Postanowili więc, że wyjedzie bezzwłocznie i że Korak odprowadzi ją do Nairobi, a potem wróci, by pilnować osady aż do powrotu ojca.

Podczas nieobecności Koraka, służący do którego obowiązków należało karmienie Jad-bal-ja, zostawił przez niedbalstwo niedomknięte drzwi od klatki. Podczas gdy czarny zajęty był czyszczeniem klatki, Jad-bal-ja przechadzał się i spostrzegł, że drzwi są tylko przymknięte. Służący odwrócony był tyłem i nie zauważył, że lew wetknął łapę w szparę i rozwarł drzwi. Przerażony Murzyn ujrzał, jak zwierzę, jego pieczy powierzone, wyskoczyło na dwór.

— Stój, Jad-bal-ja, stój! — wrzasnął i rzucił się w pogoń. Złoty Lew przyśpieszył kroku i popędził w stronę lasu.

Czarny gonił go z okrzykami, które wywabiły z chat Waziri. Przyłączyli się do niego i pędzili przez równinę, ale Złoty Lew znikł w dżungli. Szukali go aż do zmroku, musieli jednak wrócić do osady z niczym.

— Ach — zawołał nieszczęśnik, który był winien ucieczki Jad-bal-ja — co powie, co mi zrobi Wielki Bwana, gdy zobaczy, że pozwoliłem uciec Złotemu Lwu!

— Wypędzi cię na długo z bungalowu, Keewazi — zapewnił go stary Muviro. — Niechybnie pośle cię na pastwiska daleko na wschód do pilnowania stad. Będiesz miał pod dostatkiem towarzystwa lwów, które nie będą tak przyjacielskie jak Jad-bal-ja. To najmniejsza kara, na jaką zasłużyłeś. Gdyby serce Wielkiego Bwany nie było przeniknięte miłością do jego czarnych dzieci, gdyby był podobny innym białym, jakich Muviro widywał, otrzymałbyś taką chłostę, że może umarłbyś pod razami.

— Jestem mężczyzną — odrzekł Keewazi. — Jestem wojownikiem z plemienia Waziri. Po męsku poddam się karze, jaką mi Wielki Bwana wyznaczy.

Tej samej nocy Tarzan zbliżył się do ognisk tropionego oddziału. Nie dostrzeżony przez nikogo,

zatrzymał się w samym środku obozowiska, wśród gałęzi drzewa. Obóz był otoczony wielką bomą z cierni i wspaniale oświetlony licznymi ogniskami. Prawie pośrodku obozu stały namioty, a przed jednym z nich, w świetle ogniska, siedziało czterech białych ludzi. Dwu z nich było niezawodnie Anglikami, trzeci wyglądał na niemieckiego Żyda, zaś czwarty był wysokim, smukłym, urodziwym młodzieńcem. Ten ostatni i Niemiec byli ubrani w stroje drobiazgowo wzorowane na kinematograficznych podróżnikach po Środkowej Afryce. Młody człowiek nie robił wrażenia Anglika. Tarzan pomyślał, że musi być Słowianinem. Wkrótce po przybyciu Tarzana powstał i udał się do jednego z pobliskich namiotów. Tarzan dosłyszał stamtąd cichą rozmowę. Nie mógł rozróżnić głosów, ale jeden z głosów wydał mu się kobiecym. Trzej pozostali przy ognisku rozmawiali spokojnie, gdy nagle tuż spoza bomy rozległ się ryk lwa.

Żyd z krzykiem zerwał się na nogi tak gwałtownie, że stracił równowagę, potknął się o stołek obozowy i runął jak długi.

— Dla Boga, Adolfie! — wrzasnął jeden z towarzyszy. — Jeśli jeszcze raz coś podobnego zrobisz, niech mnie powiesz, jeżeli nie skręcę ci karku, i basta.

— Czort wie, czy on nie gorszy od lwa — gniewnie dodał drugi.

Żyd gramolił się z trudnością.

— Mein Gott! — zawołał drżący — biłem pefny, że przechodzi przez dziurę. Jeżeli wyjcie stąd cało, nikty w szyczu, są całe słoto Afryki, nie narasze się na to, co przeszetłem przez te trzy mieszonce. Oj, oj! Pomiszlecz tylko: lfy i tykrysy, nosorożce i hipopotomy. Ojoj!

Tamci roześmieli się.

— Dick i ja od początku ci mówiliśmy, że nie nadajesz się do takiej wyprawy — rzekł jeden z nich.

— No to po co ja kupiłem te fszystkie uprania? — żałośnie zawołał Niemiec. — Mein Gott! ten karnitur kosztuje mnie twadzieścia gwinei. Szebym fiedział, tobym sobie kupił za jedną gwineę. Twadzieścia fitałem i nic nie fidze, tylko Murzynów i lfy.

— A w dodatku wyglądasz w nim, jak czupiradło — dodał jeden z przyjaciół.

— I całe jest potarte i prudne. Skąd ja miałem fieciecz, że ten karnitur się sniszczy? Na moje flasne oczi fediałem w kinie, jak bohater trzi micszonce spędził w Afryce, polując na lfy i sabijając lutożerców i nie miał ani jednej plamki na upraniu. Skąd ja mogłem fiecieć, że Afryka jest taka prutna i pełna czerniów?

Tarzan zeskoczył z drzewa i stanął przed ogniskiem. Dwaj Anglicy zerwali się, widocznie zdumieni. Żyd zrobił pół kroku w zamiarze ucieczki, ale gdy spojrzał na człowieka-małpę, zatrzymał się uspokojony.

— Mein Gott, Esteban — zawołał — dlaczego fraczasz tak prentko i dlaczego przychodzisz tak nagle, co ty sobie miszlisz, że mi nie mamy nerfów?

Tarzan był wściekły na tych intruzów, którzy ośmielili się bez jego pozwolenia wkroczyć na obszary, rządzone przez niego. Gdy był rozgniewany, na jego czole nabrzmiewała szrama, otrzymana przed laty w boju z Bolgani, gorylem. Szare jego oczy zwężyły się, głos stał się lodowaty.

— Kto jesteście — zapytał — wy, którzy ośmielacie się nachodzić kraj Waziri, obszar Tarzana, bez pozwolenia Pana dzungli?

— Co ci strzeliło do głowy, Esteban — zapytał jeden z Anglików.

— Go tu robisz sam jeden i tak wcześnie? Gdzie są tragarze i złoto?

Człowiek-małpa popatrzył na niego przez chwilę.

— Jam jest Małpi Tarzan — rzekł. — Nie wiem, o czym mówisz. Wiem tylko, że poszukuję tego, kto zamordował Gobu, wielką małpę, tego, kto zamordował Barę, jelenia, bez mego pozwolenia.

— Dosyć tego, Esteban — wybuchnął drugi Anglik — jeśli masz ochotę stroić żarty, to wiedz, że nas one nie bawią, i basta.

W namiocie, do którego wszedł czwarty biały, dostrzeżony przez Tarzana ze szczytu drzewa, kobieta, struchlała z przerażenia, wskazywała na wyniosłą postać człowieka-małpy, stojącego przed ogniskiem. — O Boże — szepnęła — spójrz, Karolu!

— Co się stało, Floro? — zapytał jej towarzysz. — Widzę tylko Estebana.

. — To nie Esteban — odrzekła. — To lord Greystoke we własnej osobie — to Małpi Tarzan!

— Oszalałaś, Floro, to niemożliwe — odparł mężczyzna.

— A jednak to on — upierała się. — Czy sądzisz, że go nie znam? Czy całe lata nie służyłam u niego? Czy nie widywałam go co dzień prawie? Spójrz na tę szramę, która czerwieni się na jego czole — znam historię tej szramy i wiem, że robi się purpurowa, gdy on wpada w gniew.

— No, więc przypuśćmy, że to jest Małpi Tarzan. Więc cóż z tego?

— Nie znasz go — odrzekła dziewczyna. — Gdyby się dowiedział o naszych zamiarach, żadne z nas nie wy dostałoby się stąd żywe. Już samo to, że się tu zjawił, każe mi przypuszczać, że odkrył nasze plany. A jeśli tak, to polećmy się Bogu — chyba... chyba...

— Chyba co? — zapytał mężczyzna.

Dziewczyna stała chwilę zamyślona. — Jedno jest tylko wyjście — rzekła wreszcie. — Nie możemy go zabić. Dowiedzieliby się o tym jego czarni, a wówczas żadne moce nie uchroniłyby nas przed ich zemstą. Ale jest wyjście, jeśli zaraz się zabierzemy do roboty. — Zaczęła szukać w swych walizkach i po chwili podała towarzyszowi butelkę z płynem. — Wyjdź i pomów z nim. Zaprzyjajnij się z nim. Nakłam mu. Powiedz mu cośkolwiek. Postaraj się doprowadzić do tego, by przyjął poczęstunek. On nie używa wina, ani żadnych napojów wyskokowych, ale przepada za kawą. Nakłoń go, by napił się kawy. Wówczas będziesz wiedział, co masz zrobić z tym. — Wskazała podaną mu butelkę.

— Rozumiem — rzekł Kraski i wyszedł z namiotu. Zaledwie zrobił jeden krok, dziewczyna przywołała go z powrotem.

— Nie dopuść, żeby mnie zobaczył. Niechaj się nie domyśla, że tu jestem, albo że ty mnie znasz.

Tamten skinął głową i odszedł. Zbliżywszy się do zgromadzonych przy ognisku, powitał Tarzana uprzejmym uśmiechem i grzecznymi słowy.

— Radzi widzimy obcych w naszym obozie. Siadaj pan. Johnie, podaj panu stołek — rzekł do Peeblesa.

Tarzan chłodno przyjął przywitanie Rosjanina.

— Staralem się dowiedzieć, co tu robią pańscy towarzysze — ostro przemówił — ale oni wciąż upierają się, że jestem kimś, kim bynajmniej nie jestem. Są albo głupcami, albo łotrami. Muszę dowiedzieć się, czym są właściwie i odpowiednio z nimi postąpić.

— Musiało zajść jakieś nieporozumienie — uspokajał go Kraski. — Ale proszę, powiedz mi pan, kim jesteś?

— Jestem Małpi Tarzan. Żadnemu myśliwemu nie wolno wkraczać do tej części Afryki bez mego pozwolenia. Wszyscy o tym wiedza i musieliście o tym słyszeć. Zadam wyjaśnienia i to natychmiast!

— Ach, pan jest Małpi Tarzan — zawołał Kraski. — Co za szczęście dla nas! Teraz wy dostaniemy się nareszcie z matni. Zabłąkaliśmy się panie, najhaniańbniej się zabłąkaliśmy, dzięki nieumiejętności, czy łajdactwu przewodnika, który uciekł od nas przed wielu tygodniami. Naturalnie słyszeliśmy o panu. Któż nie słyszał o Małpim Tarzanie? Wcale nie zamierzaliśmy przekroczyć granic pańskiego terytorium. Znacznie dalej, na południu, poszukiwaliśmy okazów fauny, które nasz dobry przyjaciel i kierownik, tu obecny pan Adolf Bluber, zbiera z wielkim nakładem dla muzeum

swego rodzinnego miasta w Ameryce. Teraz pewien jestem, że pan powie nam, gdzie się znajdujemy i wskaże właściwą drogę.

Peebles, Throck i Bluber stali oszołomieni płynnością, z jaka Kraski wypowiadał te kłamstwa. Anglicy byli zbyt tępi, by tak szybko zrozumieć wybieg Rosjanina, ale niemiecki Żyd w lot pojął sytuację.

— Tak, tak — rzekł zacierając ręce — flśnie chciałem panu to pofiecieć.

Tarzan spojrział ostro na niego.

— Co więc znaczyło całe to gadanie o Estebanie? Czyż tamci dwaj nie tak mnie nazwali?

— Ach — zawołał Bluber — John chciał sobie saszartofać. On fcale nie sną Afryki, nikty tu nie pył. Pefnie miszłał, sze pan jest krajofiec. John fszystkich krajofców nazywa Esteban. Pofiec, John, czy nie jest tak, jak mówię? — Ale chytry Żyd nie czekał na odpowiedź Johna. — Fidzi pan, sapładziliśmy i jeśli pan fyprowadzi nas, sapłacimy, co pan sechce — niech pan pofie sfoją cenę.

Człowiek—małpa niezupełnie im wierzył, ale ich pokojowy nastrój ułagodził go. Może zresztą była część prawdy w tym, co mówili. Może istotnie przypadkiem zaszli na to terytorium. Ale sprawa wzięcia go za Estebana wciąż go zaciekawiała. Chciał też dowiedzieć się, kto zabił Gobu, wielką małpę.

— Proszę, siądz pan — nalegał Kraski. — Właśnie mieliśmy pić kawę. Zrobi nam pan wielką przyjemność, jeśli zechce napić się jej z nami.

Nic się złego nie stanie, jeśli napiję się kawy z tymi ludźmi, pomyślał Tarzan. Flora nie myliła się, twierdząc, że jeżeli Tarzan posiadał jaką słabostkę, to było nią upodobanie do czarnej kawy. Nie przyjął ofiarowanego stołka, tylko przykucnął, ukazując w blasku ogniska doskonałe kształty swej postaci półboga.

Peebles, Throck i Bluber przyglądali się w milczeniu, a Kraski poszedł przyrządzić kawę. Dwaj Anglicy na wpół tylko zdawali sobie sprawę ze swej pomyłki, a Bluber był pełen strachu. Jego bystrzejsza inteligencja szybko pojęła, że Kraski prawdziwie rozpoznał przybysza i że Peebles i Throck mylnie wzięli go za Estebana. Nie wiedząc o pomyśle Flory, lękał się, że Tarzan odkryje ich zamiary. Nie znając potęgi człowieka—małpy, nie drżał o życie, lękał się tylko utraty celów wyprawy. Bliski był płaczu na myśl o tym, gdy Kraski przyniósł kawę.

Z ciemnego namiotu Flora Hawkes z niepokojem przyglądała się całej scenie. Przerazała ją myśl, że może zostać odkryta. Była ona pokojówką lady Greystoke w Londynie i w afrykańskim bungalowie i wiedziała, że lord Greystokc natychmiast by ją poznał, gdyby ją zobaczył.

Ciągłe marzenia o bajecznych bogactwach Oparu, o których nasłuchiwała się z rozmów Greystoke'ów, rozbudziły w niej pragnienie posiadania ich. Z wolna obmyśliła plan zdobycia dostatecznej ilości złotych sztab, by zapewnić sobie niezależność i bogactwo. Najpierw zainteresowała tą myślą Kraskiego. Ten zaś wciągnął do spółki dwu Anglików i Blubera. Ci czterej zdobyli pieniądze, niezbędne na pokrycie kosztów wyprawy. Flora poszukiwała człowieka, który mógłby z powodzeniem udawać Tarzana we własnej dżungli i znalazła Estebana Mirandę. Piękny, rostry, pozbawiony skrupułów Hiszpan, obdarzony aktorskimi zdolnościami, mógł doskonale naśladować jej byłego pana, zewnątrznie przynajmniej.

Hiszpan, zgoliwszy brodę i przybrawszy się w strój, wzorowany na stroju, używanym w puszczy przez Tarzana, ćwiczył się usilnie w naśladowaniu swego pierwowzoru. Naturalnie, pojęcia nie miał odżungli i nie odważyłby się na pojedynek z dzikimi zwierzętami, ale na drobniejszą zwierzynę polował przy pomocy włóczni i strzał i robił ciągłe próby ze sznurem, który należał do jego przebrania.

Teraz Flora Hawkes widziała wszystkie swe dobrze obmyślane plany zagrożone zniweczeniem.

Ze drzeniem spoglądała na Kraskiego, zbliżającego się do grupki przy ognisku. Kraski postawił dzbanek i filiżanki na ziemi, nieco za Tarzanem. Gdy napełniał filiżankę dla gościa, ujrzała, jak dolał do niej część zawartości butelki, którą mu dała w namiocie. Zimny pot wystąpił jej na czoło, gdy patrzyła, jak Kraski podawał filiżankę Tarzanowi. Czy ją weźmie? Czy się czego nie domyśli? A gdyby się domyślił, jak straszliwą karę wymierzy im wszystkim? Widziała, jak Kraski podawał filiżanki reszcie towarzystwa i jedną wziął sobie. Wszyscy pięciu wzięli się do picia. Nastąpiła reakcja. Wyczerpana i osłabiona padła na ziemię. Przy ognisku Małpi Tarzan wychylił swą filiżankę do ostatniej kropli.

Rozdział VI

Śmierć i zdrada

Po południu tego samego dnia, którego Tarzan odnalazł obóz spiskowców, wartownik stojący na zewnętrznym murze zrujnowanego grodu Oparu, dostrzegł oddział ludzi, zbliżający się od strony doliny. Mieszkańcy Oparu znali jednych tylko cudzoziemców — Tarzana, Janinę Clayton i ich czarnych Waziri. Legendy tylko wspominały o minionej przeszłości, gdy inni jeszcze obcy ludzie zjawiali się w Oparze. Niemniej od niepamiętnych czasów zawsze na szczycie zewnętrznego muru stała warta. Obecnie, zamiast licznych niegdyś i gibkich wojowników Atlantydy, sprawowało straż koślawe, kalekie stworzenie, ledwie przypominające człowieka. W ciągu długich wieków piękna rasa zwyrodniała, a wskutek krzyżowania z wielkimi małpami, mężczyźni nabrali wyglądu zwierzęcego. Kobiety zachowały piękne kształty i powabne, nawet piękne nieraz twarze. Przypisać to należy temu, że zapewne uśmiercano bezzwłocznie noworodki płci żeńskiej o wyglądzie małpim, płci męskiej zaś o czysto ludzkich cechach. Typowym okazem męskich mieszkańców Oparu był wartownik. Niska, przysadzista postać, kudłate włosy i broda, zarośnięte, niskie, w tył cofnięte czoło, małe, blisko osadzone oczka, wystające kły, krótkie, pałakowate nogi, długie ręce, obrośnięte podobnie jak twarz, włosom, świadczyły o jego małpim pochodzeniu. Zauważywszy zbliżających się ludzi, zszedł z muru i pośpieszył do świątyni.

Cadj, arcykapłan Oparu, wypoczywał w cieniu wielkich drzew, otoczony niższymi kapłanami. Strażnik przybiegł do niego zadyszany:

— Cadj — zawołał — ludzie zbliżają się do Oparu! Jest ich co najmniej pięćdziesięciu. Dojrzałem ich, stojąc na warcie na zewnętrznym murze. Nic więcej nie mogę powiedzieć, bo są jeszcze bardzo daleko. Odkąd był tu wielki Tarmangani, nie pokazał się żaden człowiek w Oparze.

— Przed wielu księżycami był między nami wielki Tarmangani, zwany Małpi Tarzan — rzekł Cadj. — Obiecał powrócić przed deszczami, by przekonać się, że żadna krzywda nie spotkała La, ale nie przyszedł, a La twierdziła stale, że umarł. Czy powiedziałaś komukolwiek o tym, co zobaczyłaś?

— Nie — odpowiedział wartownik.

— Doskonale! — zawołał Cadj. — Pójdźmy wszyscy na mur i zobaczmy, kto ośmiela się wkraczać do Oparu. Niechaj nikt nie puści pary o tym, co nam powiedział Blagh, dopóki nie dam na to swego przyzwolenia.

— Słowo Cadja jest prawem, póki La nie przemówi — mruknął jeden z kapłanów.

— Jam jest arcykapłan Oparu — zachnął się. — Kto waży się być mi nieposłuszny?

— Ale La jest arcykapłanką — odezwał się ktoś — a arcykapłanka jest królową Oparu.

— Ale arcykapłan może kogo zechce złożyć w ofierze Płomiennemu Bogu w Komnacie Śmierci — znacząco przypomniał mu Cadj.

— Zachowamy milczenie, Cadj — odrzekł kapłan czołobitnie.

— Dobrze — groźnie mruknął arcykapłan i ruszył ku zewnętrznym murom. Stamtąd zaczęli się

przyglądać nadchodzącemu oddziałowi, pracowicie przebijającemu się przez nagą, skalistą dolinę.

Mała, szara małpa, siedząca na wielkim drzewie, zauważyła wycieczkę kapłanów. Była to poważna małpka, o smętnym obliczu, ale jak wszystkie jej siostrzyce, pozerana ciekawością. Ciekawość jej była tak wielka, że przeważyła strach przed groźnymi mieszkańcami Oparu i skłoniła ją do śledzenia ich. Zeskoczyła z drzewa i poszła za nimi. Ukryła się za jednym z granitowych bloków kruszejącego muru, chcąc, nie dostrzeżona, usłyszeć rozmowę, prowadzoną w języku po części dla niej zrozumiałym.

Nagle jeden z młodszych kapłanów zawołał:

— To on, Cadj. To wielki Tarmangani, zwany Małpi Tarzan. Widzę go wyraźnie. Reszta to czarni. Pogania ich włócznią. Tamci robią wrażenie wystraszonych i bardzo zmęczonych, ale on zmusza ich do dalszej drogi.

— Czy pewien jesteś — zapytał Cadj — że to Małpi Tarzan?

— Zupełnie pewien — odrzekł kapłan. Inni poparli twierdzenie towarzysza. Orszak zbliżył się na tyle, że i sam Cadj, którego wzrok słabszy był od wzroku młodszych członków towarzystwa, przekonał się, że to istotnie Małpi Tarzan wracał do Oparu.

— Nie wolno mu tu przyjść — zawołał — nie wolno mu wejść do Oparu. Czym prędzej wezwijcie stu zbrojnych. Zastąpimy im drogę, gdy wejdą na zewnętrzny mur i wymordujemy ich po jednym.

— Ale La — odezwał się ten, który już poprzednio obudził gniew Cadj. — Wyraźnie sobie przypominam, że La ofiarowała przyjaźń Oparu małpiemu Tarzanowi wówczas, przed wielu księżycami, gdy wyratował ją z kłów rozwścieczonego Tantora.

— Milczeć! — warknął Cadj. — On tu nie wejdzie. Zabijemy go. Możemy nie wiedzieć kto to, aż będzie już za późno. Rozumiecie? Wiedźcie także, że kto stanie w poprzek moim zamiarom — umrze. I nie umrze jako ofiara, zginie z mych rąk. Słyszycie?

— Brudnym palcem wskazał drżącego kapłana.

Manu, małpka, słysząc to wszystko, wrzała z podniecenia. Znała Małpiego Tarzana — wszystkie koczownicze małpki wzdłuż i wszerz Afryki znały go — znała go jako przyjaciela i opiekuna. Męscy mieszkańcy Oparu nie byli podług niej, ani ludźmi, ani zwierzętami, nie byli też jej przyjaciółmi. Wiedziała, że były to istoty okrutne, żywiące się mięsem jej rodu i za to ich nienawidziła. Toteż bardzo się przejęła spiskiem, knutym przeciwko wielkiemu Tarmangani. Poskrobała się po głowie, po ogonie, po brzuchu, próbując przetrawić myślowo wszystko, co usłyszała, i ze swego drobnego mózdzku wydobyć jakiś plan zniweczenia zamiarów kapłanów i uratowania Małpiego Tarzana. Było to najdonioślejsze zdarzenie w życiu małej Manu. Nie jest ona głębokim myślicielem, ale teraz przeszła samą siebie. Usiłowała skupić swą myśl na tej jednej sprawie, nie pozwalając, by uwagę jej oderwał spadający liść lub brzęczący owad. Nawet tłustej gąsienicy pozwoliła przesunąć się bezkarnie tuż obok siebie.

O zmierzchu Cadj dostrzegł małą szarą małpkę, znikającą na szczycie zewnętrznego muru o pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym ukrył się ze swymi towarzyszami, oczekując zbrojnych mężów. Tyle wszakże małpek kręciło się wśród ruin Oparu, że Cadj nie zwrócił uwagi na tę okoliczność. Nie dojrzał też w gęstniejących ciemnościach małej szarej postaci, mknącej przez dolinę ku gromadzie intruzów, którzy teraz właśnie zatrzymali się o jaką milę od Oparu pod samotnym wzgórzem.

Mała Manu pełna była strachu, gdy tak sama w ciemnościach gnała przez dolinę. Gdy tylko dopadła wzgórze, czym prędzej się na nie wdrapała. Chwilę odpoczywała, by nabrać tchu i uciszyć bicie swego wystraszonego serduszka, prędko jednak poszukała miejsca, z którego mogłaby spojrzeć

na oddział, u stóp wzgórza rozłożony.

Zaprawdę, był tam wielki Tarmangani Tarzan, a z nim około pięćdziesięciu Gomanganich. Ci ostatni spajali długie, proste żerdzie, które ułożyli na ziemi w dwie równoległe linie i łączyli je, co stopę mniej więcej, mniejszymi prostymi gałęziami, około osiemnastu cali długimi. W ten sposób zrobili pierwotną, lecz mocną drabinę. Naturalnie Manu nie rozumiała celu tego wszystkiego. Nie wiedziała też, że płodny w pomysły mózg Flory obmyślił ten sposób dostania się na strome wzgórze, na którego szczycie znajdowało się wejście do skarbcza Oparu. Tego także nie wiedziała Manu, że oddział nie zamierzał wcale wejść do Oparu i że nie groziła mu żadnym niebezpieczeństwem zasadzka Cadja. Podług mej, Tarzan był w niebezpieczeństwie, toteż nie ociągała się z ostrzeżeniem przyjaciela swego rodu.

— Tarzanie! — zawołała w znanym im obojgu języku. Biały człowiek i czarni spojrzeli w górę.

— To Manu, Tarzanie — ciągnęła dalej — która przyszła powiedzieć ci, żebyś nie szedł do Oparu. Cadj ze swymi ludźmi oczekuje cię za murem zewnętrznym, by cię zamordować.

Czarni, przekonawszy się, że to tylko szara małpka, wrócili do swej roboty. Biały człowiek także nie zwrócił uwagi na jej słowa. Manu nie dziwiła obojętność Murzynów, bo wiedziała, że jej nie rozumieją, ale pojąć nie mogła, dlaczego Tarzan wcale na nią nie zważa. Znowu go wezwała, powtarzając swe ostrzeżenie, wciąż bez żadnego skutku. Manu była zbита z tropu. Co się stało, że Małpi Tarzan tak obojętnie przyjmuje ostrzeżenia swej starej przyjaciółki? Wreszcie małpka dała za wygraną. Tęsknie zaczęła spoglądać w kierunku drzew, znajdujących się w otoczonym murem mieście Oparu. Ciemno się zrobiło. Drżała na myśl przebycia doliny, gdzie nocą włóczyli się wrogowie. Podrapała się po głowie, objęła rękami kolana i siadła, zawodząc żałością — poczuła się bardzo nieszczęśliwą i opuszczoną. Było tu jednak względnie bezpiecznie, postanowiła więc przepędzić noc na tym niewygodnym granitowym wzgórzu. Zobaczyła dzięki temu, jak ukończono drabinę i oparto ją o bok wzgórza, a gdy księżyc wzeszedł, ujrzała jak Tarzan zmuszał swych ludzi do wejścia na drabinę. Nigdy jeszcze nie widziała Tarzana tak szorstkim i niemiłosiernym względem czarnych.

Jeden za drugim, z widocznym wahaniem, wchodzili na drabinę czarni, wciąż przynaglani do pośpiechu ostrą włócznią białego człowieka. Gdy wszyscy weszli, Tarzan ruszył za nimi. Manu widziała, jak znikli we wnętrzu wielkiej skały.

Wkrótce zjawili się z powrotem. Każdy z nich był teraz objuczony dwoma wielkimi przedmiotami. Przedmioty te wydały się Manu podobne do mniejszych złomów kamiennych, z których były zbudowane gmachy w Oparze. Widziała, jak rzucali te złomy ze skraju wzgórza na dół na ziemię. Gdy już ostatni czarny ukazał się ze swym ciężarem i cisnął go na ziemię, wszyscy zaczęli schodzić z drabiny. Ale teraz Małpi Tarzan szedł pierwszy. Potem spuścili drabinę na ziemię, rozebrali ją i złożyli jej części u stóp skały. Pozbierali przyniesione z wnętrza wzgórza kamienie i z Tarzanem na czele, ruszyli w powrotną drogę.

Manu widocznie spała. Myślała, że na chwilę tylko przymknęła oczy, ale gdy je otworzyła, różowa jutrzienka rozjaśniała dolinę. Dojrzała oddział Tarzana, znikający za skałami północno-wschodnimi i odwróciła się ku Oparowi, przygotowując się do zejścia ze wzgórza. Przedtem jednakże trzeba zrobić rekonesans — Sheeta, pantera, może się jeszcze włóczyć. Pomknęła ku krawędzi wzgórza, skąd mogła zobaczyć całą dolinę aż do Oparu i ujrzała coś, co ja znowu podnieciło do najwyższego stopnia. Z zewnętrznego muru Oparu wyłaniał się znaczny oddział strasznych mieszkańców Oparu, całą setkę mogłaby Manu naliczyć, gdyby liczyć umiała.

Wyglądało, jak gdyby szli w kierunku wzgórza. Manu siadła i postanowiła odłożyć swój powrót do miasta, póki droga się nie oczyści. Wyobraziła sobie, że idą po nią, ukryła się więc za

wystającym kamieniem, jednym tylko oczkiem obserwując nieprzyjaciela.

Nadchodzili coraz bliżej, ale nie zatrzymali się przy wzgórzu, nawet się do niego bardzo nie zbliżyli, tylko je minęli. Teraz w mózgu małpki błysnęła trafna myśl — Cadj gonił Małpiego Tarzana, by go zamordować. Jeśli obojętność Tarzana obraziła Manu, to już o tym widocznie zapomniała, gdyż grożące mu niebezpieczeństwo wzruszyło ją tak samo, jak ubiegłego wieczora. Manu pomknęła w kierunku Oparu. La, arcykapłanka i królowa Oparu, w towarzystwie kapłanek kąpała się w sadzawce ogrodowej, gdy uwagę jej zwróciły krzyki małpki, zawieszanej ogonem na gałęzi drzewa nad sadzawką. Była to mała szara małpka z tak mądrym i poważnym wyrazem twarzy, że można by pomyśleć, że na swych barkach dźwigała odpowiedzialność za losy świata.

— La, La — wrzeszczała — poszli zabić Tarzana, poszli zabić Tarzana!

Na dźwięk tego imienia, La cała zamieniła się w słuch. Zanurzona po pas w wodzie, pytająco spojrzała na małpkę.

— Co chcesz powiedzieć, Manu? — zapytała. — Wiele księżyców minęło, odkąd Tarzan był w Oparze. Nie ma go tu obecnie. O czym mówisz?

— Widziałam go wrzeszczała Manu — widziałam go tej nocy z licznymi Gomangani. Przyszedł do wielkiej skały, która stoi w dolinie przed Oparem. Ze wszystkimi swymi ludźmi wspiął się na jej szczyt. Weszli do jej wnętrza i wyszli z kamieniami, które porzucali na ziemię. Potem zeszli ze skały, zebrali kamienie i odeszli tam — i Manu wskazała na północny-wschód włochatym paluszkiem.

— Skąd wiesz, że to był Małpi Tarzan? — zapytała La.

— Czyż Manu nic zna swego krewniaka i przyjaciela? — rzekła małpka. — Widziałam go na własne oczy, to był Małpi Tarzan.

La w zamyśleniu zmarszczyła czoło. W głębi jej serca tliła się wielka miłość do Tarzana. Miłość te stłumiła konieczność poślubienia Cadja, albowiem prawa Oparu nakazują, by arcykapłanka Płomiennego Boga, po upływie pewnej ilości lat od jej wyświęcenia, pojęła małżonka. Długo La pragnęła pojąć Tarzana za męża. Człowiek-małpa nie kochał jej i zrozumiała wreszcie, że nigdy jej nie pokocha. Wreszcie ugięła się przed strasznym losem, który pchnął ją w ramiona Cadja.

Gdy miesiąc za miesiącem mijał, a Tarzan się nie zjawiał wbrew swej obietnicy, że przyjdzie, by zobaczyć, czy pięknej La nie spotkała jaka krzywda, uwierzyła, że Cadj słusznie zapewniał ją o śmierci człowieka-małpy. Nie przestała nienawidzić odrażającego Cadja, ale z czasem jej miłość do Tarzana stała się zaledwie smętnym wspomnieniem. Teraz, gdy się dowiedziała, że Tarzan żyje, otworzyła się stara rana. W pierwszej chwili zrozumiała tyle tylko, że Tarzan był niedawno w pobliżu Oparu, ale krzyki Manu przypomniały jej, że Tarzanowi groziło niebezpieczeństwo. Nie wiedziała tylko jakie.

— Kto poszedł zabić Małpiego Tarzana? — zapytała nagle.

— Cadj, Cadj! — krzyczała Manu. — Poszedł z wielu, wielu ludźmi i idzie za tropem Tarzana.

La wyskoczyła z sadzawki, spiesznie się ubrała i pobiegła do świątyni.

Rozdział VII

„Musisz złożyć go w ofierze”

Cadj wraz z setką zbrojnych ostrożnie, cichaczem, szedł trop w trop za białym człowiekiem i jego czarnymi towarzyszami. Nie spieszył się, gdyż zauważył, że ścigany oddział posuwał się bardzo powoli. Nie wiedział, czemu to przypisać, gdyż zbyt było daleko, aby dostrzec ciężary, dźwigane przez wszystkich czarnych. Nie zależało mu zresztą na pośpiechu. Wolał nocą napaść na śpiący obóz, niż wśród białego dnia mierzyć się z przeciwnikiem. Około południa pościg zatrzymał się na widok ciernistej bomy, świeżo zbudowanej na małej polance. Zza bomy unosił się dyni ogniska. Tu więc, niechybnie, był obóz człowieka—małpy.

Cadj ukrył swych wojowników w gęstych zaroślach, a jednego tylko wysłał na rekonesans. Gdy wysłannik wrócił niebawem z wiadomością, że obóz był opustoszały, Cadj i jego ludzie weszli do bomy, by zdać sobie sprawę z liczebności orszaku Tarzana. Nagle wzrok Cadj'a padł na coś, leżącego na krańcu bomy. Wyglądało to z dala na postać ludzką, skurczoną na ziemi. Dwunastu wojowników ze wzniesionymi maczugami zbliżyło się do tego miejsca. Ujrzeni martwą postać Małpiego Tarzana.

— Płomienny Bóg dosięgnął tego, który zbezcześcił jego ołtarz! — zawołał arcykapłan. Ale inny kapłan, bardziej przewidujący, przykląkł obok człowieka—małpy i przyłożył ucho do jego serca.

— On nie umarł — szepnął — może śpi tylko.

— Pochwyćcie go, zwawo! — zawołał Cadj. Gromada straszliwych ludzi rzuciła się na Tarzana. Nie stawiał im żadnego oporu, nawet oczu nie otworzył. Po chwili związali mu mocno ręce.

— Zabierzcie go tam, gdzie spocznie na nim oko Płomiennego Boga! — zawołał Cadj. Zanieśli Tarzana na środek bomy, na pełne światło słoneczne i Cadj, arcykapłan, stanął z wyciągniętym nożem nad ofiarą. Orszak otoczył kołem arcykapłana i człowieka—małpę. Spoglądali niespokojnie to na jednego, to na drugiego, rzucając od czasu do czasu wejrzenia na słońce, wysoko się wznoszące na pokrytym chmurami niebie. Jeden wreszcie, ten sam kapłan, który już poprzednio sprzeciwił się morderczym zamiarom Cadj'a, odważył się wypowiedzieć swe wątpliwości.

— Cadj — rzekł — kim jesteś, by składać ofiarę Płomiennemu Bogu? Jest to wyłączny przywilej La, naszej arcykapłanki i królowej. Zaprawdę, rozgniewa się ona, gdy się dowie, coś uczynił.

— Milcz, Dooth! — krzyknął Cadj. — Ja, Cadj, jestem arcykapłanem Oparu. Ja, Cadj, jestem małżonkiem La, królowej. Moje słowo również jest prawem w Oparze. Jeśli chcesz zostać nadal kapłanem, jeśli chcesz zachować życie, milcz.

— Twoje słowo nic jest prawem — odburknął Dooth — i jeśli rozgniewasz La, arcykapłankę, lub Płomiennego Boga, możesz ulec karze, jak każdy inny. Jeśli dopełnisz tej ofiary, rozgniewasz oboje.

— Dosyc tego! — zawołał Cadj. — Płomienny Bóg przemówił do mnie i zażądał, abym ofiarował mu tego oto, który skalał jego świątynię. — Przykląkł obok człowieka—małpy i podniósł nóż, by przebić mu serce. W tej właśnie chwili chmura zasłoniła słońce. Wśród kapłanów rozległo

się szemranie.

— Patrz! — zawołał Dooth. — Płomienny Bóg jest zagniewany. Ukrył oblicze przed ludem Oparu.

Cadj zatrzymał się. Spojrzał na chmurę, zasłaniającą słońce. Podniósł się z wolna i z wyciągniętymi ramionami ku ukrytemu bogu dnia, trwał chwilę w postawie nasłuchującej. Naraz obrócił się do otoczenia.

— Kapłani Oparu! — zawołał. — Płomienny Bóg przemówił do swego arcykapłana. Nie jest gniewny. Pragnie tylko mówić ze mną samym i żąda, byście oddalili się do dżungli i zaczekali, póki on nie przyjdzie i nie przemówi do Cadja. Potem zawezwę was. Odejdźcie.

Dooth i kilku innych zawahało się.

— Precz! — rozkazał Cadj. Wszyscy, nawet sceptycy, ulegając nawykowi do posłuszeństwa, znikli w dżungli. Chytry uśmiech wypełził na okrutną twarz arcykapłana. Postanowił zamordować człowieka—małpę podczas nieobecności Dootha i reszty, lecz strach przed bogiem wstrzymał jego dłoń. Czekał, by jego bóstwo zajaśniało, zapewniając mu swą łaskę za dokonany czyn.

Wielka chmura przestłoniła słońce. Cadj czekał ze wzrastającym podnieceniem. Sześć razy podnosił nóż i cofał. Minęło pięć, dziesięć, piętnaście minut, a słońce wciąż było zasłonięte. Nareszcie Cadj spostrzegł, że zbliża się do krańca chmury. Ukląkł znowu obok Tarzana, oczekując zabłyśnięcia słońca. Nagle ciszę przerwał krzyk kobiecy.

— Cadj! — rozległ się jeden jedyny wyraz, ale wywołał wrażenie, jak gdyby piorun padł z jasnego nieba.

Z wciąż wzniesionym nożem arcykapłan odwrócił się i ujrzał na skraju polanki La, a za nią Dootha i innych kapłanów.

— Co to ma znaczyć, Cadj? — gniewnie zapytała La, szybko nadbiegając.

— Płomienny Bóg zażądał życia tego niewiernego — zawołał.

— Kłamco! — odparła La. — Płomienny Bóg porozumiewa się z ludźmi jedynie przez usta arcykapłanki. Nazbyt już często usiłowałeś stanąć w poprzek woli swej królowej. Wiedz, Cadj, że prawo życia i śmierci, przysługujące twej królowej, rozciąga się zarówno na ciebie, jak na innych. Podania nasze wspominają o niejednym arcykapłanie, ofiarowanym na ołtarzu Płomiennego Boga. Los ten może spotkać innego zuchwalca. Opanuj swą pychę i żądzę władzy, aby cię nie przywiodły do zguby.

Cadj schował nóż do pochwy i rzuciwszy zjadliwe spojrzenie na Dootha, ponuro się odwrócił. Jasnym było, że chwilowo przestraszył się królowej, ale kto znał Cadja, nie wątpił, że nie porzucił zamiaru zamordowania Tarzana i że jeśli tylko nadarzy się sposobność, uczyni to, gdyż Cadj miał liczny zastęp zwolenników. Wielu wątpiło, by La ośmieliła się kiedykolwiek wzniecić gniew i niezadowolenie wśród swych poddanych, skazując na śmierć lub degradację arcykapłana.

Lata całe wyszukiwała różnych wykrętów by odwlec swe małżeństwo z Cadjem. Wznieciła niechęć swego ludu namacalnymi dowodami swej miłości do człowieka—małpy. Wprawdzie musiała nareszcie zgodzić się na poślubienie Cadja, nie zadawała sobie jednak trudu, by ukryć swój wstręt i nienawiść do niego. Nie wiadomo było, jak długo wszystko to ujdzie jej bezkarnie. Cadj wiedział o tym i nie dziw, że żywił zdradzieckie zamiary względem swej królowej. Wspólniczką jego była Oah, kapłanka, która zabiegała o władzę i urzędy La. Gdyby się udało pozbyć La, Cadj mógłby przy pomocy swych wpływów uczynić Oah arcykapłanką. Miał jej obietnicę, że go poślubi i pozwoli mu rządzić jak królowi. Oboje bali się jednak przesądnie płomiennego bóstwa i chwilowo ten ich strach chronił życie La. Wystarczyłaby wszakże najdrobniejsza iskierka do rozdmuchania tłącego się zarzewia zdrady.

Jak dotąd La miała pełne prawo zabronić arcykapłanowi spełnienia ofiary na Tarzanie. Ale jej losy, jej życie nawet, zależały od jej dalszego zachowania się względem jeńca. Jeśli go oszczędzi, jeśli w jakikolwiek sposób zdradzi się ze swą ku niemu miłością, będzie zgubiona. Nie wiadomo nawet, czy wolno jej było bezkarnie darować mu życie i wrócić mu wolność.

Cadj i pozostali bacznie się jej przyglądali. Długą chwilę stała w milczeniu nad Tarzanem, wreszcie zapytała:

— Czy już nie żyje?

— Był żyw, gdy nas Cadj odesłał — odezwał się Dooth. — Jeśli teraz nie żyje, to dlatego że Cadj go zabił w czasie naszej nieobecności.

— Nie zabiłem go — rzekł Cadj. — La pouczyła nas, że to do niej należy. Oko Płomiennego Boga patrzy na ciebie, arcykapłanko. Nóż jest u twego boku, ofiara leży przed tobą.

La zwróciła się do Dootha:

— Jeśli on jeszcze żyje, zróbcie nosze i zabierzcie go do Oparu.

Znowu więc przybył Tarzan do Oparu. Narkotyk, zadany mu przez Kraskiego, nie działał długo. W nocy człowiek-małpa otworzył oczy i zdumiony był ciemnościami i ciszą panującymi wokół. Węchem poznał, że leży na stosie futer. Nie czuł żadnego bólu, wiedział więc, że nie jest ranny. Z wolna wracały mu wspomnienia ostatnich chwil przed utratą przytomności. Zrozumiał, jakiego podstęp padł ofiarą. Pojęcia nie miał, jak długo był bezprzytomny i gdzie się znajduje obecnie. Z wolna się podniósł i z wyciągniętymi rękami, ostrożnie stąpając, zaczął się poruszać w ciemnościach. Niebawem zatrzymała go kamienna ściana. Poszedł wzdłuż niej i przekonał się, że znajdował się w małej komnatce o dwojgu drzwi. Zmysły dotyku i powonienia, którymi jedynie mógł się tu posługiwać, pouczyły go, że uwięziony był w podziemnej komnacie. Wkrótce, w miarę jak znikwały skutki narkotyku i odzyskiwał bystrość zmysłów, zaczął odczuwać znane zapachy, przypominać sobie, że spotykał je w podobnych okolicznościach. Wreszcie zrozumiał, że znajduje się w głębokim lochu pod Oparem.

Nad nim, w swej komnacie w świątyni, La nie mogła zasnąć. Nazbyt dobrze znała usposobienie swego ludu i zdradzieckość Cadja. Znała religijny fanatyzm swych poddanych i wiedziała, że Cadj podburzy ich przeciw niej, jeśli i tym razem nie ofiaruje człowieka-małpy Płomiennemu Bogu. Usiłowania rozwiązania tego zagadnienia spędzały sen z jej powiek, nie pragnęła bowiem ofiarować Tarzana. Aczkolwiek arcykapłanka straszliwej religii i królowa półzwierząt, była kobietą i to kobietą, której jedyną w życiu miłością był cudowny człowiek-małpa, obecnie znowu znajdujący się w jej mocy. Dwa razy uniknął już jej noża ofiarnego. Dziś stało przed nią zagadnienie, którego rozwiązanie przekraczało jej moc. Zdecydowana była uratować życie Tarzanowi. On dwa razy uchronił ją od zagłady — raz ocalił ją przed szalonym kapłanem, drugi raz przed Tantorem. Wówczas też dała mu słowo, że jeśli przyjdzie znowu do Oparu, spotka się z przyjaznym przyjęciem. Ale wielkie były wpływy Cadja. Wiedziała, że Cadj był nieubłaganym wrogiem Tarzana. Zauważyła podejrzliwe spojrzenia swych poddanych, gdy niesiono jeńca do Oparu. Wiedziała, że czyhają na jej pobłażliwość względem człowieka-małpy.

Było już dobrze po północy, gdy weszła do niej jedna z kapłanek, czuwających zawsze na straży przed drzwiami jej komnaty.

— Dooth chce z tobą mówić — szepnęła służebnica.

— Późno jest — rzekła La — i mężczyznom nie wolno wchodzić do tej części świątyni. W jaki sposób się tu dostał i dlaczego?

— Mówił, że przychodzi w sprawie La, której grozi wielkie niebezpieczeństwo.

— Przeprowadź go tu i jeśli cenisz swe życie, pamiętaj, byś nikomu o tym nie powiedziała.

— Będę niema jak kamienie ołtarza — odparła dziewczyna i wyszła z komnaty.

Wróciła po chwili z Doothem. La kazała oddalić się służebnicy i zwróciła się do kapłana.

— Mów! — rozkazała.

— Wiemy wszyscy — rzekł — o miłości, jaką La żywi względem człowieka-małpy. Nie moją jest rzeczą sądzić myśli lub czyny swej arcykapłanki. Moją rzeczą jest służyć i lepiej by zrobili inni, gdyby Ci służyli, zamiast przeciw tobie spiskować.

— Kto spiskuje przeciw mnie?

— W tej chwili właśnie Cadj i Oah, i wielu kapłanów i kapłanek planują twoją zgubę. Przygotowują szpiegów do śledzenia cię. Wiedząc, że chcesz uwolnić człowieka-małpę, przyślą ci kogoś, kto cię zapewni, że najlepszym rozwiązaniem zagadnienia będzie jego ucieczka. Ten ktoś będzie przysłany przez Cadja, ci zaś, którzy cię śledzą, doniosą ludowi i kapłanom, że widzieli, jak uwalniałaś ofiarę. Ale i to na nic się nie zda, bo Cadj i Oah i inni ukryli na drodze z Oparu licznych ludzi, którzy napadną na człowieka-małpę i zamordują go, zanim Płomienny Bóg dwakroć zejdzie do zachodniego lasu. Jeden tylko pozostaje Ci sposób uratowania się La, z Oparu.

— Jaki? — zapytała.

— Własnymi rękami na ołtarzu naszej świątyni musisz zabić człowieka-małpę w ofierze Płomiennemu Bogu.

Rozdział VIII

Tajemnica przeszłości

Następnego ranka La spożyła śniadanie i posłała Dootha z jadłem dla Tarzana, gdy weszła do niej młoda kapłanka, siostra Oah. Zanim dziewczę przemówiło, La odgadła, że to poseł Cadja i że rozpoczęła się intryga, przed którą przestrzegał ją Dooth. Dziewczyna była zmieszana i najwidoczniej wystraszona. Młoda była i wielce poważała królową, która mogła zadać jej śmierć. La, powziąwszy plan działania, który przyczyni dużo kłopotów Cadjowi i jego spiskowcom, w milczeniu czekała, co powie dziewczyna. Młoda kapłanka nie mogła zebrać się na odwagę i zaczęła mówić o różnych rzeczach, nic wspólnego z jej poselstwem nie mających. La, arcykapłanka, bawiła się jej zmieszaniem.

— Nie często — rzekła — siostra Oah przychodzi nie wzywana do apartamentów swej królowej. Rada jestem, że nareszcie zrozumiała, co winna arcykapłance Płomiennego Boga.

— Przychodzę — rzekło dziewczę, jak gdyby recytowało wyuczoną rolę — powiedziec ci, co podśluchałam. Niechybnie to cię zainteresuje i pewna jestem, że rada będziesz usłyszeć tę wiadomość.

— Sądysz? — zapytała La, marszcząc brwi.

— Podśluchałam — ciągnęła dalej dziewczyna — Cadja rozmawiającego z kapłanami i wyraźnie słyszałam, jak mówił, że byłby szczęśliwy, gdyby człowiek-małpa uciekł, gdyż to i ciebie i Cadja uwolniłoby od wielu kłopotów. Pomyślałam sobie, że La, królowa, z radością dowie się o tym, boć wszystkim nam wiadomo, że La przyrzekła przyjaźń człowiekowi-małpie i dlatego nie chce ofiarować go na ołtarzu Płomiennego Boga.

— Znam swe obowiązki — wyniośle odparła La — i nie potrzebuję Cadja ani służebnicy, by mnie pouczali. Znam też przywileje arcykapłanki. Jednym z nich jest prawo składania ofiar. Dlatego nie dopuściłam, by Cadj ofiarował cudzoziemca. Mojej tylko ręce wolno krew jego złożyć w ofierze Płomiennemu Bogu. Pojutrze umrze on pod moim nożem na ołtarzu naszej świątyni.

Słowa te wywarły oczekiwane wrażenie. Na twarzy posła Cadja odmalowało się rozczarowanie i złość. Nie znajdując odpowiedzi, gdyż jej instrukcje me przewidziały takiej postawy La, służebnica wyszła pod jakimś błahym pretekstem. Po jej odejściu La nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Bynajmniej nie zamierzała ofiarować Tarzana. Tego, naturalnie, siostra Oah nie wiedziała, wróciła więc do Cadja i powtórzyła mu odpowiedź La. Zmarkotniał arcykapłan, gdyż pragnął on nie tyle zagłady Tarzana, ile popchnięcia La do czynu, który by ściągnął na nią gniew kapłanów i ludu Oparu i wyrok śmierci. Oah, obecna przy sprawozdaniu siostry, zagryzła wargi. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bliska osiągnięcia dawno upragnionego stanowiska arcykapłanki, wielkie też było jej rozczarowanie. Zaczęła krążyć, głęboko w myślach pogrążona, wreszcie stanęła przed Cadjem.

— La kocha człowieka-małpę — rzekła — a jeśli go ofiaruje, to tylko ze strachu przed gniewem ludu. Ona go wciąż kocha, kocha go więcej, Cadj, niż kiedykolwiek kochała ciebie. Człowiek-małpa

wie o tym i ufa jej, a ponieważ on jej ufa, jest sposób wyjścia. Posłuchaj, Oah. Poślemy do człowieka—małpy osobę, która mu powie, że przychodzi od La i że La zleciła jej wyprowadzić go z Oparu i wypuścić na wolność. Ta osoba zawiedzie go w naszą zasadzkę. Gdy go zabijemy, pójdziemy tłumnie do La i oskarżymy ją o zdradę. Ta, która wyprowadzi człowieka—małpę z Oparu, powie, że zrobiła to na rozkaz La. Lud i kapłani wpadną w gniew, a ty wówczas zażadasz głowy La. Wszystko pójdzie gładko i pozbędziemy się obojga.

— Wybornie! — zawołał Cadj. — Zróbmy to pojutrze o brzasku, a zanim Płomienny Bóg ucia się na nocny spoczynek, ujrzy nową arcykapłankę.

W nocy obudził Tarzana skrzyp drzwi jego celi. Wśród nieprzeniknionych ciemności nie mógł nikogo dojrzeć, ale usłyszał szelest stóp, obutych w sandały i szeptem wypowiedziane swe imię.

— Jestem — odrzekł. — Kto jesteś i czego chcesz od Małpiego Tarzana?

— Niebezpieczeństwo zagraża twemu życiu — odpowiedział głos kobiety. — Pójdź za mną.

— Kto cię przysłał? — zapytał człowiek—małpa, usiłując węchem rozpoznać przybyłą; ale w powietrzu unosił się tak mocny zapach wonności, którymi ciało kobiety musiało być namaszczone, że nie mógł odgadnąć, czy to jedna z kapłanek, znanych mu z czasów swej poprzedniej bytności w Oparze, czy ktoś zupełnie obcy.

— La mnie przysłała, abym cię wywiodła z lochów Oparu na wolność, poza mury miasta — odrzekła. — Oto twoja broń — rzekła, podając mu ją. Wzięła go za rękę i zaczęła prowadzić po korytarzach, schodach, sieniach, otwierając i zamykając niezliczone drzwi. Tarzan nie miał pojęcia, jak długo tak szli. Ponieważ Dooth, przynosząc jado, opowiedział mu, jak La uratowała go z rąk Cadj, gdy ten znalazł go uspiętego w opuszczonej bomie Europejczyków, wierzył, że ma w La przyjaciółkę i szedł chętnie.

Przeszło godzinę wiodła go przewodniczka wśród nieprzebitych mroków podziemia, aż wreszcie wydobyli się po schodach na górę i znaleźli się wśród gęstych zarośli, przez które zaledwie można było dojrzeć blade światło księżyca. Przewodniczka, wciąż zachowując głębokie milczenie, poprowadziła go zawiłym tropem przez gęsty bór, obficie podszyty.

Po gwiazdach i księżycu i po wznoszącym się tropie poznał, że prowadzi go w góry, leżące poza Oparem. Było to miejsce, do którego nigdy nie zamierzał się udawać, ponieważ okolice te były surowe i niegościnne, i nie obfitowały w ulubioną przez niego zwierzynę. Zadziwiła go napotykana roślinność, przypuszczał bowiem, że w górach tych nic nie rosło, prócz skarłowaciałych drzew i mizernych krzewin. W miarę jak się wspinali, księżyc wznosił się coraz wyżej i wreszcie ukazał oczom Tarzana mijane okolice. Zobaczył wówczas, że wspinają się po wąskim, gęsto zadrzewionym wąwozie i zrozumiał, że z równiny przed Oparem niepodobna było dojrzeć tej roślinności.

Na wschodzie bladły gwiazdy, nadchodził świt, gdy wdrapali się po spadzistej ścianie wąwozu i wyszli na stosunkowo równy grunt. Tymczasem niebo się rozjaśniło, i gdy kobieta się zatrzymała na skraju pochyłości, Tarzan ujrzał poniżej zalesione wgłębienie. Poprzez drzewa, o jakie dwie lub trzy mile odległości, widniały zarysy budowli, błyszczącej i skrzącej się w świetle wschodzącego słońca. Spojrzał na swą towarzyszkę. Ze zdumieniem i mieszanym ujrzał przed sobą La, arcykapłankę Oparu.

— To ty?! — wykrzyknął. — Teraz zaprawdę Cadj znajdzie poszukiwaną, jak mi mówił Dooth, sposobność, by się ciebie pozbyć.

— Nigdy nie znajdzie sposobności pozbycia się mnie, albowiem nigdy nie powrócę do Oparu — odparła La.

— Nigdy nie wrócisz do Oparu! — zawołał. — Dokąd więc idziesz? Dokąd możesz pójść?

— Idę z tobą — odrzekła. — Nie proszę, byś mnie kochał. Proszę cię tylko, byś mnie zabrał z

Oparu, od wrogów, którzy chcą mnie zamordować. Nie miałam innego wyjścia. Manu, małpka, podsłuchiwała, jak spiskowali i opowiedziała mi o wszystkich ich zamiarach. Czybym cię ocaliła, czy ofiarowała, na jedno by wyszło co do moich losów. Postanowili pozbyć się mnie, aby Oah mogła zostać arcykapłanką, a Cadj królem Oparu. Ale ja za nic w świecie nie byłabym cię ofiarowała, ucieczka więc była jedynym środkiem ocalenia nas obojga. Nie moglibyśmy pójść na północ lub na zachód przez równinę, bo Cadj zasadził wojowników, którzy na ciebie czyhają, by cię zamordować.

— Ale dokąd mnie prowadzisz? — zapytał Tarzan.

— Z dwojga złego wybrałam mniejsze. W tym kierunku leży nieznaną krainą, według legend w Oparze krążących, zaludniona przez potwory i dziwne stwory. Nigdy żaden mieszkaniec Oparu nie zaszedł tam i nie powrócił. Jeśli jednak jest na całym świecie istota, zdolna przebić się przez tę nieznaną dolinę, ty nią jesteś, Małpi Tarzanie.

— W jaki jednak sposób — zapytał Tarzan — skoro nic nie wiesz o tej krainie, ani o jej mieszkańcach, w jaki sposób tak dobrze znasz drogę, do niej wiodącą?

— Znamy dobrze drogę do szczytu, ale to wszystko, co znamy. Tą drogą posługują się wielkie małpy i lwy, gdy schodzą do Oparu. Lwy, oczywiście, nie mogą nam powiedzieć, dokąd ona wiedzie, wielkie małpy zaś nie chcą, gdyż zazwyczaj jesteśmy z nimi na stopie wojennej. Tą drogą przychodzą do Oparu, by porywać nasz lud i na tej drodze zaczajamy się na nie, często bowiem składamy je na ołtarzu Płomiennego Boga. Ścisłej mówiąc, było to dawniej zwyczajem, gdyż od wielu lat stały się bardzo czujne. Nie wiemy, po co porywają naszych ludzi, może ich zjadają. To potężna rasa. Stoją wyżej od Bolgani, goryla, są nieskończenie przebiegłejsze, gdyż w żyłach tych wielkich małp, zamieszkujących dolinę nad Oparem, płynie krew zarówno małpia, jak ludzka.

— Dlaczego musimy przejść przez tę dolinę, by uciec z Oparu? Musi być jakaś inna droga — rzekł Tarzan.

— Nie ma innej drogi, Małpi Tarzanie — odparła. — Wszystkie inne są strzeżone przez ludzi Cadja. Jedynie w tym kierunku idąc, możemy się im wymknąć. Przecinając, czy okrążając dolinę, musimy znaleźć przejście przez góry na drugą stronę.

Tarzan spoglądał w zalesioną dolinę, rozważając zagadnienia chwili. Gdyby był sam, nie byłby obrał tej drogi. Tak ufał swej zręczności, że był pewien, iż byłby pokrzyżował plany Cadja i względnie bezpiecznie minął równinę Oparu. Ale nie był sam. Musiał opiekować się La. Nie mógł zawieść jej nadziei w nim pokładanych, zwłaszcza że to ona przecież usiłowała uratować mu życie.

Ponieważ jedynym jego celem było przedarcie się przez góry i wydostanie się z tych niegościnnych stron, najrozsądniejszym byłoby okrążyć dolinę, trzymając się jak najdalej od budynku. Ale zarysy dostrzeżonej poprzez drzewa budowli zaostrzyły jego ciekawość do tego stopnia, że poczuł nieposkromioną chęć zbadania jej. Nie wierzył, by kotlina była zamieszkała przez inne istoty, prócz dzikich zwierząt. Widniejącą budowlę uważał za dzieło rąk ludności, która bądź wygasła, bądź opuściła te strony. Przypuszczał, że byli to ludzie albo współcześni starożytnym mieszkańcom Atlantydy, którzy zbudowali Opar, albo może pierwotni oparianie, zapomnieni obecnie przez swych potomków. Dostrzeżone zarysy budowli były pałacowych rozmiarów i wspaniałości. Małe było jednak prawdopodobieństwo, by kotlinę zamieszkiwały istoty ludzkie. Niewątpliwie, przy bliższym zbadaniu okaże się, że owe budowle były to opustoszałe ruiny i że najgroźniejszymi wrogami, jakich napotka, będą wielkie małpy i lwy. Nie lękał się ani jednych, ani drugich, możliwe było nawet, że z pierwszymi nawiąże przyjazne stosunki. Ponieważ był przekonany, że trzeba szukać wyjścia po przeciwnej stronie doliny, było rzeczą naturalną, że chciał wybrać najkrótszą drogę, przecinającą dolinę. W ten sposób jego pragnienie zbadania kotliny kojarzyło się ze względami na celowość i pośpiech.

— Pójdź — rzekł do La i ruszył w dół po pochyłości, wiodącej do doliny w kierunku budowli.

— Nie pójdiesz chyba tędy?! — zawołała zdumiona.

— A dlaczego? — zapytał. — To najkrótsza droga przez dolinę i o ile mogę sądzić, wydostaniemy się z gór raczej w tym kierunku idąc niż w innym.

— Ale ja się boję — odrzekła. — Płomiennemu Bogu jedynie wiadomo, jakie okropności czyhają na nas w tym lesie pod nami.

— Jedynie Numa i Mangani — odparł — a tych nie mamy powodu się lękać.

— Ty niczego się nie boisz, ale ja jestem jedynie kobietą — rzekła.

— Raz tylko możemy umrzeć — odparł Tarzan — i ten jeden raz musimy umrzeć. Nie unikniemy śmierci przez wieczny strach przed nią, a życie w ciągłej obawie byłoby nic nie warte. Pójdziemy więc najkrótszą drogą, a może to co zobaczymy, okaże się warte ryzyka.

W miarę jak schodzili, krzaki i droga stawały się gęstsze i wyższe, wreszcie znaleźli się pod wielkim lasem. Na mocno ubitej ziemi mało było śladów, ale gdzieś tam widniały ślady lwich stóp. Tarzan często się zatrzymywał i nasłuchiwał, często podnosił do góry głowę i węszył wokół swymi wrażliwymi nozdrzami.

— Zdaje się, że w tej dolinie są ludzie — rzekł wreszcie — od pewnego czasu mam uczucie, że jesteśmy obserwowani. Ale nasz tropiciel jest niewypowiedzianie mądry, gdyż mogę zaledwie wyczuć cień jakiejś obecności.

La obejrzała się trwożliwie i przysunęła się do niego bliżej. — Nikogo nie widzę — szepnęła.

— Ani ja — odrzekł. — Nie mogę też pochwycić żadnego określonego odoru, a jednak pewien jestem, że ktoś idzie za nami. Ktoś lub coś nas tropi węchem i jest dosyć mądre, by uniknąć naszego powonienia. Prawdopodobnie idzie to coś po drzewach dosyć wysoko, byśmy nie mogli jego zapachu wyczuć. Poczekaj, przekonam się. — Lekko skoczył na drzewo i pomknął ze zwinnością Mann, małpki. Po chwili zeskoczył na ziemię.

— Nie myliłem się — rzekł — tam, niedaleko, jest ktoś, czy coś. Czy to człowiek, czy Mangani, nie wiem, bo zapach jest szczególny. Nie przypomina żadnego z nich, a jednak przypomina oboje. Pójdź, zabawimy się w te łowy razem. — Wziął kobietę na ramiona i zaniósł wysoko na drzewo. — O ile nic jest tak blisko, by mogło nas widzieć, o czym wątpię — powiedział — teraz nasz zapach będzie nad jego głową i minie jakiś czas, nim go odnajdzie, chyba że jest dosyć mądre, aby wznieść się wyżej od nas.

Pół godziny posuwał się naprzód z La na grzbiecie i nagle stanął.

— Patrz! — wskazał na coś poniżej, a wprost przed nimi. La spojrzała we wskazanym kierunku i zobaczyła małą, ostrokołem otoczoną osadę, w której znajdowało się kilkadziesiąt chat. Chaty te przykuły jej uwagę, nie mniejsze też zaciekawienie wzbudziły w Tarzanie. Były to niewątpliwie chaty, ale zdawały się bujać w powietrzu. Jedne kołysały się łagodnie w tył i naprzód, inne trzęsły się gwałtownie. Tarzan przerzucił się na bliższe drzewo i postawiwszy La na mocnym konarze, zaczął się skradać. La szła za nim, gdyż jak wszyscy oparanie, umiała piąć się po drzewach. Gdy wreszcie doszli do miejsca, skąd mogli wyraźnie widzieć wioskę, wyjaśniła się tajemnica tańczących chat.

Były zbudowane w kształcie ulów, typu pospolitego wśród wielu szczepów afrykańskich. Miały około siedmiu stóp średnicy i sześciu do siedmiu wysokości, ale zamiast spoczywać na ziemi, zawieszane były za pomocą grubych sznurów na gałęziach olbrzymich drzew. Ze środka szczytu chaty zwieszał się drugi, lżejszy sznur. Ze swego stanowiska nie mógł Tarzan dojrzeć żadnego otworu dosyć obszernego, by mogło przejść przezeń ciało ludzkie, chociaż widział w ścianach liczne otworki o średnicy czterech do pięciu cali. Na ziemi wewnątrz ostrokołu znajdowali się mieszkańcy

wioski, jeżeli można taką nazwą zaszczyścić garstkę bujających się domków. Ludzie ci byli niemniej od swych szczególnych mieszkań dziwni. Byli to niewątpliwie murzyni, ale typu zupełnie człowiekowi—małpie nie znanego. Byli nadzy, pozbawieni wszelkich ozdób, pobabrani na chybił trafił kolorowymi farbami. Byli rośli, bardzo muskularni, ale nogi mieli nazbyt krótkie, zaś ramiona zbyt długie. Twarze ich miały rysy zwierzęce. Szczęki mieli nadmiernie wystające, czoła wcale nie posiadali.

Tarzan przyglądał się im, ujrzał jak któryś schodził po sznurze, zwisającym ze szczytu chaty i zrozumiał ich przeznaczenie, a także gdzie się znajdowało wejście do mieszkań. Dziwne stworzenia przykucnąwszy, posilały się. Jedni obgryzali surowe mięso z kości, inni jedli owoce i korzenie. Były tam istoty obu płci i wszelkiego wieku, ale nie widać było starców. Nie mieli włosów, prócz nędznych czerwonych kołtunów na głowie. Mało mówili, a gdy się odzywali, głosy ich przypominały pomruki zwierzęce. Ani razu nikt się nie roześmiał, ani nawet nie uśmiechnął, co jeszcze bardziej czyniło ich niepodobnymi do przeciętnych krajowców afrykańskich. Mimo starannego rozglądania się, nie dostrzegł Tarzan naczyń do gotowania, ani ogniska. Na ziemi poniewierała się ich broń: krótkie, do dziryków podobne, włócznie i rodzaj siekier wojennych z metalowym ostrzem. Małpi Tarzan rad był, że tu przyszedł, gdyż poznał typ krajowców, o jakim nie śniło mu się, że istnieje — typ na tak niskim szczeblu rozwoju, że graniczył ze zwierzętami. W porównaniu z nimi nawet Waz-doni i Ho-doni z Pal-ul-donu stali na wysokim poziomie.

Dziwił się, że byli dosyć inteligentni, by wykonać posiadaną broń, która była pięknej roboty i rysunku. Chaty ich również były dobrze i przemyślnie zrobione, niemniej ostrokół, otaczający wioskę był wysoki, mocny, dobrze zbudowany, widocznie w celu uchronienia mieszkańców przed lwami, rojącymi się w dolinie.

Tarzan i La poczuli nagle, że z lewej strony przybliżyła się jakieś stworzenie i po chwili zobaczyli człowieka, podobnego do mieszkańców wioski, zeskakującego z drzewa do osady. Jego przybycie przyjęte zostało obojętnie. Przykucnął wśród zebranych i coś im się zdawał opowiadać. Tarzan nie mógł dosłyszeć słów, ale po gestach, którymi dopomagał swej ubogiej mowie, domyślił się, że opowiada współbraciom o dziwnych istotach, które niedawno widział w lesie. Opowiadanie widocznie podnieciło słuchaczy, gdyż niektórzy wstali i podskakując ze zgiętymi kolanami, śmiesznie uderzali się ramionami po bokach. Wyraz ich twarzy nie zmienił się jednak, a po chwili znów przykucnęli jak poprzednio.

Naraz w lesie rozległ się głośny okrzyk, który obudził w Tarzanie dawne wspomnienia.

— Bolgani — szepnął do La.

— To jedna z wielkich małp — rzekła i dreszcz nią wstrząsnął.

Zobaczyli go zdążającego leśnym szlakiem ku wiosce. Był to wielki goryl, jakiego Małpi Tarzan nigdy jeszcze nic widział. Budowy niemal olbrzymiej, szedł na tylnych łapach posuwistym krokiem człowieka, wcale rękami nie dotykając ziemi. Głowę i oblicze miał prawie goryla, była jednak jakaś różnica — był to Bolgani z duszą i mózgiem człowieka. Nie tylko to czyniło go jedynym w swoim rodzaju, zdumiewającym. Dziwniejszym jeszcze niż cokolwiek innego było, że miał na sobie ozdoby, i co za ozdoby! Złoto i diamenty błyszczały na jego kudłatym futrze, nad łokciami miał mnóstwo naramienników, na nogach obręcze złote, zaś od szarfy, którą był przepasany, zwisiała z tyłu i z przodu długa, wąska płachta, do ziemi prawie sięgająca, która wyglądała jak gdyby zrobiona była ze złotych blaszek, wysadzanych diamentami. Nigdy jeszcze John Clayton, lord Greystoke, nie widział takiego barbarzyńskiego przepychu, ani nawet wśród klejnotów Oparu takiego bogactwa bezcennych kamieni.

Zaledwie okropny okrzyk przeszył względną ciszę lasu, Tarzan zauważył wrażenie, jakie wywarł

na mieszkańcach wioski. Zerwali się z ziemi, kobiety z dziećmi ukryły się za pniami drzew lub wdrapały się po sznurach do swych wiszących domków, paru zaś mężczyzn zbliżyło się do bramy ostrokołu. Za bramą goryl zatrzymał się i znowu podniósł głos, ale teraz nie wydawał okrzyków, tylko przemawiał.

Rozdział IX

Dziwyt śmierci

Gdy wielki goryl wkroczył do osady, wojownicy zamknęli wrota i czołobitnie zaczęli się cofać przed posuwającym się gościem, który zatrzymał się w samym środku, rozglądając się dokoła.

— Gdzie są samice i szczenięta? — zapytał. — Zawołajcie je. Kobiety i dzieci niechybnie usłyszały rozkaz, żadne jednak nie wyłoniło się z ukrycia. Wojownicy poruszyli się niespokojnie, targani widocznie sprzecznymi uczuciami lęku przed wydającą rozkazy istotą i niechęci spełnienia rozkazów.

— Zawołajcie je — powtórzył — albo sam po nie pójde. Wreszcie jeden z wojowników zdobył się na odwagę.

— Ta wioska już dostarczyła kobietę w ciągu księżyca — rzekł. — Teraz kolej na inne wioski.

— Milczeć! — ryknął goryl, groźnie się ku niemu zbliżając. — Zuchwały z ciebie Gomangani, skoro ośmielasz się sprzeciwiać woli Bolgani. Przemawiam w imieniu Numy, Cesarza. Posłuszeństwo lub śmierć.

Drżąc cały, murzyn zawołał na kobiety i dzieci, ale nikt się nie zjawił. Bolgani poruszył się niecierpliwie.

— Idź i przyprowadź je — rozkazał.

Czarni potulnie poszli ku kryjóvkom swych żon i dzieci, przyciągnęli je za ramiona, a przeważnie za włosy. Nie okazywali im żadnej delikatności, ani też nie zdradzali śladów przywiązania, chociaż widać było, że wydawali je niechętnie. Wszakże słowa, wypowiedziane przez wojownika, który już poprzednio przemawiał, wyjaśniły Tarzanowi ich postępowanie.

— Wielki Bolgani — rzekł — jeśli Numa wciąż będzie brał z tej wioski, niezadługo zabraknie tu kobiet dla wojowników, mało się będzie rodziło dzieci i wkrótce nikt z nas nic pozostanie.

— Cóż z tego — warknął goryl. — I tak jest jeszcze za dużo Gomanganich na świecie. Na cóż innego jesteście stworzeni, jak nie na to, by służyć Numie, Cesarzowi, i jego wybranemu ludowi, Bolganim? — Mówiąc, przyglądał się kobietom i dzieciom, obmacując ich ciała. Wreszcie zatrzymał się przy dosyć młodej kobiecie z małym dzieckiem na ręku.

— To wystarczy — rzekł, wrywając matce niemowlę i brutalnie ciskając je ku palisadzie. Legło tam twarzą do ziemi, żałośnie kwiląc. Biedna matka, więcej do zwierzęcia niż do człowieka podobna, stała przez chwilę oszołomiona, po czym chciała się rzucić ku dziecku, ale goryl pochwycił ją jedną olbrzymią ręką i powalił na ziemię. W tej chwili rozległ się straszliwy okrzyk wyzwania małpiego samca. Czarni spojrzeli przerażeni w górę, a goryl odwrócił swą odrażającą twarz w kierunku sprawcy okrzyku.

Ujrzeni na kołyszącej się gałęzi istotę, jakiej żadne z nich nigdy nie widziało — białego człowieka, Tarmangani o skórze tak gładkiej i bezwłosej jak Histah, wąż. Jednocześnie zobaczyli, że przybysz cisnął włócznią i ostrze jej zagłębiło się w piersi goryla. Z okrzykiem wściekłości i bólu

Bolgani martwy runął na ziemię.

Człowiek—małpa nie żywił wielkiej miłości dla Gomanganich, jako dla rasy, ale jego angielski umysł i serce pchnęły go do spontanicznego ujęcia się za słabszym. Prócz tego Bolgani był jego dziedzicznym wrogiem. Pierwszą walkę w życiu stoczył z Bolganim. Bolgani był jego pierwszą zdobyczą.

Biedni murzyni stali oszołomieni. Gdy zeskoczył ku nim na ziemię, cofnęli się przerażeni i zagrozili mu włóczniami.

— Jestem przyjacielem — rzekł. — Jestem Małpi Tarzan. Opuśćcie włócznie. — Wyciągnął swą własną z trupa goryla. — Kto jest to stworzenie, któremu wolno przychodzić do waszej wioski, mordować wasze dzieci i porywać wasze żony. Kim ono jest, że nie śmiecie przeszyć go swymi włóczniami?

— To jeden z wielkich Bolgani — rzekł wojownik, spełniający widocznie funkcje mówcy i wodza wioski. — To jeden z wybranego ludu Numa, Cesarza. Gdy Numa się dowie, że on został zabity w naszej wiosce, umrzemy za twój uczynek.

— Kto to jest Numa? — zapytał człowiek—małpa, dla którego Numa, w języku wielkich małp, oznaczał po prostu lwa.

— Numa jest cesarzem — odparł czarny — który wraz z Bolgani zamieszkuje Pałac Diamentowy. Nie powiedział tego tymi słowami, gdyż ubogi język wielkich małp jest nieskończenie pierwotny. To, co powiedział, brzmiało raczej: — Numa, król królów, który mieszka w królewskiej chacie z błyszczących kamieni.

W chwili gdy Bolgani padł trupem, pokrzywdzona matka pobiegła ku swemu dziecięciu i podniosła je z ziemi. Przykucnęła pod ostrokołem, tuląc je do piersi i nucąc, by uciszyć jego płacz. Gdy Tarzan spróbował obejrzeć dziecko, przestraszyła się i niczym dzikie zwierze, wyszczerzyła swe wojownicze kły. Z wolna jednak w jej tępym mózgu powstawało zrozumienie, że to ta istota ocaliła ją przed Bolganim, że pozwoliła jej odzyskać dziecko i że nie chce wyrządzić żadnemu z nich krzywdy. Przekonawszy się, że dziecko było tylko podrapane, Tarzan zwrócił się znowu do wojowników, którzy w podnieceniu rozprawiali o kilka kroków dalej. Gdy zobaczyli, że zbliża się ku nim, otoczyli go półkołem.

— Gdy Bolgani się dowiedzą, co zaszło w naszej wiosce — odezwali się — przyjdą i wymordują nas wszystkich, chyba że przyprowadzimy im istotę, która cisnęła włócznią. Dlatego, Tarmangani, musisz pójść z nami do Pałacu Diamentowego. Wydamy cię Bolganim, a może Numa nam przebaczy.

Człowiek—małpa uśmiechnął się. Za kogóż to go mieli ci prostaczkowie, by przypuszczać, że da się tak łatwo zaprowadzić do karzących rąk Numa, cesarza Bolganich! Mimo że zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, na co się narażał, wchodząc do wioski, wiedział zarazem, że był przecież Małpim Tarzanem i że łatwiej mu będzie uciec, niż im zatrzymać go. Przyjrzał się poprzednio dzikim włócznikom i wiedział dokładnie, czego oczekiwać w razie wrogiego ich stanowiska. Wolał wszakże zawrzeć pokoi z tymi ludźmi.

— Zaczekajcie — rzekł. — Czy zdradzilibyście przyjaciela, który przychodzi do waszej wioski, by was bronić przed wrogiem?

— Nie chcemy cię zabić, Tarmangani. Chcemy zaprowadzić cię do Bolganich dla Numa, cesarza.

— Ależ to by wyszło na jedno — odrzekł Tarzan — dobrze bowiem wiecie, że Numa, cesarz, kazałby mnie zabić.

— Na to nic nie poradzimy — odparł mówca. — Uratowalibyśmy cię, gdybyśmy mogli, ale gdy Bolgani odkryją, co się stało w naszej wiosce, będziemy musieli za to odpokutować, o ile zadowolą

się ukaraniem ciebie jednego.

— Ale po cóż mają się oni dowiedzieć, że Bolgani został zabity w waszej wiosce? — zapytał Tarzan.

— Czyż nie zobaczą jego ciała, gdy przyjdą znowu? — zapytał mówca.

— Nie, jeśli usuniecie trupa — rzekł Tarzan.

Czarni podrapali się po głowach. Takie rozwiązanie zagadnienia nie przyszło im do ich tępych, ciemnych mózgów. Prawdą było, co ten obcy mówił. Nikt, prócz nich, nie wiedział, że Bolgani tu został zamordowany. Usunięcie trupa równało się uwolnieniu wioski od podejrzeń. Ale gdzie go podzieją? Zapytali o to Tarzana.

— Już ja się tym zajmę — rzekł Tarmangani. — Odpowiedzcie mi, zgodnie z prawdą, na moje pytania, a przyrzeknę wam, że usunę go w taki sposób, że nikt się nie dowie, jak i gdzie umarł.

— Jakież są twoje pytania?

— Jestem tu obcy, zabłąkany w tych stronach — rzekł człowiek-małpa. — Chciałbym wydostać się z tej doliny i udać się w tym kierunku. — Wskazał na południo-wschód.

Czarny potrząsnął głową.

— Może można się wydostać tamtędy, ale nikt nie wie, co tam jest, ani nie wiem, czy jest tam jaka droga i czy w ogóle istnieje coś tam poza doliną. Mówią, że za górami płonie ogień i nikt nie odważa się pójść zobaczyć. Co do mnie, nigdy nie oddalałem się od swej wioski więcej jak na dzień drogi, by polować dla Bolganich i zbierać dla nich owoce i orzechy. Nikt nie wie, czy jest możliwość wydostania się stąd i nikt nie ośmieliłby się szukać wyjścia.

— Czy nikt nigdy nie opuszcza doliny? — zapytał Tarzan.

— Nie wiem, co robią inni, ale my, z tej wioski, nigdyśmy nie wyszli z doliny.

— Co leży w tym kierunku? — zapytał Tarzan, wskazując ku Oparowi.

— Nie wiem. Wiem tylko, że Bolgani przyprowadzają stamtąd dziwne istoty: małych ludzi o białej skórze i obfitych włosach, krótkich, przysadkowatych nogach i długich ramionach i białe kobiety, niepodobne do tych małych dziwnych Tarmanganich. Skąd ich jednak przyprowadzają, nie wiem. Czy to wszystko, o co chciałeś zapytać?

— Tak, to wszystko — odpowiedział Tarzan, widząc, że nie zasięgnie żadnych informacji od mieszkańców wioski. Przekonawszy się, że osobiście musi poszukać wyjścia z doliny i wiedząc, że szybciej i bezpieczniej będzie się do tego zabrać samemu, postanowił wybadać murzynów, czy dopomogą mu w wykonaniu pewnego pomysłu.

— Jeśli usunę Bolgani tak, by nikt się nie dowiedział, że został w waszej wiosce zamordowany, czy będziecie mnie uważali za przyjaciela.

— Tak! — zapewnił mówca.

— Czy wówczas przechowacie u siebie moją kobietę, dopóki nie wrócę? Możecie ukryć ją w którejś chacie, gdyby przyszedł jaki Bolgani, i nikt nie ma potrzeby wiedzieć, że ona jest u was. Cóż wy na to?

Czarni rozejrzeli się dokoła.

— Nie widzimy jej — rzekł mówca — gdzież jest?

— Jeśli przyrzekniecie ją ukryć i opiekować się nią, przyprowadzę ją — odpowiedział człowiek-małpa.

— Ja nie wyrządę jej krzywdy — rzekł mówca — ale nie wiem, jak postąpią inni.

Tarzan zwrócił się do przysłuchującej się gromadki.

— Idę po swą żonę i przyprowadzę ją do waszej wioski, a wy będziecie ją ukrywać, żywić i chronić, aż do mego powrotu. Zabiorę stąd ciało Bolgani, by nie padło na was żadne podejrzenie.

Spodziewam się, że gdy wrócę, zastanę swą żonę zdrową i całą.

Uważał, że najlepiej będzie nazwać La żoną, gdyż, jeśli odczuwali względem niego wdzięczność lub trwogę, La, jako istota pozostająca pod jego bezpośrednią opieką, będzie wśród nich bezpieczniejsza. Zawezwał La, by zeszła z drzewa. Po chwili zeskoczyła w jego ramiona.

— Oto ona — przedstawił ją murzynom — strzeżcie jej dobrze i ukrywajcie przed Bolgani. Jeśli po powrocie przekonam się, że spotkała ją jaka krzywda, zawiadomię Bolganich, że wyście to uczynili — i wskazał na trupa goryla.

La, z wyrazem lęku w oczach, błagalnie zwróciła się do niego.

— Nie pozostawisz mnie chyba tutaj samej? — zapytała.

— Tylko chwilowo — uspokoił ją Tarzan. — Ci biedacy boją się, że jeśli się wykryje, iż to stworzenie znalazło śmierć w ich wiosce, wszyscy oni poniosą skutki gniewu jego współbraci. Obiecałem im więc odsunąć od nich podejrzenie. Jeśli, o czym wątpię, są na dosyć wysokim poziomie rozwoju umysłowego, by zdolni byli do uczuć wdzięczności, powinni czuć się zobowiązani względem mnie za zamordowanie tej bestii, a także za uwolnienie ich od podejrzeń. Dlatego powinni by cię strzec jak oka w głowie. Aby się jednak podwójnie upewnić, wykorzystam ich lęk przed Bolgani. Pewien jestem, że będziesz tu równie bezpieczna, jak gdybyś była ze mną, inaczej bym cię tu nie pozostawił. Znacznie szybciej mogę wędrować, gdy jestem sam, a chcę znaleźć wyjście z tej doliny. Wówczas wrócę po ciebie. Łatwiej nam będzie wtedy wydostać się stąd, niż gdybyśmy mieli powoli błąkać się po omacku.

— Wrócisz? — zapytała z odcieniem lęku, tęsknoty i błagania w głosie.

— Wrócę — odrzekł i zwracając się do czarnych, rozkazał: — Oczyszćcie jedną z tych chat dla mojej żony i pamiętajcie, nie dotykać jej, dostarczać jej wody i jadła. Pomnijcie, co powiedziałem: od waszego z nią postępowania zależy wasze życie!

Nachylił się po trupa goryla i zarzucił go sobie na plecy wśród podziwu murzynów. Sami byli oni obdarzeni wielką siłą fizyczną, zachwiałoby się jednak pod ciężarem Bolgani, a ten dziwny Tarmangani szedł sobie swobodnie i ruszył do dżungli takim krokiem, jak gdyby nic nie dźwigał. Za chwilę znikł za zakrętem w lesie.

La zwróciła się do czarnych:

— Przygotujcie dla mnie chatę — rzekła, gdyż bardzo była zmęczona i pragnęła spoczynku. Popatrzyli na nią spode łba i zaszepotali między sobą. Wiedziała, że ścierały się poglądy co do niej i z urywków rozmowy dowiedziała się, że jedni byli za tym, by spełnić nakazy Tarzana, inni zaś chcieliby się jej pozbyć w obawie, że Bolgani ją odkryją i ukarzą ich za przechowywanie jej.

— Lepiej by było — usłyszała słowa — od razu wydać ją Bolganim i powiedzieć im, że widzieliśmy, jak jej mąż zamordował posła Numy. Powiemy, że chcieliśmy schwytać Tarmangani, ale że nam uciekł i udało się nam tylko złapać jego żonę. W ten sposób zyskamy łaskę Numy i może przestanie zabierać nam tyle żon i dzieci.

— Ale Tarmangani jest wielki — odpowiedział inny — jest potężniejszy nawet od Bolgani. Może się stać straszliwym wrogiem, a jeśli, co możliwe, Bolgani nam nie uwierzą, będziemy się musieli lękać nie tylko ich, ale jeszcze w dodatku i jego.

— Nie mylicie się — zawołała La — wielki jest Tarmangani. Dlatego lepiej dla was mieć w nim przyjaciela niż wroga. Z gołymi rękami idzie na Numę i zabija go. Widzieliście, z jaką łatwością dźwignął ciało potężnego Bolgani. Widzieliście, jak lekko kroczył leśnym tropem pod jego ciężarem. Z równą łatwością poniesie trupa po drzewach, wysoko nad ziemią. Nie ma na całym świecie nikogo, równego Małpiemu Tarzanowi. Jeśli macie rozum, zaskarbicie sobie przyjaźń Tarzana.

Czarni słuchali jej przemówienia w milczeniu, z twarzami pozbawionymi wyrazu, nie zdradzając,

co się tam po ich głupich głowach przewijało. Po chwili La znowu się odezwała:

— Idźcie — krzyknęła władczo — przygotować moją chatę!

To arcykapłanka Płomiennego Bóstwa, królowa Oparu przemówiła do niewolników. Jej królewska mina i rozkazujący głos zmieniły natychmiast nastrój murzynów. La zrozumiała, że słuszność miał Tarzan, przypuszczając, że tylko postrachem się kierują, gdyż teraz, skurczeni jak wybatożone psy, pośpieszyli do najbliższej chaty szybko ją dla niej przygotowali, wyściełając ją świeżymi liśćmi i trawą i znosząc owoce i orzechy dla zaspokojenia głodu.

Gdy chata była gotowa, La wdrapała się po sznurze przez okrągły otwór w podłodze do obszernej, przewiewnej i znośnie czystej izby. Wciągnęła za sobą sznur i rzuciwszy się na miękkie łoże, zasnęła, ukołysana łagodnym chwianiem się bujającej chaty, szmerem liści, śpiewem ptaków i brzęczeniem owadów.

Rozdział X

Zuchwały podstęp

Na północny zachód od doliny Oparu kilkuset czarnych i sześcioro białych spożywało wieczerzę w obozowisku. Murzyni byli ponurzy i szemrali po cichu na skąpe jadło, biali — posępni i podejrzliwi, pod ręką trzymali broń palną. Jedno z nich, dziewczyna, jedyna przedstawicielka swej płci, mówiła do swych towarzyszy:

— Sknerstwu Adolfa i przechwałkom Estebana mamy do zawdzięczenia nasze obecnie położenie. Tłusty Bluber wzruszył ramionami, rosły Hiszpan spojrzął spode łba.

— Co safiniłem? — zapytał Adolf.

— Byłeś zbyt skąpy przy najmowaniu tragarzy. Mówiłam ci w swoim czasie, że powinniśmy mieć dwustu czarnych, ale chciało ci się oszczędzić trochę pieniędzy i jaki tego wynik? Pięćdziesięciu ludzi dźwiga po osiemdziesiąt funtów złota, inni są przeciążeni sprzętami obozowymi i pozostaje garść askarysów, niedostateczna dla naszej ochrony. Musimy poganiać ich jak bydło i pilnować, by nie porzucili swego ładunku. Są przemęczeni i źli. Niewiele trzeba, by się rzucili na nas i wymordowali. Przede wszystkim są niedożywieni. Gdybyśmy umieli ich nakarmić do syta, byłiby weseli i zadowoleni. Dosyć dobrze poznałam krajowców, by wiedzieć, że jeśli są głodni, nie są weseli ani zadowoleni, nawet próżnując. Gdyby Esteban nie był się tak przechwalał swymi talentami myśliwskimi, zabralibyśmy ze sobą dostateczną ilość prowiantu. Teraz, chociaż już jesteśmy w powrotnej drodze, musimy się ograniczać do mniej niż połowy racji.

— Nie mogę zabijać zwierzyny tam, gdzie jej nie ma — burknął Hiszpan.

— Pełno tu zwierzyny — rzekł Kraski — co dzień spotykamy jej ślady.

— Jeśli tu jest jej tyle — zjadliwie rzucił Hiszpan — to idź i upoluj ją.

— Nigdy się nie przechwalałem, że jestem myśliwym — odparł Kraski — chociaż mógłbym równie dobrze, jak ty, miotać z procy i strzelać grochem z wiatrówki.

Hiszpan skoczył na równe nogi. Rosjanin wymierzył do niego z rewolweru.

— Przestańcie! — krzyknęła dziewczyna, rzucając się między nich.

— Niech się ta zaraza wytłucze — burknął John Peebles. — Jeśli jeden z nich zabije drugiego, mniej nas będzie do podziału łupu, i basta.

— Po co mamy sze kłócić? — zapytał Bluber. — Starczy dla wszystkich, pieszło po czterdzieści trzy tysiące funtów na głofę. Jak sze na mnie złościcze, to mnie nasyfacie oprzytliwy szyt i mófcie, sze jestem brutny sknera, ale, mein Gott! Fy, krześcijanie, jesteście korsy. Sapilipyście fłasnego przijaczela tła pieniędzy. Ojoj! Boku czeki, sze nie jestem krześcijanem.

— Stul pysk — huknął Throck — bo przybędzie nam jeszcze jedne czterdzieści trzy tysiące funtów do podziału.

Bluber trwożliwie spojrzął na ciężkiego Anglika.

— No, no, Dick — zaskamlał — po co saras się knicwacz o szarcik, i to na mnie, najlepszego

przyjaczela?

— Dosyć już mam tego wszystkiego — rzekł Throck. — Nie jestem wielkim mędrcom, ale mam dość zdrowego sensu, by wiedzieć, że jedynie Flora w całej tej zgrai ma głowę nie od parady. John, Bluber, Kraski i ja jesteśmy tu dlatego, że mogliśmy dostarczyć pieniędzy na wykonanie jej planu. Ten oto — wskazał na Estebana — dlatego, że jego twarz i postać nadawały się do jej planu. Żaden z nas nie potrzebuje rozumu dla wykonania swojej roboty i tyle go mamy, ile go nam wystarczy na własną potrzebę. Flora jest mózgiem tego przedsięwzięcia i im prędzej to zrozumiemy i poddamy się jej rozkazom, tym lepiej na tym wyjdziemy. Byłaś w Afryce z tym jegomościem lordem Greystoke. To ty byłaś pokojówką jego żony prawda, Floro? Masz pojęcie o tym kraju, o krajowcach i o zwierzętach, a żaden z nas nic o tym wszystkim nie wie.

— Throck ma rację — przyznał Kraski — dosyć już tego babrania się. Nie mieliśmy dotąd żadnego dowódcy, zrobmy więc Florę dowódcą. Ona jedna potrafi wy dostać nas z obecnego położenia. Sądząc po zachowaniu się tych ludzi — wskazał na Murzynów — szczęśliwie będzie, jeśli wyjdziemy stąd cali, nie myśląc już o zabraniu złota.

— Ojoj! Chiba nie miszlisz sostaficz słota? — przeraził się Bluber.

— Myślę, że trzeba zrobić to, co Flora uważa za najlepsze. Jeśli każe zostawić złoto, zostawimy.

— Tak zrobimy — poparł go Throck.

— Zgadzam się — rzekł Peebles. — Niechaj będzie tak, jak Flora zechce. — Hiszpan posępnie skinął głową.

— Wszyscy się zgadzamy, Bluber — rzekł Kraski. — A ty?

— Och, pefnie, jeszli tak mófście — odparł Bluber.

— A teraz, Floro — odezwał się Peebles — jesteś naszym wodzeni. Co mamy robić?

— Dobrze — rzekła dziewczyna. — Będziemy tu obozowali, dopóki ci ludzie nie wypoczną, a jutro rano postaramy się o mięso dla nich. Z ich pomocą potrafiemy to zrobić. Gdy będą wypoczęci i najedzeni, ruszymy znowu w stronę wybrzeża, posuwając się bardzo powoli, aby ich nie przemęczyć. To mój pierwszy plan. Ale wszystko zależy od naszej umiejętności zdobycia mięsiwa. Jeśli go nie znajdziemy, zakopimy tu złoto i jak najspieszniej podążymy na wybrzeże. Tam zwerbujemy nowych tragarzy, dwa razy tyle, ilu mamy obecnie, i kupimy zapasów tyle, by nam wystarczyły w obie strony. Idąc tu, zostawiać będziemy na każdym postoju część prowiantów na drogę powrotną i w ten sposób zaoszczędzimy sobie dźwigania ciężkich ładunków w obie strony. Oto moje dwa plany. Nie pytam, co o nich myślicie, bo nic mnie to nie obchodzi. Zrobiliście mnie wodzem i będę rządziła, jak umiem najlepiej.

— Dobrze mówi! — ryknął Peebles.

— Zawołaj przewodnika, Karolu, chcę z nim pomówić — zwróciła się Flora do Kraskiego i po chwili Rosjanin wrócił z grubym Murzynem.

— Owaza — przemówiła do niego dziewczyna — brak nam żywności i ludzie są nadmiernie obciążeni. Powiedz im, że zaczekamy tu, póki nie wypoczną i że jutro rano pójdziemy na polowanie. Wyślesz swych chłopców pod wodzą trzech odpowiednich ludzi, jako naganiaczy. W ten sposób upolujemy dużo zwierzyny, a gdy ludzie się najedzą i wypoczną, z wolna ruszymy. Gdzie napotkamy obfitość zwierzyny, będziemy się zatrzymywali i polowali. Powiedz im, że jeśli tak zrobią i szczęśliwie się dostaniemy na wybrzeże z całym ładunkiem, zapłacę im dwa razy tyle, ile było ugodzone.

— Ojoj! — zaskrzeczał Bluber. — Twa razy tyle, co sze zgodzili! Tlaczego nie dżeszecz procent, Floro?

— Stul pysk, głupcze — burknął Kraski i Bluber ustąpił, ale kiwając się w tył i naprzód,

potrząsał głową z niezadowoleniem.

Murzyn, który przyszedł nachmurzony i posepny, poweselał.

— Powiem im — rzekł — i sędzę, że nie będziecie mieli żadnej więcej nieprzyjemności.

— Dobrze — powiedziała Flora — idź i powiedz im, co ci mówiłam.

— No, zdaje się, że przyszłość zaczyna jaśniej się przedstawiać — rzekła z uczuciem ulgi.

— Tfa rasy tyle, coszmi im opiccali! — mamrotał Bluber. — Ojoj!

Nazajutrz wczesnym rankiem wybrano się na łowy. Czarni, uradowani obietnicą obfitego jada, z wesołym śpiewem wkroczyli do dżungli. Flora podzieliła ich na trzy partie, każda pod przewodnictwem kierownika i ściśle wyznaczyła każdemu oddziałowi pozycje na linii naganiaczy, pozostawiając garstkę askarysów do pilnowania obozu. Biali, prócz Estebana, uzbroili się w strzelby. On jeden zdawał się kwestionować autorytet Flory i uparł się, że woli polować z włócznią i łukiem, by nie wypaść ze swej roli, nie zważając na to, że przez całe tygodnie łowów niczego nie zabił. Tak wiernie, aż do najdrobniejszych szczegółów, skopiował strój Tarzana, że przy jego przepysznej budowie i pięknym obliczu, stał się niemal sobowtórem Tarzana i nie dziw, że wprowadziwszy w błąd innych, sam wreszcie stał się ofiarą odgrywanej komedii i uwierzył, że jest istotnie Tarzanem. Wśród tragarzy znajdowali się ludzie, którzy znali wielkiego człowieka-małpę i nawet ci ulegli złudzeniu, chociaż dziwili się zmianie, jaka w nim zaszła, gdyż często nie zachowywał się jak Tarzan, zwłaszcza zaś dziwiła ich jego nieudolność w zdobywaniu zwierzyny.

Flora Hawkes, obdarzona nieprzeciętną inteligencją, rozumiała doskonale, że nie należy sprzeciwiać się bez potrzeby towarzyszom i pozwoliła Estebanowi polować według jego upodobania, chociaż inni szeptali trochę z tego powodu.

— Cóż za różnica? — zwróciła się do nich, gdy Hiszpan się oddalił. — Prawdopodobnie nie lepiej umie on sobie radzić ze strzelbą niż włócznią i łukiem. Karol i Dick są właściwie jedynymi wśród nas strzelcami i od nich głównie zależy powodzenie naszych dzisiejszych łowów. Esteban tak jest urażony w swej ambicji, że prawdopodobnie nie cofnie się przed niczym, by nareszcie przynieść dziś zwierzynę; miejmy nadzieję, że mu się powiedzie.

— Mam nadzieję, że skręci swój głupi kark — rzekł Kraski. — Zrobił już swoje i lepiej by było, gdybyśmy się go mogli pozbyć.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie — odpowiedziała — nie powinniśmy myśleć ani mówić o czymś podobnym. Razem przystąpiliśmy do tej sprawy i razem pozostanemy do końca. Jeśli pragniesz, by które z nas zginęło, to skąd możesz wiedzieć, czy inni nie pragną twojej śmierci?

— Wcale nie wątpię, że Miranda pragnie mojej śmierci — odparł Kraski. — Ilekroć kładę się spać, zawsze oczekuję, że ten przeklęty aktorzyzna przebije mnie w nocy nożem. A gdy słyszę, jak go bronisz, Floro, moje uczucia dla niego nie stają się przychylniejsze. Od samego początku miałaś słabość do niego.

— A choćby nawet tak było, nic ci do tego — odcięła się Flora.

Gdy ruszyli wreszcie na polowanie, Rosjanin był wściekły i spragniony pomsty na Estebanie. Ten zaś przepelniony zazdrością i nienawiścią. Nienawidził wszystkich współkompanów. W każdym upatrywał rywala do ręki Flory i w śmierci każdego z nich widział nie tylko jednego współzawodnika mniej, ale zarazem jednego uczestnika mniej do podziału złota. Zajęty tymi myślami, zamiast myśleć o polowaniu, które jedynie powinno było go obchodzić, wyszedł z gęstych zarośli na słońcem oblaną polankę i znalazł się oko w oko z pięćdziesięcioma wspaniałymi hebanowymi wojownikami. Zapomniawszy o swej roli, stanął zmrożony strachem. Poczul się samotnym białym człowiekiem w samym sercu dzikiej Afryki wobec dużego oddziału krajowców, może ludożerców.

Ta chwila głębokiego milczenia i beczynności uratowała go, gdyż Waziri poznali charakterystyczną pozę swego ukochanego pana.

— O Bwana, Bwana — zawołał jeden z nich, zbliżając się ku niemu — czy to naprawdę ty, Małpi Tarzan, Pan dżungli, któregośmy mieli za straconego. My, twoi wierni Waziri, poszukiwaliśmy cię i nawet teraz zamierzaliśmy narazić się na niebezpieczeństwa Oparu w obawie, żeś się tam udał bez nas i zostałeś uwięziony.

Czarny, który towarzyszył kiedyś Tarzanowi do Londynu, jako lokaj, mówił łamaną angielszczyzną, z czego był bardzo dumny i chętnie popisывał się swą wyższością wobec mniej szczęśliwych towarzyszy. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności dla Mirandy, że jego właśnie losy wysunęły jako mówcę. Esteban usilnie starał się ovladnąć narzeczem tragarzy, z trudnością jednak mógłby się wdać z którym z nich w rozmowę, nie rozumiał zaś ani słowa z języka Waziri. Flora starannie wyszkoliła go w naśladowaniu Tarzana, rozumiał więc, że znalazł się wobec wiernych Waziri człowieka—małpy. Na szczęście, miał dużo sprytu i zdolności aktorskich, inaczej zdradziłby swój przestach i zmartwienie, dowiedziawszy się, że w tej okolicy przebywają dzielni wojownicy Tarzana. Chwilę jeszcze stał w milczeniu. Wreszcie przemówił, świadom, że życie jego zależało od jego umiejętności odegrania roli.

— Odkąd ostatni raz was widziałem, przekonałem się, że oddział białych ludzi wkroczył w te strony z zamiarem ograbienia skarbcu Oparu. Śledziłem ich i dotarłem do ich obozu. Potem zacząłem was szukać, gdyż dużo ich jest i mają dużo sztab złota, bo już zdążyli być w Oparze. Pójdźcie za mną, napadniemy na nich i odbierzemy im złoto. Chodźcie!

Gdy szli tropem leśnym, Usula, ten który mówił po angielsku, kroczył obok Estebana. Hiszpan słyszał jak wojownicy, idący za nim, rozmawiali w swym narzeczu, z którego ani słowa nie rozumiał. Przyszło mu do głowy, że znajdzie się w wielkim kłopotcie, jeśli który zwróci się do niego w języku, który Tarzan znał doskonale. Gdy przemyślał nad tym, przypomniał sobie o wypadku, który niegdyś spotkał Tarzana, o czym mu Flora opowiadała — historię kalectwa, jakiemu uległ w skarbcu Oparu wskutek uderzenia w głowę. Esteban nie był pewien, czy się nie zdradzi, przypisując amnezji wszystkie braki w odgrywanej roli, wydało mu się to jednak najlepszym sposobem, zwrócił się więc nagle do Usuli.

— Czy pamiętasz — zapytał — wypadek, jaki mi się zdarzył w skarbcu Oparu, pozbawiając mnie pamięci?

— Tak, Bwano, dobrze to pamiętam — odrzekł czarny.

— Spotkało mnie znowu coś podobnego — rzekł Esteban. — Na mej drodze runęło wielkie drzewo i upadając, uderzyło mnie w głowę. Nie straciłem całkowicie pamięci, ale wielu rzeczy nie mogę sobie od tego czasu przypomnieć, niektóre zaś musiałem zupełnie zapomnieć. Nie wiem, jak się nazywasz i nie rozumiem, co mówią inni moi Waziri.

Usula ze współczuciem spojrział na niego.

— Ach, Bwana — rzekł — zasmucone jest serce Usuli wypadkiem, który cię spotkał. Niezawodnie minie to rychło, jak minęło wówczas, tymczasem zaś Usula będzie twoją pamięcią.

— Dobrze — rzekł Esteban — wyjaśnij to reszcie i powiedz im, że zapomniałem wicie innych rzeczy. Nie trafiłbym bez was cło domu i w ogóle mam zmysły osłabione. Ale, jak mówisz, to niezadługo minie i wkrótce będę dawnym sobą.

— Twoi wierni Waziri uradują się, gdy nadejdzie ta chwila — rzekł Usula.

Gdy zbliżyli się do obozu, Miranda polecił Usuli, by nakazał milczenie wojownikom. Zatrzymał ich na skraju polanki, skąd widać było bomę i namioty, strzeżone przez małą garstkę askarysów.

— Gdy zobaczą nasze liczniejsze siły, nie będą stawiali oporu — powiedział. — Okrążmy obóz i

na dany przeze mnie znak, razem się zbliżymy, a ty powiesz im, że Małpi Tarzan przybywa ze swymi ludźmi po ukradzione złoto, ale że daruje im życie, jeśli natychmiast stąd się wyniosą i nigdy więcej nie wrócą.

Hiszpan byłby chętnie nakazał swym Waziri, aby rzucili się na strażników obozowych i wymordowali ich, ale wpadł mu do głowy przebieglejszy pomysł. Chciał, aby ci ludzie zobaczyli go na czele Waziri i powtórzyli Florze i jej towarzyszą to, co zamierzał powiedzieć jednemu z askarysów.

Nakazuje Usuli rozstawienie ludzi dokoła obozu, polecił mu ostrzec ich, by się nie pokazywali, dopóki on sam nie przekradnie się na polankę i nie zwróci na siebie uwagi askarysa, stojącego na warcie. Rozstawianie ludzi zajęło około piętnastu minut, a po upływie tego czasu Usula wrócił do Estebana z wiadomością, że już wszystko gotowe.

— Gdy podniosę rękę, będziecie wiedzieli, że poznali mnie i że macie się zbliżyć — ostrzegł go Esteban i z wolna wkroczył na polankę. Ujrzał go jeden z askarysów i poznał jako Estebana. Hiszpan zrobił jeszcze kilka kroków w kierunku bomby i stanął.

— Jestem Małpi Tarzan — zawołał — wasz obóz jest otoczony przez mych wojowników. Nie próbujcie stawiać oporu, a nie spotka was żadna krzywda.

Podniósł do góry rękę. Pięćdziesięciu rosnących Waziri wyłoniło się z ukrycia. Askarysi ze złe ukrywaniem strachem spojrzeli na nich, sięgając nerwowo po strzelby.

— Nie strzelajcie — ostrzegł ich Esteban — albo wszystkich was wymordujemy. — Posunął się o kilka kroków bliżej, Waziri tuż za nim całkowicie otaczając bombę.

— Przemów do nich, Usulo — rzekł Esteban. Czarny wystąpił naprzód.

— Jesteśmy Waziri — zawołał — a to jest Małpi Tarzan, Władca dżungli, nasz pan. Przyszliśmy odebrać złoto Tarzana, które ukradliście w skarbcu Oparu. Na ten raz nic wam nie zrobimy, pod warunkiem, że wyniesiecie się z tych stron i nigdy więcej nie powrócicie. Powtórz to swym panom; powiedz im, że Tarzan czuwa i że wraz z nim czuwają jego wierni Waziri. Złóżcie broń.

Askarysi chętnie posłuchali wezwania i po chwili Waziri weszli do bomby i pod kierunkiem Estebana wzięli się do zabierania złotych sztab. Tymczasem Hiszpan zbliżył się do jednego z askarysów, mówiącego łamaną angielszczyzną.

— Powiedz swym panom, by Bogu złożyli dzięki za względność Tarzana, który wziął jedno tylko życie za najście jego kraju i zrabowanie jego skarbów. Osobnika, który ośmielił się udawać Tarzana, zabiłem i ciało jego rzucę lwom na pożarcie. Powiedz, że Tarzan przebacza im nawet ich próbę otrucia go, ale jedynie pod warunkiem, że nigdy nie wrócą do Afryki i że nikomu nie zdradzą tajemnicy Oparu. Tarzan czuwa i czuwają jego Waziri. Nikomu nie wolno wejść do Afryki bez wiedzy Tarzana. Wiedziałem, że przybędą, zanim jeszcze opuścili Londyn. Powiedz im to.

Zabranie sztab złota zajęło wojownikom zaledwie kilka minut czasu i zanim askarys otrząsnął się ze zdumienia, znikli w dżungli z Tarzanem, swym panem.

Dobrze po południu Flora i czterej biali powrócili z łowów, otoczeni wesołymi, roześmianymi Murzynami, obładowanymi zwierzyną.

— Odkąd ty nami rządysz, Floro — rzekł Kraski — sprzyja nam szczęście. Mamy mięsa na szereg dni, a z pełnymi brzuchami będą murzyni żwawo maszerowali.

— Nawet ja muszę przysnacz, że sprawy przedstawiają się jasniej — zgodził się Bluber.

— Tak jest, do diabła — rzekł Throck. — Mówię wam, Flora ma rozumek.

— Cóż to, u licha? — zapytał Peebles. — Co się stało tym łotrom? — Wskazał na widoczną teraz bombę, z której wybiegli askarysi, coś w wielkim podnieceniu wykrzykując.

— Był tu Małpi Tarzan. Był tu ze wszystkimi swymi Waziri, tysiąc wielkich wojowników — i

choć walczyliśmy, ale nas przemogli i zabrawszy złoto, poszli sobie. Przed odejściem Małpi Tarzan powiedział mi dziwne rzeczy. Powiedział, że zabił jednego z was, który ośmielił się udawać Małpiego Tarzana. Nic z tego nic rozumiemy. Poszedł samotnie na łowy, gdy wyście rano odeszli i wkrótce powrócił z tysiącem wojowników i zabrał całe złoto i zagroził, że zabije nas i was, jeśli kiedykolwiek tu powrócicie.

— Co, co — krzyknął Bluber — niema słota? Ojoj!

Wszyscy naraz zaczęli zadawać pytania, aż wreszcie Flora kazała im zamilknąć.

— Pójdź — rzekła do wodza askarysów — wrócimy do bomy i tam powoli i dokładnie opowiesz mi, co zaszło.

Uważnie wysłuchiwała jego opowiadania, wypytała o różne szczegóły i wreszcie pozwoliła mu odejść.

— Wszystko to jest dla mnie zupełnie jasne — zwróciła się do swych współników. — Tarzan przyszedł do siebie, śledził nas ze swymi wojownikami, pochwyił Estebana, zabił go, a znalazłszy obóz, zabrał złoto. Szczęśliwi będziemy, jeśli uda się nam cało uciec z Afryki.

— Ojoj! — wrzasnął Bluber. — A to dopiero! Kramie nasze złoto i f totatku przepatają nasze tfa tysiące funtów!

— Stul pysk, ty żydziaku! — huknął Throck. — Gdyby nie ty i ten Hiszpan, nigdyby się to nie stało. Tamten nic nigdy me upolował, a ty trząseś się nad każdym grosikiem. Ten Tarzan sprzątnął Estebana i dobrze zrobił. Szkoda, że z tobą nie zrobił tego samego, aleja sam poderżnę ci gardło.

— Przestań, Dick — ryknął Peebles — podług mnie, nikt tu nie zawinił. Zamiast gadać o tym, co powinniśmy byli robić, pogońmy za tym Tarzanem i odbierzmy mu złoto.

Flora Hawkes roześmiała się.

— Nie mamy żadnych widoków powodzenia — rzekła. — Znam Tarzana. Gdyby nawet, był sam jeden, nic sprostalibyśmy mu, a on ma ze sobą swych Waziri, najlepszych wojowników w całej Afryce. Spróbuj powiedzieć Owazie, że zamierzasz ścigać Małpiego Tarzana i jego wojowników, a ani się obejrzyś, jak zostaniemy bez jednego Murzyna. Ci czarni z zachodniego wybrzeża drżą na samo imię Tarzana. Woleliby się z diabłem spotkać. Nic, mój panie, przepadliśmy. Pozostaje nam jedynie ucieczka i bodaj—byśmy zdołali ujść z życiem. Człowiek—małpa będzie nas śledził. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby nas w tej chwili obserwował. — Wspólnicy lekko obejrżeli się. — I nigdy nie pozwoli nam wrócić do Oparu po nowy ładunek, choćbyśmy nawet zdołali skłonić naszych ludzi do pójścia tam powtórnie.

— Tfa tysiące, tfa tysiące — biadał Bluber. — I ten karnitur, który kosztował mnie tfaczyszczą kfmei i którego nie betę mógł no—sicz w Anglii, chyba szc pójde na pal kostjumoty, czego nikty nic ropie.

Kraski nie odzywał się, przysłuchując się z oczyma wlepionymi w ziemię. Wreszcie przemówił.

— Straciliśmy swe złoto i resztę dwu tysięcy funtów musimy wydać na koszt powrotne do Anglii, innymi słowy, cała wyprawa przyniosła nam straty. Może wy chętnie godzicie się z losem rozbitków, aleja, nie. W Afryce są jeszcze inne rzeczy prócz złota Oparu. Jeśli mamy opuścić ten kraj, to nie widzę racji, byśmy nie mieli zabrać ze sobą czegoś, co by nam opłaciło stracony czas i poniesione wydatki.

— Co masz na myśli? — zapytał Peebles.

— Chcąc nauczyć się narzecza, dużo rozmawiałem z Owazą i ciekawych rzeczy dowiedziałem się o tym łotrze. Gdyby go chciano powiesić za wszystkie popełnione morderstwa, musiałby żyć wielokrotnie, ale to przebiegła sztuka. Nauczyłem się od niego tyle, że mogę śmiało twierdzić, iż jeśli będziemy się razem trzymali, możemy opuścić Afrykę z ładnym dobytkiem. Prócz tego, wcale

nie wyrzekam się złota Oparu. Co przepadło, to przepadło, ale dosyć pozostało tam, skąd raz wzięliśmy. Pewnego pięknego dnia wrócę po swoją część.

— Ale co z ową pierwszą sprawą? — zapytała Flora. — W jaki sposób Owaza może pomóc?

— Jest zgraja Arabów — objaśnił Kraski — rabujących niewolników i kość słoniową. Owaza wie, gdzie oni działają i gdzie się znajduje ich główny obóz. Jest ich tam niewielu, a ich Murzyni to prawie wszystko niewolnicy, każdej chwili gotowi się rzucić na nich. Mój pomysł tak się przedstawia: stanowimy dosyć duży oddział, by nimi owoładnąć i zabrać im kość słoniową, o ile potrafimy na swoją stronę przeciągnąć ich niewolników. Nie potrzebujemy niewolników, możemy więc w zamian za pomoc obiecać im wolność, a Owazie i jego zgrai dać część kości słoniowej.

— Skąd wiesz, że Owaza zechce nam pomóc? — zapytała Flora.

— To jego pomysł; stąd wiem, że zechce — odparł Kraski.

— Podoba mi się ta myśl — rzekł Peebles — wcale nie mam ochoty wracać z pustymi rękami. — Pozostali również pochwalali projekt.

Rozdział XI

Dziwne kadzidła

Tarzan, niosąc trupa Bolgani, skierował się w stronę budynku, który zauważył poprzednio. Ciekawość ludzka silniejsza była od wrodzonej mu ostrożności zwierzęcej. Szedł pod wiatr i dochodzące go wonie ostrzegły go, że zbliża się do siedliska Bolgamch. Z odorem goryli mieszał się odór Gomanganich i gotowanego jadła, a także jakiś mocny słodkawy zapach. Zapach ten mógł człowiek-małpa przypisać tylko palącym się kadzidłom, chociaż trudno było przypuścić, by podobne wonie rozchodziły się z siedlisk Bolganich. Może rozchodziły się z wielkiego gmachu, który musieli zbudować ludzie i w którym zapewne ludzie mieszkali, choć co prawda, wśród licznych woni, jakie jego nozdrza wyczuwały, nie rozróżnił Tarzan śladu woni białego człowieka.

Poznawszy po coraz silniejszym odorze, że zbliża się do Bolganich, wznosił się wraz ze swym ciężarem na drzewo. Ukryty wysoko wśród liści, ujrzał mur, a za nim zarysy tak niesamowitej budowli, że wydawała się nie z tego świata. Spoza muru dolatywał odór Bolganich i zapach kadzidła, pomieszane z wonią Numy, lwa. Na pięćdziesiąt stóp od zewnętrznej strony muru dżungla była wykarczowana, nie było więc przy murze żadnego drzewa, ale Tarzan podsunął się, o ile mógł najbliżej, przezornie ukryty wśród liści. Wybrał punkt na takiej wysokości, by móc zajrzeć ponad szczyt muru.

Gmach był znacznych rozmiarów, złożony z różnych części, które robiły wrażenie, jak gdyby budowano je w rozmaitych okresach czasu, nie dbając o jednolitość całości. Powstało stad skojarzenie najrozmaitszych budynków i wież, co wszystko razem robiło wrażenie dosyć dziwaczne. Gmach stał na sztucznym wzniesieniu około dziesięciu stóp wysokim, otoczony był granitowym murem, od którego szerokie schody wiodły na dół. Wokoło gmachu rosły krzaki i drzewa. Niektóre z tych ostatnich zdradzały wielką starożytność, ogromna wieża zaś była prawie całkowicie obrosnięta bluszczem.

Najbardziej charakterystyczną cechą gmachu stanowiła bogata, barbarzyńska ornamentacja. Polerowany granit, z którego był wybudowany, wysadzony był skomplikowaną mozaiką ze złota i diamentów: błyszczące kamienie w niezliczonych tysiącach iskrzyły się na fasadzie, kopułach i wieżach.

Zagroda, licząca piętnaście do dwudziestu akrów, była przeważnie wzięta pod gmach. Taras, na którym stał budynek, przeznaczony był na miejsce przechadzki, na kwiaty, krzewy i ozdobne drzewa, a część przestrzeni poniżej była widocznie poświęcona hodowli warzyw. W ogrodzie i na tarasie byli nadzy czarni, tacy, jakich Tarzan widział w wiosce, gdzie pozostawił La. Byli tam mężczyźni i kobiety, zajęci pielęgnowaniem roślin. Wśród nich znajdowało się wiele istot podobnych do goryli, takich jak stworzenie zabite przez Tarzana, ale te nie wykonywały żadnej pracy. Kierowały robotą Murzynów, traktując ich wyniośle, nieraz brutalnie. Ci ludzie-goryle przybrani byli w bogate ozdoby, podobnie jak trup, wiszący obecnie na sęku za człowiekiem-małpą.

Przyglądając się z zaciekawieniem widokowi w dole, ujrzał Tarzan dwu Bolganich, wychodzących z głównego wejścia. Mieli oni na głowach przepaski, ozdobione długimi białymi piórami. Ustawili się po obu stronach wejścia i przyłożywszy ręce do ust, wydali szereg przenikliwych okrzyków przypominających dźwięki trąby. Czarni zaprzestali natychmiast pracy i pospieszyli do stóp schodów, wiodących z tarasu do ogrodu. Tu, tak jak Bolgani, ustawili się po obu stronach stopni. Z wnętrza budynku rozległo się trąbienie i po chwili Tarzan ujrzał wyłaniający się pochód. Na czele kroczyło czterech Bolganich, przybranych w ozdobione piórami przepaski na głowach, niosąc w rękach ciężkie naczynia wzniesione do góry. Za nimi szli dwaj trębacze, a o dwadzieścia stóp za trębaczami wielki czarnogrzywy lew, prowadzony na smyczy przez czterech krzepkich Murzynów. Po każdej stronie lwa dwu tych ludzi dzierżyło złote łańcuchy, przymocowane do skrzęcej od diamentów obroży na karku zwierzęcia. Za lwem postępowało dwudziestu Bolganich, uzbrojonych w włócznie, ale czy po to, by lwa chronić przed ludźmi, czy ludzi przed lwem, tego Tarzan nie mógł odgadnąć.

Zachowanie Bolganich, ustawionych po obu stronach wejścia, zdradzało wielki szacunek, gdyż gdy Numa ich mijał, składali mu głębokie pokłony. Gdy zwierzę doszło do szczytu schodów, pochód się zatrzymał i Gomangani rzucili się plackiem na ziemię. Numa, stary lew najwidoczniej, stał z pańską miną, spoglądając na rozpostarte postacie ludzkie. Złe jego oczy zaszkliły się, wyszczerzył kły i z jego potężnych piersi dobył się groźny ryk, na który Gomangani zadrżeli w niekłamanym strachu. Człowiek-małpa zmarszczył czoło. Nigdy jeszcze nie był świadkiem tak niezwykłej sceny poniżenia człowieka przez zwierzę. Pochód ruszył dalej, zszedł ze stopni schodów i zawrócił na prawo ścieżką, przez ogród. Gdy minął, Gomangani i Bolgani wrócili do przerwanych zajęć.

Tarzan pozostał w swym ukryciu, usiłując znaleźć wyjaśnienie niesłychanego widowiska. Lew wraz ze swym orszakiem znikł za pałacem. Czym był dla tych ludzi, dla tych szczególnych istot? Co znaczył? Skąd takie przewrócenie do góry nogami naturalnego porządku rzeczy? Człowiek zajmował tu miejsce niższe od pół-zwierząt a ponad wszystkim, wnosząc z okazywanego mu szacunku, stało prawdziwe zwierzę, dziki mięsożerca.

Rozmyślał nad tym, gdy uwagę jego zwróciły nowe odgłosy trąb. Spojrzawszy w kierunku, skąd dochodziły dźwięki, zobaczył pochód, po obejściu dokoła pałacu, wracający ku schodom, po których zszedł do ogrodu. Na dźwięk trąb znowu Bolgani i Gomangani pospieszyli na swe poprzednie stanowiska od stóp schodów do wejścia pałacowego, znów złożyli hołd Numie, tryumfalnie wracającemu do pałacu.

Małpi Tarzan nic mógł nic z tego zrozumieć, ale to, co widział, tak zaostrzyło jego ciekawość, że postanowił zbadać pałac i otoczenie, zanim się puści na poszukiwanie wyjścia z doliny.

Zostawił trupa goryla w ukryciu na drzewie i z wolna ruszył, chcąc dookoła obejrzeć budynek. Przekonał się, że posiadał ze wszystkich stron jednakową architekturę i że ogród otaczał budynek dokoła, od południa tylko część przestrzeni zajmowały zagrody dla kóz i ptactwa domowego. Z tej strony również znajdowało się kilkaset bujających się chat, które jak przypuszczał, dawały schronienie czarnym niewolnikom, spełniającym cięższe i niższe roboty w pałacu.

Wyniosły mur granitowy, otaczający cały obszar, posiadał jedne tylko wrota na wprost wschodniej strony pałacu. Były wielkie i ciężkie, zbudowane w celu stawienia oporu licznym i dobrze uzbrojonym napastnikom. Wydawały się tak potężne, że człowiek-małpa nie mógł się oprzeć przypuszczeniu, że zrobiono je z zamiarem uchronienia wnętrza przed naporem ciężkich taranów. Tarzan wywnioskował stąd, że mur i wrota musiały pochodzić z niepamiętnych, w mrokach przeszłości ginących czasów mieszkańców Atlantydy, i że je prawdopodobnie zrobiono, by budowniczych Diamentowego Pałacu chroniły przed dobrze uzbrojonymi siłami przybyszów z

Atlantydy do kopalni złota Oparu i przed ich zamiarem skolonizowania środkowej Afryki.

Mury, wrota i pałac nasuwały przypuszczenie, że istnieją od nieprawdopodobnie odwiecznych czasów, były jednak tak doskonale zachowane, że musiały tu niechybnie mieszkać istoty inteligentne. Od strony południowej spostrzegł Tarzan nowo budującą się wieżę. Znaczna ilość czarnych pod kierunkiem Bolganich wykuwała i układała granitowe bloki.

Tarzan zatrzymał się na drzewie w pobliżu wrót i zobaczył szereg potężnych Gomanganich, wyłaniających się z lasu i wkraczających do zagrody. Ludzie ci dźwigali nie obrobione bloki granitowe, po czterech każdy. Długiej linii górników towarzyszyło dwu czy trzech Bolganich, przed nimi i za nimi szedł oddział czarnych wojowników z siekierami wojennymi i włóczniami. Zachowanie się tragarzy i Bolganich przyrównał Tarzan w myśli do zachowania się karawany osłów, bezmyślnie harujących na rozkaz poganiaczy. Jeśli który się ociągał, popędzano go ostrzem włóczni, lub uderzeniem głowni. Czarni nie okazywali żadnego oporu czy protestu, niczym obładowane muły; zachowywali się jak tępe, popędzane bydło. Z wolna przeszli przez wrota i znikli.

Niebawem zjawił się nowy oddział i wkroczył na obszary pałacowe. Składał się z pięćdziesięciu uzbrojonych Bolganich i dwa razy tylu czarnych wojowników. Ściśle otoczeni tym zbrojnym tłumem byli czterej tragarze, dźwigający małe nosze, do których przytwierdzona była ozdobna skrzynia, mająca około dwu stóp szerokości, czterech długości i dwu wysokości. Skrzynia była z jakiegoś ciemnego, zniszczonego drzewa, wzmocniona obręczami i narożnikami z czystego złota, wysadzany mnóstwem diamentów. Co skrzynia zawierała, Tarzan oczywiście nie wiedział, że jednak uważano ją za rzecz niezmiernie drogocenną, można się było domyśleć ze środków ostrożności, zachowywanych przy jej przenoszeniu. Niesiono ją wprost do bluszczem obrośniętej wieży w północnym rogu pałacu. Teraz dopiero Tarzan zauważył, że wejście do tej wieży było zabezpieczone podwojami tak wielkimi i ciężkimi jak wschodnie wrota.

Skorzystawszy z pierwszej dogodnej chwili, Tarzan przerzucił się przez drogę leśną i po drzewach ruszył z powrotem do miejsca, w którym zostawił trupa. Zarzucił go sobie na ramiona i poniósł ku wschodnim wrotom. Upatrzawszy odpowiednią chwilę, cisnął ciało jak najbliżej wejścia.

— Teraz — pomyślał — jeśli potrafią, niech zgadną, kto zabił ich towarzysza.

Ruszył w kierunku południowo-wschodnim i zbliżył się do gór, położonych na tyłach Diamentowego Pałacu. Musiał często zbaczać, by omijać krajowe wioski i unikać licznych oddziałów Bolganich, kręcących się po lesie. Dobrze po południu ujrzał łańcuch surowych granitowych gór. Wyraźny trop prowadził do wąwozu, wijącego się ku szczytom i tym tropem Tarzan postanowił pójść celem przeprowadzenia badań. Zeskoczył z drzewa i kryjąc się w krzakach, gęsto obrastających ścieżkę, pośpieszył w góry. Musiał przeważnie przedzierać się przez zarośla, gdyż trop wciąż był pełen Gomanganich i Bolganich, idących w jedną stronę z pustymi rękami, a wracających z blokami granitu. W połowie drogi trop powiódł go do ciasnego wąwozu, najwyżej dwudziestu stóp szerokości, wykutego w mocnych skałach granitowych. Tu nie było już możliwości ukrycia się. Wejść do tego wąwozu, znaczyło narazić się na bezzwłoczne zdradzenie swej obecności. Rozejrzał się dokoła i zauważył, że jeśli go z lekka okraży, to będzie mógł się dostać na szczyt wąwozu, gdzie wielkie granitowe złomy i karłowate drzewa i krzaki dadzą mu dostateczną osłonę i skąd może będzie miał rozleglejszy, niż z tropu, widok.

Nie mylił się istotnie. Gdy wzniósł się ponad ścieżkę, zobaczył wprost przed sobą otwarty szyb w górze. Otaczające skały podziurawione były licznymi otworami, które, jak sądził, nie mogły być niczym innym tylko wejściami do tunelów. Prostackie drabiny drewniane stały przy niektórych otworach, z innych zwieszały się pełne węzłów powrozy. Z tych tunelów wyłaniali się ludzie, niosący woreczki z ziemią, które ciskali na stos obok strumyka, płynącego środkiem wąwozu. Inni,

pod nadzorem Bolganich, zajęci byli przemywaniem błota, ale Tarzan nie mógł odgadnąć, co spodziewali się znaleźć, lub co znajdowali.

Z jednej strony skalistej kotliny znaczny zastęp murzynów wylaamywał granit ze skał, w których wskutek tego zostały wykute całe szeregi stopni, wznoszących się od dna kotliny aż do szczytu. Tu nadzy robotnicy, pod okiem Bolganich, mozolili się przy pomocy pierwotnych narzędzi. Zrozumiała była robota ludzi, zajętych w kamieniołomach, ale co przynosili tamci inni z tunelów, nie mógł Tarzan dojść, choć przypuszczał, że było to złoto. Skąd więc brali diamenty? Z pewnością nie z tych skal granitowych.

Po paru minutach obserwacji doszedł do przekonania, że trop, którym przyszedł z lasu, kończył się w tym ślepym zaułku. Chcąc więc wydostać się stąd, zaczął poszukiwać drogi w dół lub okrężnej.

Resztę tego dnia i prawie cały dzień następny spędził na tych wysiłkach i przekonał się wreszcie, że z tej strony nie było wyjścia z doliny. Wdrapał się wysoko ponad linię drzew, lecz zawsze docierał do prostopadłych skał granitowych, wysoko piętrzących się nad nim, na które nawet on nie zdołałby się wdrzeć. Badania swe poprowadził od południowej i wschodniej strony kotliny, wciąż z tym samym zniechęcającym wynikiem. Wreszcie zawrócił do lasu z zamiarem poszukania drogi przez dolinę Oparu wraz z La, gdy tylko zmierzch zapadnie.

O wschodzie słońca przybył do wioski, w której pozostawił La. Zaledwie ujrzał wioskę, przeczuł, że stało się coś złego. Brama była szeroko otwarta, wewnątrz palisady nikt nie dawał znaku życia, bujające chaty nie poruszały się. Nie chcąc wpaść w zasadzkę, rozejrzał się dokładnie, zanim wszedł do wioski i doszedł do przekonania, że co najmniej przed dwudziestu czterema godzinami mieszkańcy ją opuścili. Pobiegł do chaty, w której ukrywano La, szybko wspiął się po sznurze i zajrzał do wnętrza — pusto było, ani śladu Arcykapłanki. Zeskoczył na ziemię i rozpoczął badania, by znaleźć wyjaśnienie losów mieszkańców i La. Zbadał już wnętrza licznych chat, gdy nagle bystry jego wzrok dojrzał lekkie poruszenie jednego bujającego mieszkania. Szybko przebiegł dzielącą go od owej chaty przestrzeń i zobaczył, że od jej drzwi nie zwisał żaden sznur. Zatrzymał się pod nią i spojrzał w otwór, przez który widać było tylko powałę.

— Gomangani — zawołał — to ja, Małpi Tarzan! Zbliź się do otworu i powiedz mi, co się stało z twymi współbraćmi i z moją małżonką, którą pozostawiłem pod opieką waszych wojowników.

Nie było odpowiedzi. Tarzan zawołał powtórnie, gdyż pewien był, że ktoś ukrywa się w chacie.

— Zejdź, albo pójde po ciebie.

Znowu żadnej odpowiedzi. Z groźnym uśmiechem wyciągnął z pochwy nóż, wziął go w zęby i kocim susem skoczył ku otworowi. Chwyciwszy się za ścianę, wciągnął się do wnętrza chaty.

Nie spotkał żadnego oporu. W słabo oświetlonym wnętrzu z początku nie mógł niczego dojrzeć, ale gdy jego oczy przywykły do ciemności, rozróżnił stos liści i traw pod przeciwległą ścianą. Rozgarnął je i znalazł skuloną postać przerażonej kobiety. Schwycił ją za ramię i zmusił, by usiadła.

— Co się stało? — zapytał. — Gdzie są wieśniacy? Gdzie moja żona?

— Nie zabijaj mnie! Nie zabijaj! To nie ja! To nie moja wina! — zaczęła krzyczeć.

— Nie zamierzam cię zabić — uspokajał ją Tarzan — powiedz mi prawdę, a nic ci się nie stanie.

— Bolgani ich zabrali! — zawołała kobieta. — Przyszli, gdy słońce się zniżyło tego dnia, coś ty się tu zjawił, i byli bardzo źli, bo znaleźli ciało swego towarzysza przed wrotami Diamentowego Pałacu. Wiedzieli, że wybrał się do naszej wioski i nikt go nie widział żywym, odkąd wyszedł z pałacu. Przyszli więc i poty grozili i torturowali ludzi, że wreszcie wojownicy wszystko im opowiedzieli. Ja się ukryłam. Nie wiem, dlaczego mnie nie znaleźli. Wreszcie poszli sobie, zabierając ze sobą wszystkich i twoją żonę także. Nigdy już nie wrócą.

— Czy myślisz, że Bolgani ich wymordują?

— Tak — rzekła — oni zabijają każdego, kto im się sprzeciwi.

Sam teraz i zwolniony od odpowiedzialności za La, mógłby Tarzan z łatwością przebyć w nocy dolinę Oparu i znaleźć bezpieczeństwo za jej granicami. Ale podobna myśl niechybnie nigdy nie powstała mu w głowie. Wdzięczność i uczciwość były jego wybitnymi cechami. La ocaliła go przed fanatyzmem i intrygami swego ludu. Ocaliła go za cenę tego, co jej było najdroższe — władzy i stanowiska, spokoju i bezpieczeństwa. Życie swe dla niego naraziła, stała się wygnanką bez ojczyzny. To, że Bolgani zabrali ją, prawdopodobnie z zamiarem zamordowania, nie wystarczyło dla Tarzana. Musi się dowiedzieć, czy ona żyje, czy nie, a jeśli żyje, musi wszystkie swe wysiłki skierować ku uwolnieniu jej i uprowadzeniu z tej niebezpiecznej doliny.

Dzień cały spędził dokoła obszaru pałacowego, poszukując sposobności dostania się niepostrzeżenie do środka, lecz okazało się to niemożliwe. Ani przez chwilę ogród nie pozostawał pusty, wciąż kręcili się po nim Gomangani lub Bolgani. Ale o zmierzchu zamknięto wielkie wrota, mieszkańcy chat i pałacu ukryli się w mieszkaniach i nie pozostał ani jeden strażnik na dworze — fakt, jasno dowodzący, że Bolgani nie mieli żadnego powodu do lękania się jakiejś napaści. Gomangani byli widocznie zupełnie ujarzmieni, a otaczający mur, więcej niż dostateczny do ochrony przed najściem lwów, był tylko wspomnieniem minionych dni, gdy potężny niegdyś, a obecnie już nie istniejący wróg, zagrażał spokojowi i bezpieczeństwu mieszkańców.

Gdy się już zupełnie ściemniło, Tarzan zbliżył się do wrót, zarzucił pętlę swego sznura na jednego z rzeźbionych lwów, zdobiących wieżeje, zwinnie wspiął się na szczyt muru i lekko zeskoczył do ogrodu. By zapewnić sobie drogę ucieczki, w razie gdyby znalazł La, odryglował ciężkie wrota i otworzył je. Już za dnia upatrzył sobie wschodnią, bluszczem obrośniętą wieżę, jako dającą najłatwiejszy wstęp do pałacu i ku niej zaczął się skradać. Powodzenie jego planu zależało w wielkiej mierze od mocy bluszczu, który porastał wieżę prawie do szczytu. Z uczuciem ulgi przekonał się, że wytrzyma jego ciężar.

Z drzew otaczających pałac, dojrzał wysoko nad ziemią, blisko wierzchołka wieży, otwarte okno, jedyne w tej części pałacu nie zabezpieczone kratami. Z wielu okien wieży i pałacu jaśniały mdłe światła. Omijając te oświetlone otwory, Tarzan ostrożnie a spiesznie zaczął się wspinać ku otwartemu oknu. Zajrzał przez nie i z zadowoleniem stwierdził, że wewnątrz było nie oświetlone, tak wszakże ciemne, że niczego nie mógł rozróżnić. Wciągnął się we framugę i ostrożnie wsunął się do komnaty. Macając w ciemnościach, przezornie obszedł pokój dokoła i przekonał się, że zawiera rzeźbione łoże, stół i kilka ław. Na łożu znajdowały się jakieś tkaniny, narzucone na starannie wygarbowane skóry antylop i lampartów.

Naprzeciw okna, przez które się dostał, były zamknięte drzwi. Cicho i z wolna je otworzył i przez wąską szparę zobaczył słabo oświetlony korytarz, czy okrągłą sien, w środku której znajdował się otwór około czterech stóp średnicy. Z tego otworu wystawał i do takiego samego otworu w powale sięgał drąg z krótkimi poprzecznymi drążkami, umieszczonymi mniej więcej co stopę. Były to widocznie bardzo pierwotnej roboty schody, łączące ze sobą niższe piętra wieży. Trzy strzeliste kolumny, umieszczone w jednakowej odległości wokoło okrągłego otworu w podłodze, podtrzymywały powalę. W tej okrągłej sieni były jeszcze inne drzwi, podobne do otworu do komnaty, w której się znajdował Tarzan.

Nie słysząc żadnego szmeru i nikogo nie widząc, otworzył drzwi i wszedł do sieni. Poczł ten sam silny zapach kadzidła, który zauważył przed wielu dniami za pierwszym zbliżeniem do pałacu. We wnętrzu wieży zapach ten był znacznie mocniejszy, pokrywał wszelkie inne wonie i utrudniał poszukiwanie La. Spoglądając na drzwi, Tarzan poczuł niepokój na myśl, że oczekuje go zadanie niewykonalne niemal. Niepodobieństwem wydawało się przeszukać tę wielką wieżę bez pomocy

zmysłu powonienia, jeśli będzie musiał zachować najzwyklejsze nawet środki ostrożności, by nie zostać przyłapanym.

Wiedział dobrze, że nie sprostałby nawet nielicznym Bolganim, gdyby go znaleźli w tym pałacu, gdzie oni wybornie się orientowali a on był zupełnie obcym. Miał za sobą otwarte okno, cichą noc dżungli i wolność. Przed sobą — niebezpieczeństwo, prawie pewne niepowodzenie i bardzo prawdopodobną śmierć. Chwilę stał w zamyśleniu wreszcie podniósł głowę, wyprężył szerokie ramiona, wyzywająco potrząsnął czarnymi lokami i śmiało ruszył ku najbliższym drzwiom. Zbadał komnatę za komnatą na całym piętrze, ale nie znalazł śladu La. Widział wykwintne meble, kobierce i obicia, złote i diamentowe ozdoby, a w jednej, słabo oświetlonej komnacie, natknął się na uśpionego Bolgani. Ale tak cicho poruszał się człowiek-małpa, że bez przeszkody obszedł dokoła łożę śpiącego, umieszczone w środku komnaty i zbadał zasłoniętą alkowę.

Obszedłszy całe piętro, postanowił dostać się na wyższe i powrócić, by zejść później na niższe piętra. Wszedł więc na dziwne schody. Minał trzy kondygnacje, zanim się znalazł na najwyższym piętrze wieży. Na każdym mijanym widział szereg zamkniętych drzwi, wszędzie w sieniach płonęły kaganki, płytkie złote naczynia napełnione łojem, po którym pływał knot z włókien.

Na najwyższym piętrze było tylko troje drzwi, wszystkie pozamykane. Pułapem sieni był sklepiony dach wieży, który posiadał również okrągły otwór. Przez ten otwór schody prowadziły na szczyt wieży, w nocne ciemności.

Tarzan otworzył najbliższe drzwi. Skrzypnęły na zawiasach. Był to pierwszy dosłyszalny dźwięk, jaki się rozległ, odkąd rozpoczął swe badania. Wnętrze komnaty nie było oświetlone. Tarzan, stojąc we framudze drzwi w posągowym milczeniu, posłyszał ruch, cień cienia ruchu poza sobą. Obrócił się szybko i ujrzał człowieka, stojącego w otwartych drzwiach po drugiej stronie sieni.

Rozdział XII

Sztaby złota

Esteban Miranda odgrywał rolę Małpiego Tarzana wobec Waziri niecałą dobę. Niebawem zaczął zdawać sobie sprawę, że nawet wykręt co do uszkodzonego mózgu nie pozwoli mu w nieskończoność oszukiwać czarnych. Przede wszystkim Usula nie wydawał się bynajmniej zadowolony z pomysłu zabrania złota intruzom i umykania przed nimi. Pozostali wojownicy również nie wydawali się zachwyceni tym projektem. W rzeczy samej nie mogli pojąć, by kilka uderzeń w głowę mogło ich Małpiego Tarzana uczynić tchórzem, a ucieczka przed tymi Murzynami z zachodniego wybrzeża i garstką niedoświadczonych białych, wyglądała po prostu na tchórzostwo.

Po południu zdarzyło się coś, co ostatecznie przekonało Hiszpana, że przygotowywał sobie bynajmniej nie różami zasłaną drogę i że im prędzej znajdzie jakąś wymówkę, by się rozstać z wojownikami, tym lepiej na tym wyjdzie.

Szli przez las dosyć rzadki. Zarośla były niezbyt bujne, drzewa dosyć daleko od siebie, gdy nagle, bez ostrzeżenia, natarł na nich nosorożec. Ku wielkiemu zdumieniu Waziri, Małpi Tarzan zawrócił i uciekł ku najbliższemu drzewu. W pośpiechu Esteban potknął się i padł, a gdy wreszcie dobiegł do drzewa, zamiast zwinnie skoczyć na niższe gałęzie, usiłował wdrapać się na wielki pień, jak uczeń na słup telegraficzny, po to tylko, by się ześlizgnąć i runąć na ziemię.

Buto tymczasem, który kieruje się raczej słuchem i węchem, niż słabym swym wzrokiem, przez któregoś z Waziri został pociągnięty w innym kierunku i chybiwszy zdobycz, znikł w zaroślach.

Esteban, podniósłszy się wreszcie i ujrawszy, że nie ma nosorożca, spostrzegł na twarzach otaczających go półkolem rosnących Murzynów, wyraz współczucia i smutku, nie pozbawiony domieszki wzgardy. Hiszpan zrozumiał, że strach pchnął go do popełnienia niewybaczalnego błędu, chwycił się wszakże rozpaczliwie jedynej deski ratunku.

— Moja biedna głowa — zawołał, przyciskając dłońmi skronie.

— Uderzenie dotknęło twej głowy, Bwana — rzekł Usula, a Twoi wierni Waziri mniemali, że to serce ich pana zaznało trwogi.

Esteban nic nie odpowiedział i w milczeniu ruszyli w dalszy pochód. Milcząc szli aż do zmierzchu. Wreszcie rozłożyli obóz na wybrzeżu rzeki na wprost wodospadu. W drodze Esteban obmyślił sposób rozwiązania zagadnienia i zaledwie zdążyli rozłożyć obóz, rozkazał Waziri zakopać skarb.

— Zostawimy go tu — rzekł — a jutro wybierzemy się na poszukiwanie rabusiów, gdyż postanowiłem ich ukarać. Trzeba ich nauczyć, że do dżungli Tarzana nie wchodzi się bezkarnie. Tylko ból głowy przeszkodził mi w bezzwłocznym zamordowaniu ich.

Takie stanowisko lepiej się spodobało Waziri. Zabłysł im promień nadziei. Małpi Tarzan stał się znowu Tarzanem. Z lżejszym sercem i weselsi wyruszyli nazajutrz rankiem na poszukiwanie obozu Anglików. Z dala już poczuli dym ich ognisk i usłyszeli śpiewy i paplaninę tragarzy.

Wówczas Esteban przywołał Waziri i przemówił do Usuli po angielsku.

— Moje dzieci, ci obcy przyszli tu, by skrzywdzić Tarzana. Do Tarzana zatem należy pomsta. Idźcie więc i pozostawcie mnie samemu ukaranie mych wrogów według mego upodobania. Wracajcie do domu. Złoto pozostawcie tam, gdzie leży, gdyż dużo czasu upłynie, zanim będzie mi potrzebne.

Waziri doznali rozczarowania. Ten cały plan nie dogadzał ich pragnieniom wymordowania Murzynów z zachodniego wybrzeża. Ale ten, kto stał nad nimi, był to Tarzan, ich wielki Bwana, któremu nigdy nie ważyli się okazać nieposłuszeństwa. Przez chwilę stali w milczeniu, wreszcie zaczęli mówić między sobą w swym narzeczu. Hiszpan nie rozumiał co mówili, widocznie jednak nalegali o coś na Usulę, który zwrócił się do niego.

— Och, Bwana — zawołał — jakże możemy wrócić do domu do lady Janiny i powiedzieć jej, że opuściliśmy cię chorego i samotnego wobec strzelb białych ludzi i ich askarysów? Nie żądaj tego od nas, Bwana. Gdybyś był dawnym sobą, nie lękalibyśmy się o ciebie, ale od czasu uderzenia w głowę nie jesteś taki, jak byłeś, i boimy się pozostawić cię samego w dżungli. Pozwól więc nam ukarać tych ludzi, a potem zabierzemy cię do domu, gdzie się wyleczysz z choroby.

Hiszpan się roześmiał. — Jestem już właśnie wyleczony — rzekł — i nie grożą mi większe niebezpieczeństwa samemu, niż w waszym towarzystwie. Usłuchacie mych życzeń — przemówił surowiej. — Wróćcie drogą, którąśmy tu przyszli. Po przebyciu dwu mil, możecie rozłożyć się na noc, a jutro rankiem ruszyć do domu. Nie róbcie hałasu, niechcę, by wiadano, że tu jestem. Nie troszczcie się o mnie. Mam się doskonale i zapewne dogonię was, nim dojdziecie do domu. Odejdźcie!

Zasmuceni Waziri oddalili się tym samym tropem, którym byli przyszli i wkrótce Hiszpan stracił ich z oczu.

Z westchnieniem ulgi Esteban Miranda skierował się do obozu swych przyjaciół. Obawiał się, że jego nagłe pojawienie się może wywołać chmurę strzałów ze strony askarysów, zagwizdał więc i głośno zawołał.

— To Tarzan! — krzyknął pierwszy Murzyn, który go spostrzegł. — Teraz zaprawdę wszyscy zginiemy.

Esteban zobaczył poruszenie wśród tragarzy i askarysów, zobaczył, jak ci ostatni chwyтали za strzelby i nerwowo naciskali cyn—

— To ja, Esteban Miranda — głośno zawołał. — Floro, Floro, powiedz tym głupcom, żeby odłożyli strzelby.

Również i biali bacznie mu się przypatrywali. Na dźwięk jego głosu Flora zwróciła się do Murzynów:

— Uspokójcie się. To nie Tarzan. Odłóżcie strzelby.

Esteban wszedł z uśmiechem do obozu.

— Oto jestem — oznajmił.

— Sądziłeś, że nie żyjesz — rzekł Kraski. — Jeden z tych ludzi twierdził, iż Tarzan powiedział, że cię zabił.

— Schwytał mnie — powiedział Esteban — ale, jak widzicie, nie zabił. Myślałem, że mnie zabije, ale me zrobił tego i wreszcie wypuścił mnie w dżungli. Może sądził, że i tak zginę i że w ten sposób dopnie swego, nie plamiąc rąk moją krwią.

— Widocznie zna cię dobrze — odezwał się Peebles. — Niechybnie umarłbyś, gdybyś bardzo długo sam pozostawał w dżungli, umarłbyś z głodu.

Esteban nic nie odpowiedział na ten docinek, tylko zwrócił się do Flory.

— Nie cieszysz się z mojego powrotu, Floro? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Wszystko mi jedno. Nasza wyprawa zbankrutowała. Są tacy, co przypisują winę tobie. —

Wskazała głową na białych.

Hiszpan zasepił się. Nikt nie cieszył się z jego powrotu. O innych nie dbał, ale spodziewał się, że Flora okaże radość na jego widok. Ha, gdyby wiedziała, co on zamierzał, aż nazbyt chętnie okazałaby mu trochę życzliwości. Ale ona nic nie wiedziała. Nie wiedziała, że Esteban Miranda ukrył sztaby złota i że mógł choćby jutro je zabrać. Miał zamiar namówić ją, by porzuciła kompanię i żeby we dwoje poszli po skarby. Ale teraz był dotknięty i obrażony. Nikt z nich nie dostanie ani grosza. Poczekaj, aż opuszczą Afrykę, a potem zabierze całe złoto dla siebie samego. Jedyną czarną plamą była myśl, że Waziri znali miejsce, gdzie skarb był zakopany i że prędzej czy później, przyjdą poń z Tarzanem. Trzeba temu zapobiec. Aby zapobiec, niezbędną jest pomoc, to znaczy, trzeba się z kimś podzielić tajemnicą. Ale z kim?

Udając, że nie widzi ponurych spojrzeń swych towarzyszy, zasiadł między nimi na swym zwykłym miejscu. Oczywiście było, że dalecy byli od cieszenia się z jego powrotu, ale dlaczego — nie wiedział. Nie słyszał o planie, uknutym przez Kraskiego i Owazę w sprawie ograbienia rabusiów kości słoniowej, nie wiedział więc, że jego zjawienie się było im nie na rękę, gdyż zmniejszało ich część przy podziale łupu. Pierwszy Kraski wypowiedział głośno myśl, trapiącą wszystkich, prócz Estebana.

— Miranda — rzekł — według powszechnego zdania, ty i Bluber ponosicie winę za niepowodzenie naszej wyprawy. My nie jesteśmy winni. Wspominam o tym, jako o fakcie. Podczas twojej nieobecności postanowiliśmy zabrać z Afryki coś, co w części przynajmniej wyrówna nam stratę złota. Opracowaliśmy cały plan szczegółowo. Nie mamy żadnej potrzeby wtajemniczenia cię. Nic nie mamy przeciwko temu, byś nam, jeśli chcesz, towarzyszył, ale chcemy od razu jasno postawić sprawę, że nie przypuścimy cię do udziału.

Hiszpan uśmiechnął się i pogardliwie machnął ręką.

— Doskonale — rzekł. — Niczego nie żądam. Wcale bym nie chciał czegokolwiek od was. — Uśmiechnął się w duchu szyderczo na myśl, że pewnego pięknego dnia wywiezie z Afryki dla siebie samego przeszło ćwierć miliona funtów w złocie.

Ta niespodziewana zgodność Estebana zdjęła ciężar z serc obecnych i wkrótce znikł nastrój przymusu.

— Dobry z ciebie chłop, Estebanie — rzekł Peebles. — Zapewniałem ich, że postąpisz jak się należy, i chcę ci powiedzieć, że bardzo się cieszę, że cię widzę zdrowym i całym. Strasznie mi się zrobiło, gdy usłyszałem, że już po tobie, wierz mi.

— To prafta — potwierdził Bluber — John tak śle się czuł, sze płakał co noc, czy nie, Johnie?

— Tylko nie dodawaj, Bluber — burknął gniewnie Peebles.

— Ja nic nie totaje — odrzekł Bluber, widząc, że gruby Anglik jest niezadowolony — rozumie się, fszyscy sze martwiliśmy, jak pomiszleliśmy, sze Esteban nie szyje i fszyscy się cieszymi, że frócił.

— I że nie domaga się udziału w łupach — dodał Throck.

— Nie kłopotczcie się — rzekł Esteban — dość będę szczęśliwy, jeśli uda mi się wrócić do Londynu — to, czego zaznałem w Afryce, wystarczy mi do końca życia.

Hiszpan nie mógł zasnąć tej nocy. Ze dwie godziny leżąc bezsennie, obmyślał sposób zabezpieczenia sobie złota bez obawy, że je zabiorą Waziri. Wiedział, że z łatwością mógłby odnaleźć miejsce, gdzie je zakopał i przenieść skarb gdzieś w pobliże, o ile by natychmiast puścił się tropem, którym go dziś prowadził Usula i zrobił to zupełnie sam, nikomu nie zdradzając miejsca

ukrycia złota. Ale równie dobrze wiedział, że później, z wybrzeża, już nie trafi, że więc musi wtajemniczyć kogoś, obeznanego z okolicą, który każdej chwili i z jakiegokolwiek punktu zdołałby odnaleźć owo miejsce. Komu jednak mógł zaufać? W myśli przeglądał wszystkich towarzyszących wyprawie safarich i wciąż myśl jego powracała do jednego osobnika — Owazy. Nie miał wcale zaufania do uczciwości starego łotra, ale nikt inny nie nadawał się tak dobrze do jego celów. W końcu doszedł do przekonania, że musi tego czarnego dopuścić do tajemnicy, licząc nie tyle na jego honor ile na jego chciwość. Mógł go wszakże hojnie opłacić — dać mu bogactwo, przechodzące jego najśmielsze marzenia. Zasnął nareszcie, snując marzenia o rozkoszach, jakie złoto mu zapewni w wesołych stolicach świata.

Nazajutrz, podczas ранego śniadania, wspomniawszy mimochodem, że ubiegłego dnia widział niedaleko od obozu duże stado antylop i zaproponował, że weźmie czterech lub pięciu ludzi, by zapolować, a później dogoni resztę towarzystwa przed nocą. Nikt się nie sprzeciwił, prawdopodobnie dlatego, że liczyli na to, iż im więcej będzie polował i im bardziej oddali się od safarich, tym łatwiej narazi się na śmierć. Nikt nie żałowałby takiego zbiegu okoliczności, gdyż w głębi serca nikt go nie lubił i mu nie dowierzał.

— Zabiorę ze sobą Owazę — mówił — to najlepszy ze wszystkich strzelców, a także pięciu lub sześciu ludzi według jego wyboru. — Gdy wszakże zbliżył się do Owazy, czarny zaczął odradzać polowanie.

— Mamy mięsiwa pod dostatkiem na dwa dni — perswadował. — Uchodźmy jak najrychlej z krainy Waziri i Tarzana. Znajdziemy pełno zwierzyny dalej. Po dwu dniach pochodu pójdę z tobą na łowy.

— Słuchaj — szepnął Esteban. — Chcę zapolować na coś więcej niż na antylopy. Tu w obozie nie mogę mówić, ale gdy zostaniemy sam na sam, wyjaśnię ci wszystko. Lepiej ci się opłaci pójść dziś ze mną, niż warta cała kość słoniowa, którą spodziewasz się zdobyć. Owaza nadstawił uszu i poskrobał się po wełniastej głowie.

— Dobry dziś mamy dzień na polowanie, Bwana — rzekł. — Pójdę z tobą i przyprowadzę pięciu chłopców.

Owaza dał głównej części wyprawy wskazówki co do drogi i co do nocnego postoju, aby on i Hiszpan mogli odnaleźć towarzystwo, po czym myśliwi ruszyli tropem, którym poprzedniego dnia Usula szedł od zakopanego skarbu. Niedaleko uszli, gdy Owaza spostrzegł świeży ślad Waziri.

— Dużo ludzi szło tędy wczoraj — rzekł do Estebana, podejrzliwie na niego spoglądając.

— Nikogo nie widziałem — odparł Hiszpan. — Musieli przejść tędy po mnie.

— Doszli prawie do naszego obozu, a potem zawrócili — powiedział Owaza. — Słuchaj, Bwana, ja mam strzelbę, a ty idź naprzód przede mną. Jeśli te ślady pozostawili twoi ludzie i ty prowadzisz mnie w zasadzkę, umrzesz.

— Posłuchaj, Owaza — przemówił Esteban — oddaliliśmy się na tyle od obozu, że mogę ci wszystko powiedzieć. To są ślady Waziri Małpiego Tarzana, którzy o dzień marszu stad zakopali dla mnie złoto. Odesłałem ich do domu, a teraz chcę, żebyś poszedł ze mną i przeniósł złoto w inne miejsce. Gdy tamci zdobędą kość słoniową i wrócą do Anglii, ty i ja powrócimy tu i zabierzemy złoto, a wówczas, zaprawdę, otrzymasz nagrodę.

— Kimże więc jesteś? — zapytał Owaza. — Nieraz wątpiłem, czy jesteś Małpim Tarzanem. Wówczas, gdy opuściliśmy obóz pod Oparem, jeden z moich ludzi opowiedział mi, że twoi otruli cię i zostawili w obozie. Twierdził, że widział to na własne oczy, że widział twoje ciało ukryte za krzakami, a przecież owego dnia razem byliśmy w drodze. Sądziłem, że kłamał, ale zauważyłem na jego twarzy zmieszanie, gdy cię zobaczył. Nieraz więc zastanawiałem się, czy jest może dwu

Małpich Tarzanów.

— Ja nie jestem Małpim Tarzanem — odrzekł Esteban. — To Małpiego Tarzana otruli tamci w naszym obozie. Ale dali mu tylko coś, co go uśpiło na długo, może w nadziei, że przed przebudzeniem zostanie zamordowany przez dzikie zwierzęta. Czy on jeszcze żyje, czy nie — tego nie wiem. Nie obawiaj się więc mnie, bo ja sam pragnę trzymać się jak najdalej od Tarzana i Waziri, więcej może niż ty.

— Może to prawda, co mówisz — powiedział czarny, ale nadal szedł za Hiszpanem ze strzelbą gotową do strzału.

— Szli ostrożnie, w obawie natknięcia się na Waziri, gdy jednak minęli miejsce, na którym tamci nocowali, przekonali się, że Waziri obrali inną drogę i że nie groziło im spotkanie się z nimi.

Gdy się znaleźli na jakąś milę odległości od zakopanego skarbu, Esteban kazał Owazie, by zatrzymał tu swych chłopców, proponując mu, żeby we dwóch tylko poszli przenieść złoto.

— Im mniej ludzi będzie o tym wiedziało — przedkładał mu — tym lepiej dla nas.

— Mądrość przemawia przez Bwanę — rzekł czarny. Esteban z łatwością znalazł miejsce w pobliżu — wodospadu.

Wypytawszy Owazę, przekonał się, że tamten wybornie znał okolicę i że bez żadnej trudności wróci do niej z wybrzeża. Przenieśli złoto niedaleko i schowali w gąszczu nad brzegiem rzeki, pewni, że będzie tu tak dobrze ukryte, jak gdyby wynieśli je o setki mil. Wszak mało prawdopodobnym było, aby Waziri, lub ktokolwiek inny, kto by się dowiedział o pierwotnym miejscu ukrycia, wątpliwe było, aby wpadli na myśl, że chciało się komuś zadawać sobie trud przenoszenia skarbu zaledwie o sto metrów dalej.

— Gdy skończyli robotę, Owaza spojrzął na słońce.

— W żaden sposób nie dostaniemy się dziś do obozu — oświadczył — i bardzo będziemy się musieli spieszyć, by nawet jutro ich dogonić.

— Wcale na to nie liczyłem — przyznał się Esteban — ale nie mogłem im tego powiedzieć. Bardzo będę rad, jeśli się z nimi nigdy więcej nie spotkamy. — Owaza uśmiechnął się szyderczo. Już sobie coś umyślił.

— Po co — mówił sobie w duchu — narażać życie w walce z arabskimi rabusiami kości słoniowej dla paru kłów, skoro całe złoto, byle je przenieść na wybrzeże, będzie nasze?

Rozdział XIII

Płaska wieża

Tarzan obrócił się i ujrzał człowieka, stojącego za nim na szczycie bluszczem obrośniętej wieży Diamentowego Pałacu. Sięgnął po nóż, ale ręka opadła mu natychmiast. Ze zdumieniem spoglądał na twarz, która wyrażała podobne uczucia. Ten, kogo Tarzan ujrzał, to był nie Bolgani ani Gomangani, tylko biały człowiek, stary, łysy, pomarszczony, z długą białą brodą, biały człowiek, zupełnie nagi, ozdobiony tylko złotymi blaszkami i diamentami.

— Boże! — wykrzyknęło to dziwne zjawisko.

Tarzan spojrział z niedowierzaniem. Ten jeden jedyny wyraz angielski otwierał pole do tak niesłychanych domysłów, że olśniony umysł człowieka-małpy cofał się przed ich możliwością.

— Czyni jesteś? Kim jesteś? — dopytywał się starzec, teraz już w narzeczu wielkich małp.

— Przed chwilą użyłeś wyrazu angielskiego — przemówił Tarzan po angielsku. — Czy władasz tym językiem?

— Ach, dobry Boże! — zawołał starzec. — Żeś mi dał dożyć usłyszenia tej drogiej mowy! — Mówił teraz po angielsku, ale z namysłem, jak ktoś, z dawna odwykły od posługiwania się tym językiem.

— Kim jesteś i co tu porabiasz? — zapytał Tarzan.

— Zadałem ci to samo pytanie — odparł starzec. — Nic lękaj się odpowiedzieć mi. Jesteś najwidoczniej Anglikiem i nic ci nie grozi z mojej strony.

— Przyszedłem tu po kobietę, którą Bolgani uwięzili.

— Tak — odparł tamten — wiem o tym. Jest tutaj.

— Czy nic się jej nie stało?

— Dotychczas nie skrzywdzono jej. Do jutra albo do pojutrze nic jej nie grozi. Ale kim ty jesteś i w jaki sposób dostałeś się tutaj?

— Jestem Małpi Tarzan. Przybyłem do tej doliny, poszukując wyjścia z doliny Oparu, gdzie groziło niebezpieczeństwo mojej towarzysze. A ty?

— Jestem stary człowiek i jestem tu od lat chłopięcych. Przemyciałem się na okręcie, który wiozł Stanley'a do Afryki i razem z nim przybyłem do tej części świata. Pewnego razu wyszedłem samowolnie na łowy. Zabłądziłem. Później pochwycili mnie wrogo usposobieni krajowcy. Zaciągnęli mnie w głąb kraju, do swej wioski, skąd wreszcie uciekłem. Pojęcia jednak nie miałem, w którą stronę się zwrócić, by odszukać swój obóz. Miesiące całe włóczyłem się, aż pewnego przekłętego dnia znalazłem wejście do tej doliny. Nie wiem dlaczego nie zabili mnie od razu. Później odkryli, że moje umiejętności mogą się im przydać. Od tego czasu zacząłem im pomagać w kamieniołomach i kopalniach, i w obrabianiu diamentów. Nauczyłem ich robić świdry żelazne z zahartowanymi końcami i świdry, zakończone diamentem. Teraz jestem właściwie jednym z nich, ale w głębi serca zawsze żywiłem nadzieję, że uda mi się kiedyś uciec z tej doliny, beznadziejna

nadzieja, wierzaj mi.

— Czy nie ma stąd wyjścia?

— Jest, ale jest bezustannie strzeżone.

— Gdzie jest to miejsce?

— Jest to dalszy ciąg jednego z terenów kopalnianych, który ciągnie się poprzez całą górę aż do doliny poza górami. Kopalnie rozpoczęli świdrować przed niezliczonymi wiekami przodkowie dzisiejszych mieszkańców. Góry są całe poryte szybami. Za kwarcem, zawierającym złoto, leży olbrzymi pokład perydotów, zawierający diamenty. Widocznie w poszukiwaniu tych kamieni wydłużyli szyb aż do przeciwległego krańca góry, może też i w celach wentylacji. Ten tunel i trop, wiodący w dół do Oparu, to jedyne dostępy do doliny. Od niepamiętnych czasów tunel jest specjalnie strzeżony. Przypuszczam, że chodzi o zapobieżenie ucieczce niewolników. Tropu do Oparu nie pilnują, gdyż nie boją się Oparian i wiedzą, że żaden z ich niewolników Gomanganich nie odważyłby się wejść do doliny czcicieli słońca. Z tych samych powodów, z jakich niewolnicy nie mogą uciec, my również musimy tu na zawsze pozostać uwięzieni.

— Jak jest strzeżony tunel?

— Dwu Bolganich i dwunastu lub więcej Gomanganich stoi tam zawsze na warcie.

— Czy Gomangani chcieliby uciec?

— W przeszłości wielokrotnie próbowali, jak mi opowiadano, ale zawsze chwymano ich i poddawano torturom. Za mojej pamięci nigdy się to nie zdarzyło. Za te usiłowania ucieczki jednostek poddawano karze cały lud!

— Czy Gomangani są liczni?

— Będzie ich w dolinie około pięciu tysięcy.

— A ilu jest Bolganich?

— Od tysiąca do tysiąca stu.

— Pięciu na jednego i boją się spróbować ucieczki!

— Pamiętaj, że Bolgani są rasą panującą i inteligentną — tamci stoją umyślowo trochę wyżej od zwierząt leśnych.

— Są przecież ludźmi.

— Tylko zewnątrz. Nie umieją żyć społecznie, jak ludzie. Rodziny wprawdzie zamieszkują wspólnie jedną wioskę, ale myśl tę, wraz z orężem podsunęli im Bolgani, którzy chcieli w ten sposób uchronić ich przed ostatecznym wytepieniem przez lwy i pantery. Słyszałem, że dawniej każdy Gomangani, gdy podrósł już na tyle, że mógł samodzielnie polować, budował sobie chatę i żył samotnie. Nie było wówczas śladu życia rodzinnego u nich. Bolgani nauczyli ich budowania wiosek, otoczonych palisadą, skłonili kobiety i mężczyzn do przebywania razem i wychowywania dzieci aż do wieku dojrzałego. Dorosłe dzieci zmuszano do pozostawania w wiosce, tak że teraz wioski ich liczą od czterdziestu do pięćdziesięciu mieszkańców. Ale śmierć zbiera wśród nich obfite żniwo, nie mogą więc rozmnażać się tak szybko jak ludzie, żyjący w normalnych warunkach pokoju i bezpieczeństwa. Bolgani wielu ich zabijają, drapieżniki pobierają też znaczny haracz.

— Pięciu na jednego i trwają w niewoli, cóż to muszą być za tchórze!

— Przeciwnie, dalecy są od tchórzostwa. Z największą odwagą stają oko w oko z lwem. Ale od tyłu wieków podlegają woli Bolganich, że stało się to ich nawykiem. Jak nam wrodzony jest lęk wobec Boga, tak im wrodzony jest lęk przed Bolganiami.

— To ciekawe. Ale powiedz mi, gdzie jest kobieta, której szukam.

— Czy to twoja żona?

— Nie. Powiedziałem tak Gomanganim, ażeby jej lepiej strzegli. To La, królowa Oparu.

Arcykapłanka Płomiennego Boga.

— To niemożliwe! Być nie może, aby królowa Oparu narażała życie, przychodząc do swych dziedzicznych wrogów.

— Była zmuszona — objaśnił Tarzan. — Część jej ludu zbuntowała się przeciwko niej dlatego, że nie chciała złożyć mnie w ofierze ich bogu.

— Gdyby Bolgani wiedzieli o tym, wielce by się radowali — rzekł starzec.

— Powiedz mi, gdzie się ona znajduje — nalegał Tarzan. — Uchroniła mnie przed swym ludem, muszę więc uratować ją przed losem, jaki Bolgani jej gotują.

— To beznadziejna sprawa — rzekł starzec. — Mogę ci powiedzieć, gdzie ona przebywa, ale nie zdołasz jej ocalić.

— Mogę spróbować.

— Nie powiedzie ci się i zginiesz.

— Jeśli to co mówisz, jest prawdą, nie ma absolutnie możliwości wydostania się z doliny i tak więc umrę. Swoją drogą, nie zgadzam się z tobą.

— Nie znasz Bolganich.

— Powiedz mi, gdzie jest kobieta.

— Zobacz — rzekł starzec, dając znak Tarzanowi, by szedł za nim do jego komnaty. Zbliżywszy się do okna, wychodzącego na zachód, wskazał dziwną płaską wieżę, wznoszącą się ponad dach głównej budowli obok zachodniego krańca pałacu. — Prawdopodobnie jest ona gdzieś we wnętrzu tej wieży, ale równie dobrze mogłaby się znajdować na biegunie północnym.

Tarzan stał chwilę w milczeniu, rozpatrując najdrobniejsze szczegóły widoku. Zobaczył dziwną wieżę o płaskim dachu, do której można było, jego zdaniem, dostać się z dachu głównego budynku. Dojrzał też konary starych drzew, sięgające do samego dachu. Poza słabym światłem w paru oszklonych oknach pałacu, nigdzie nie było śladów życia. Zwrócił się nagle do starca.

— Nie znam cię, ale wierzę, że mogę ci zaufać, gdyż mimo wszystko, silne są węzły krwi, a my dwaj jesteśmy jedynymi ludźmi naszej rasy. Może zyskałbyś jakieś łaski, gdybyś mnie zdradził, ale nie mogę uwierzyć, byś to uczynił.

— Nie obawiaj się — rzekł starzec. — Ja ich nienawidzę. Gdybym mógł, pomógłbym ci, ale wiem, że nie ma żadnych widoków powodzenia. Nigdy nie odbijesz kobiety, nigdy nie wydobędziesz się z Doliny Diamentowego Pałacu, nawet samego pałacu nie zdołasz opuścić, dopóki tak się spodoba Bolganim.

— Tak długo tu przebywasz, że zaczynasz wpadać w nastrój, który trzyma Gomanganich w wieczystej niewoli. Jeśli chcesz uciec, pójdź ze mną. Może od razu się nie powiedzie, ale taka próba da ci lepsze widoki wyzwolenia, niż pozostawanie w tej wieży. Starzec potrząsnął głową.

— To beznadziejne. Gdyby ucieczka była możliwa, dawno by mnie tu nie było.

— Żegnaj więc — rzekł Tarzan i wyskoczywszy przez okno, wdrapał się po mocnych wiciach bluszczu na dach poniżej leżący.

Starzec śledził go, póki nie dostrzegł, jak chyłkiem szedł po dachu ku płaskiej wieży. Wtedy spieszenie zszedł po schodach, na podobieństwo drabiny sterczących w środku wieży.

Tarzan szedł po nierównym dachu głównego budynku, wspinając się na jego wzniesienie i zeskakując na niższe płaszczyzny na dość znacznej przestrzeni, dzielącej wschodnią wieżę od tej dziwnej płaskodachej budowli, w której, jak przypuszczał, La była uwięziona. Szedł powoli, często zatrzymując się w cieniu, by nasłuchiwać.

Gdy wreszcie dostał się na wieżę, zobaczył, że posiadała mnóstwo otworów w dachu, otworów zamkniętych tylko ciężkimi zasłonami. Jedną taką zasłonę lekko odsunął i zajrzał do wielkiej, pustej

zupełnie komnaty, z której środka sterczały schody, podobne do tych, po jakich szedł we wschodniej wieży. W komnacie nikogo nie było, więc Tarzan zbliżył się do schodów. Zajrzał do okrągłego otworu, w którym schody tkwiły i przekonał się, że prowadziły w dół na znaczną przestrzeń, przez liczne piętra. Nie mógł osądzić, jak daleko sięgały, wydawało mu się, że dochodziły aż do podziemnych komnat w pałacu. Przez szyb słyszał jakieś głosy i czuł zapachy. Te ostatnie były przytłumione przez mocne kadzidła, przenikające cały pałac.

Ten właśnie zapach zgubił człowieka-małpę, gdyż inaczej wyczułby odór człowieka. Za jedną z zasłon leżał Gomangani w takiej pozycji, że zauważył wchodzącego Tarzana i widział go, spoglądającego w dół szybu schodów. W pierwszej chwili czarny przeraził się na widok dziwnego zjawiska, jakiego nigdy jeszcze jego oczy nie oglądały. Wszelkie obce istoty były istotami wrogimi, obowiązkiem jego było więc zawiadomić swych panów o zjawieniu się tego niezwyklego stworzenia. Nie śmiał się jednak poruszyć, dopóki zjawisko nie oddaliło się na tyle, by mógł być pewny, że nie zauważy jego poruszenia. Długo spoglądał przybyły w szyb schodowy, długo Gomangani spokojnie go obserwował. Wreszcie tamten zszedł po schodach i znikł z oczu Murzyna, który natychmiast zerwał się na nogi i pośpieszył po dachu pałacu ku wielkiej wieży, piętrzącej się na zachodnim krańcu.

W miarę jak Tarzan zstępował po drabinie, dymy kadzideł stawały się coraz dokuczliwsze. Kiedy indziej mógłby szybko się zorientować za pomocą węchu, teraz zaś musiał przysłuchiwać się każdemu dźwiękowi, a częstokroć wchodzić do komnat, otwierających się na główny korytarz, by je zbadać. Jeśli drzwi były zamknięte, kładł się na podłodze i nadstawiał ucha do ich szpary u podstawy. Wielokrotnie odważał się wołać La po imieniu, żadnej wszakże nie otrzymywał odpowiedzi.

Zbadał w ten sposób cztery piętra i schodził na piąte, gdy we drzwiach jednej z komnat tego właśnie piętra zobaczył bardzo podnieconego, a może przerażonego Murzyna olbrzymiego wzrostu i zupełnie bezbronnego. Szeroko rozwartymi oczyma spoglądał Gomangani na Tarzana, który lekko zeskoczył ze schodów i stanął na wprost niego.

— Czego chcesz? — wyjąkał wreszcie czarny. — Czy szukasz białej kobiety, swej żony, którą zabrali Bolgani?

— Tak — odrzekł Tarzan. — Co wiesz o niej?

— Wiem, gdzie jest ukryta — powiedział Murzyn — jeśli zechcesz pójść za mną, to cię do niej zaprowadzę.

W Tarzanie zbudziła się podejrzliwość. — Dlaczego mi to proponujesz? — zapytał. — Dlaczego nie idziesz do swych władców i nie zawiadomisz ich, że tu jestem, aby mnie uwięzili?

— Nie wiem, dlaczego wysłano mnie, bym ci to powiedział — wyznał czarny. — Bolgani mnie wysłali. Wcale nie chciałem przyjść, bo się bałem.

— Dokąd kazali ci zaprowadzić mnie? — zapytał Tarzan.

— Mam cię zaprowadzić do komnaty, której drzwi zostaną natychmiast zaryglowane za nami. Będziesz wówczas uwięziony.

— A ty? — zapytał Tarzan.

— Ja także będę z tobą uwięziony. Bolgani nie dbają o to, co się ze mną stanie. Ty może mnie zabijesz, ale oni o to nie dbają.

— Jeśli mnie zaprowadzisz w zasadzkę, zabiję cię — rzekł Tarzan. — Ale jeśli zaprowadzisz mnie do kobiety, może wszyscy uciekniemy. Czy chciałbyś uciec?

— Chciałbym, ale nie mogę.

— Czy próbowałeś kiedy?

— Nie, nigdy. Po co miałbym próbować zrobić coś, czego się zrobić nie da?

— Jeśli mnie zaprowadzisz w zasadzkę, na pewno zabiję cię. Jeśli zaprowadzisz mnie do kobiety, masz widoki pozostania przy życiu. Co uczynisz?

Czarny podrapał się po głowie, zastanawiając się nad tą myślą, która z trudnością przedostawała się do jego tępego mózgu. Wreszcie przemówił.

— Jesteś bardzo mądry. Zaprowadzę cię do kobiety.

— Idź naprzód — rzekł Tarzan — ja pójdę za tobą. Murzyn zszedł na najbliższe piętro i otworzywszy drzwi, wszedł do długiego, prostego korytarza. Człowiek-małpa zastanawiał się po drodze nad tym, w jaki sposób Bolgani dowiedzieli się o jego obecności w wieży. Mógł dojść do jednego tylko wniosku, że zdradził go starzec, gdyż, o ile było mu wiadomo, on jeden wiedział, że Tarzan przebywał w pałacu. Korytarz, którym prowadził go Murzyn, był bardzo ciemny, gdyż niedostateczne światło przenikało do niego ze słabo oświetlonego korytarza, w którym byli poprzednio, a od którego drzwi zostały otwarte. Murzyn zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

— Tam jest kobieta — rzekł, wskazując na drzwi.

— Czy jest sama? — zapytał Tarzan.

— Nie — odparł czarny. — Spójrz — i otworzył drzwi. Za drzwiami była ciężka zasłona, którą ostrożnie rozsunął, ukazując Tarzanowi wnętrze komnaty.

Tarzan chwycił murzyna za rękę, by mu nie uciekł, zrobił krok naprzód i przyłożył oko do szpary. Zobaczył obszerną komnatę ze wzniesieniem w rogu. Na wzniesieniu leżał wielki czarnogrzywy lew, ten sam, którego widział oprowadzanego po ogrodach pałacowych. Złote łańcuchy były obecnie przymocowane do obręczy w podłodze. Po obu stronach zwierza stało po dwu Murzynów, posągowo nieruchomych. Na złotych tronach za lwem siedziało trzech wspaniale przybranych Bolganich. U stóp stopni wiodących na wzniesienie stała La między dwoma czarnymi strażnikami. Z każdej strony głównej nawy stały rzeźbione ławy frontem do wzniesienia. W pierwszym rzędzie siedziało około pięćdziesięciu Bolganich, a wśród nich Tarzan natychmiast wykrył małego starca, którego spotkał w wieży. Widok ten utwierdził go w przekonaniu, że to on był zdrajcą.

Komnatę rozjaśniały setki kaganków. Płonęła w nich jakaś substancja, dająca światło i zarazem mocną woń kadzidła, która uderzyła Tarzana od pierwszej chwili jego wkroczenia do obszaru Bolganich. Długie, kościelne okna po jednej stronie komnaty, były szeroko rozwarte, wpuszczając łagodny powiew letniej nocy dżungli. Przez te okna widział Tarzan grunta pałacowe i przekonał się, że komnata znajdowała się na tym samym poziomie, co taras, na którym stał pałac. Za oknami były otwarte wrota do dżungli, była wolność, ale między nim a oknami, siedziało pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi-goryli. Kto wie, może fortel łatwiej niż siła otworzy mu drogę do wolności wraz z La. A jednak w głębi ducha wierzył, że będzie musiał polegać na sile więcej niż na sposobie. Zwrócił się do towarzyszącego mu Murzyna. — Czy Gomangani, pilnujący lwa, chętnie uciekliby od Bolganich?

— Wszyscy Gomangani uciekliby, gdyby tylko mogli — rzekł czarny.

— Jeśli będę musiał wejść do komnaty, czy wejdiesz razem ze mną i powiesz tamtym Gomanganom, że jeśli staną do walki po mojej stronie, to wszystkich ich zabiorę z tej doliny?

— Powiem im, ale nie uwierzą.

— Powiedz im więc, że zginą, jeśli mi nie pomogą.

— Powiem im to.

Tarzan usłyszał teraz, że Bolgani, siedzący na środkowym złotym tronie, przemawia.

— Szlachetni dworzanie Numa, króla zwierząt, cesarza wszelkiego stworzenia — mówił głębokim, chrapliwym głosem — Numa usłyszał słowa, które ta kobieta wypowiedziała i jest wolą

Numy, by umarła. Wielki cesarz jest głodny. On sam pożre ją tu w obecności swych dostojników i cesarskiej rady trzech. Taka jest wola Numy.

Obecni pochwalili ten wyrok pomrukiem.

Wielki lew wyszczerzył kły, zaryczał tak, że pałac zadrżał w swych podstawach i zielono—żółte oczy utkwiał w kobiecie, okazując tym, że podobne ceremonie dość często się odbywały, by mógł wiedzieć, czym się zwykły kończyć.

— Pojutrze — ciągnął dalej mówca — mąż tej istoty, uwięziony obecnie w cesarskiej wieży, będzie przyprowadzony przed oblicze Numy na sąd. Niewolnicy — nagle krzyknął, zrywając się i zwracając się do straży, trzymającej La — przyprowadźcie kobietę do swego cesarza.

Lew wpadł w szal, zaczął szarpać łańcuchami, stanął na tylnych łapach i rycząc usiłował rzucić się na La, którą przemocą ciągnięto po stopniach wzniesienia ku obwieszonemu klejnotami pożeraczowi ludzi.

Nie krzyczała ze strachu, tylko na próżno usiłowała wyrwać się z rąk potężnych Gomanganich.

Weszli na ostatni stopień i mieli właśnie pchnąć La w lwie szpony, gdy zatrzymał ich głośny okrzyk, na który Bolgani zerwali się na nogi, pełni gniewu i zdumienia. To, co ujrzeli, mogło ich rozgniewać.

Do komnaty wpadł ze wzniesioną włócznią nagi biały człowiek, o którym słyszeli, ale którego żaden z nich przedtem nie widział. A taki był zwinny, że zanim zdążyli zerwać się z siedzeń, ledwo się zjawił, już cisnął włócznią.

Rozdział XIV

Komnata grozy

Czarnogrzywy lew kroczył nocą przez dżunglę. Z majestatyczną obojętnością względem wszystkich innych stworzeń szedł sobie przez pierwotny las. Nie wyszedł na łowy, gdyż nie starał się ukrywać, ale zarazem nie wydawał żadnych dźwięków. Szedł spieszenie, choć od czasu do czasu zatrzymywał się, by wietrzyć i nasłuchiwać. Doszedł w ten sposób do wysokiego muru, który zaczął wzdłuż obwąchiwać, aż natrafił wreszcie na przymknięte wrota, przez które wszedł do zagrodzonego obszaru.

Przed nim zaciemniała wielka budowla. Stał, nasłuchując i przyglądając się. Wtem z wnętrza budowli rozległ się grzmiący ryk rozgniewanego lwa.

Czarnogrzywy przechylił głowę na bok i ruszył naprzód.

W chwili gdy La miała wpaść w szpony lwa, Małpi Tarzan wpadł do komnaty z głośnym okrzykiem, który powstrzymał Gomanganich, ciągnących nieszczęsną ofiarę. W ciągu tej krótkiej przerwy, na którą właśnie liczył, rzucił Tarzan włócznią. Ku wściekłości i zmieszaniu Bolganich, włócznia utkwiała w sercu ich cesarza, wielkiego czarnogrzywego lwa.

Obok Tarzana stał Gomangani, który go tu przyprowadził. Gdy Tarzan rzucił się ku La, Gomangani pośpieszył za nim, wołając do swych współbraci, że jeśli pomogą temu obcemu, mogą zdobyć wolność i na zawsze uciec od Bolganich.

— Dopuszciliście do zabicia wielkiego cesarza — wołał do biednych Gomanganich, którzy strzegli Numy. — Za to Bolgani pozabijają was. Pomóżcie obcemu Tarmangani i jego żonie, to może uda się wam ocalić życie i zdobyć wolność. I was — tu zwrócił się do strażników La — pociągną do odpowiedzialności. Cała wasza nadzieja w nas.

Tarzan był już przy La i wciągnął ją na wzniesienie, gdyż miał nadzieję, że stamtąd będzie miał chwilową przewagę nad pięćdziesięcioma Bolgani, którzy teraz zerwali się z łąw i szli ku niemu.

— Zabijcie tych trzech, którzy siedzą na wzniesieniu — zawołał Tarzan do Gomanganich, którzy teraz widocznie wahali się, z którą stroną połączyć swe losy. — Zabijcie ich, jeśli pragniecie wolności! Zabijcie ich, jeśli pragniecie żyć!

Jego władczy głos, jego postać wodza zniewoliły ich i obróciły przeciwko znenawidzonemu jarzmu, które ci Bolgani na wzniesieniu ucieleśniali. Gdy zatopili swe włocznie w czarnych kudłatych ciałach swych władców, na wieki oddali się Tarzanowi, gdyż w kraju Bolganich nie było już dla nich żadnej nadziei.

Człowiek-małpa otoczył ramieniem kibić La i zaniósł ją na szczyt wzniesienia. Chwycił za włócznię i wyciągnął ją z ciała zabitego lwa, po czym, wsparty jedną nogą na trupie, wydał przerażający okrzyk zwycięski małp z rodu Kerczaka.

Bolgani zatrzymali się, Gomangani przysiedli ze strachu.

— Stójcie! — zawołał Tarzan, wyciągając ramię w kierunku Bolganich. — Słuchajcie! Jam jest

Małpi Tarzan. Nie szukałem zwady z wami. Poszukiwałem przejścia przez wasz kraj do swego własnego. Dajcie mi odejść w pokoju z tą kobietą i pozwólcie zabrać ze sobą tych Gomanganicn!

Bolgani odpowiedzieli chórem dzikich skowytów i ruszyli ku wzniesieniu. Starzec ze wschodniej wieży podbiegł do Tarzana.

— Zdrajco — zawołał człowiek-małpa — chcesz więc pierwszy zakosztować gniewu Tarzana?

Mówił po angielsku, a starzec w tym samym odpowiedział języku. — Zdrajca? — wykrzyknął zdumiony.

— Tak, zdrajca! — zagrział Tarzan. — Czyż nie pośpieszyłeś powiedzieć Bolganim, że jestem w pałacu, żeby posłali czarnego, by mnie zwabił w zasadzkę?

— Nic podobnego nie uczyniłem — odrzekł tamten. — Przyszedłem tu, by być w pobliżu białej kobiety z tą myślą, że może jej albo tobie na coś się przydam. Teraz, Angliku, przychodzę, by stanąć u twego boku i umrzeć przy twym boku, gdyż śmierć twoja jest tak pewna jak Bóg na niebie. Nic cię nie uchroni przed gniewem Bolganich, których cesarza zamordowałeś.

— Pójdź więc i dowiedz swej szczerości! — zawołał Tarzan. — Lepiej umrzeć, niż żyć w niewoli.

Sześciu Gomanganich stanęło po trzech z każdej strony Tarzana i La, zaś siódmy, ten który przyprowadził Tarzana, bezbronny, zabierał oręż jednemu z trzech Bolganich, zabitych na wzniesieniu.

Na widok tego szyku bojowego, tak dla nich nowego, Bolgani zatrzymali się u stóp stopni, wiodących na wzniesienie. Ale na chwilę tylko się zatrzymali, gdyż tamtych było dziewięciu zaledwie przeciwko pięćdziesięciu. Wdzierających się na stopnie Tarzan ze swymi Gomangani przywitał siekierami wojennymi, włóczniami i maczugami. Odparli ich na chwilę, ale zbyt wielką mieli przeciw sobie przewagę liczebną. Znowu napłynęła na nich fala, która już miała ich pochłoniąć, gdy nagle straszliwy ryk przerwał bitwę.

Zapaśnicy spojrzeli w kierunku, skąd ryk się rozległ i zobaczyli w komnacie, tuż przed jednym z okien, wielkiego czarnogrzywego lwa. Chwilę stał, jak posąg ze złotawego brązu. Znowu gmach zadrżał w posadach od jego potężnego ryku.

Tarzan, górujący nad wszystkimi, spojrzął na wielkie zwierzę i w radosnym uniesieniu zawołał:

— Jad-bal-ja! — Wskazał na Bolganich. — Zabij! Zabij! Zaledwie wymówił te słowa, wielki potwór, istne wcielenie diabła rzucił się na ludzi-goryli. Natychmiast w głowie człowieka-małpy powstał zuchwały plan ocalenia siebie i tych, którzy mu zaufali.

— Żwawo — zawołał na Gomanganich — rzućcie się na Bolganich. Oto nareszcie prawdziwy Numa, król zwierząt, władca wszelkiego stworzenia. On zabija swych wrogów, ale obroni Małpiego Tarzana i Gomanganich, którzy są jego przyjaciółmi.

Gomangani widząc, jak ich znieawidzeni ciemżyciele padali pod ciosami lwa, rzucili się w wir bitwy. Tarzan z wyciągniętym nożem, trzymając się blisko Jad-bal-ja, kierował lwa od jednej ofiary do drugiej, w obawie by ten przez pomyłkę nie napadł na Gomanganich, albo białego starca, albo nawet na La. Dwudziestu Bolganich leżało martwych na podłodze, zanim reszta zdołała uciec z komnaty. Wówczas Tarzan przywołał Jad-bal-ja do nogi.

— Idźcie — zwrócił się do Gomanganich — i zepchnijcie ciało fałszywego Numy ze wzniesienia. Wyrzućcie je z komnaty, bo prawdziwy cesarz przyszedł po swój tron.

Starzec i La ze zdumieniem spoglądali na Tarzana i na lwa.

— Kim jesteś — zapytał starzec — że umiesz takich cudów dokazywać z dzikim zwierzęciem z dżungli? Kim jesteś i co zamierzasz?

— Czekaj, a zobaczysz — odrzekł Tarzan z ponurym uśmiechem. — Sądzę, że wszyscy teraz

będziemy zabezpieczeni i że odtąd Gomangani będą mogli wygodnie żyć przez długie lata.

Gdy czarni zdjęli zabitego lwa ze wzniesienia i wyrzucili go przez okno, Tarzan kazał Jad-bal-ja zasiąść na wzniesieniu na dawnym miejscu Numy, lwa.

— Tu — zwrócił się do Gomanganich — widzicie prawdziwego cesarza, którego nie trzeba łańcuchami przykuwać do tronu. Trzech z was pójdzie do chat waszego ludu za pałacem i zawezwie wszystkich do sali tronowej, aby zobaczyli, co się stało. Spieszcie, abyśmy tu mieli dużo wojowników, zanim Bolgani wrócą z posiłkami.

Podniecenie wprawiło ich tępe umysły w ruch, toteż trzech Gomangani, ze zrozumieniem doniosłości powierzonego im zadania, pośpieszyli wykonać rozkaz Tarzana. Pozostali wpatrywali się w człowieka-małpę z taką czcią, jaką zazwyczaj wywołuje widok bóstwa. La, z wyrazem szacunku nie mniejszym od malującego się na twarzach Gomanganich, podeszła do Tarzana.

— Nie złożyłam ci jeszcze dziękczynień, Małpi Tarzanie — przemówiła — za to, coś dla mnie uczynił. Wiedziałam, że przyjdiesz, by mnie wyrwać z rąk tych okrutników i wiem, że nie miłość skłoniła cię do tego bohaterskiego a beznadziejnego czynu. Nieomal cudem jest to, czego ci się udało dokonać, ale wiem z naszych podań, do czego zdolni są Bolgani i dlatego zdaję sobie sprawę, że niemożliwa jest ucieczka dla nas wszystkich. Błagam cię więc, abys, o ile zdołasz, niezwłocznie stąd się oddalił, gdyż sam będąc, potrafiś się ocalić.

— Nie zgadzam się z tobą, La, abyśmy nie mieli żadnych widoków ocalenia — odrzekł Tarzan. — Zdaje mi się, że obecnie mamy wszelkie powody oczekiwać nie tylko, że ucieczka nam się powiedzie, ale że zdołamy tych biednych Gomanganich oswobodzić z niewoli i spod jarzma Bolganich. Ale nie koniec na tym. Nie tylko ci, którzy nic umieją obcym okazać gościnności, muszą zostać ukarani. Karę trzeba również wymierzyć twoim niesumiennym kapłanom. Zamierzam w tym celu pójść z Diamentowego Pałacu do doliny Oparu z dostatecznym zastępem Gomanganich, by zmusić Cadja do zrzeczenia się nieprawnie pochwyconej władzy i zwrócenia ci tronu Oparu. Nie zadowolę się żadnym mniejszym zadośćuczynieniem i nic odejdę, póki tego celu nie dopnę.

— Jesteś dzielnym mężem — odezwał się starzec — i to, co się udało zrobić, przechodzi wszystko, czego można było oczekiwać, ale La ma rację. Nie znasz pomysłowości Bolganich, nie wiesz, jaką mają władzę nad Murzynami. Gdybyś zdołał wyrwać z głupich głów Gomanganich opętańczy strach, który tak ważko nad nimi ciąży, mógłbyś zdobyć sobie dostateczną ich ilość, by pokierować pomyślnie ucieczką z doliny. Obawiam się jednak, że przechodzi to nawet twoje siły. Jedyne nasze nadzieje w tym, że zdążymy uniknąć z pałacu, dopóki Bolgani są chwilowo zdeorganizowani, i że chyżość i przypadek dopomogą nam do opuszczenia granic doliny, zanim tamci nas pojną.

— Patrz — zawołała La — już za późno, wracają.

Tarzan spojrział w kierunku, przez nią wskazanym i przez otwarte drzwi w odległym końcu komnaty zobaczył zbliżający się znaczny zastęp ludzi-goryli. Zwrócił oczy na okna w innej ścianie i rzekł: — Oto i drugi czynnik równania!

Tamci rzucili spojrzenia na okna wychodzące na taras i ujrzeni tłum czarnych, rącho biegnących ku nim. Murzyni, pozostali w komnacie, zaczęli wołać w uniesieniu:

— Idą! Idą! Będziemy wolni! Już więcej Bolgani nie będą mogli nas zmuszać do pracy, póki nie padniemy z wycieńczenia, ani nas bić, ani rzucać Numie na pożarcie!

Gdy pierwsze szeregi Bolganich doszły do drzwi, wiodących do komnaty, przez okna na przeciwległej ścianie zaczęli napływać Gomangani. Prowadziło ich trzech, posłanych po nich Murzynów, którzy tak dobrze wywiązali się z poselstwa, że czarni zdawali się innymi zupełnie ludźmi, tak ich odmieniła nadzieja rychłej wolności.

Wódz Bolganich krzyknął im, by ujęli intruzów stojących na wzniesieniu, ale w odpowiedzi najbliższy Gomangani puścił w niego włócznię. Runięcie martwego ciała stało się hasłem do walki.

Bolgani liczebnie znacznie przewyższali Murzynów, ale ci ostatni mieli korzystną pozycję, gdyż o władnęli wnętrzem komnaty tronowej i mogli zabezpieczyć się przed wtargnięciem do niej wielu naraz Bolganich. Tarzan, spostrzegłszy nastrój czarnych, przywołał do siebie Jad-bal-ja i zszedłszy ze wzniesienia, objął komendę nad Gomanganami. Przy każdym otworze postawił straż, a resztę umieścił w rezerwie na środku komnaty. Następnie zawiązał starca na naradę.

— Wrota we wschodnim murze są otwarte — rzekł — tak je pozostawiłem. Czy możliwym byłoby, aby dwudziestu lub trzydziestu ludzi dotarło do nich bezpiecznie i poszło do lasu, by zanieść wieśniakom wieść o tym, co się dzieje w pałacu i skłonić ich do przysłania wszystkich wojowników, aby dokończyć rozpoczętego dzieła wyzwolenia?

— Świetny pomysł — odrzekł stary człowiek. — Po tej stronie pałacu między nami a wrotami nie ma teraz Bolganich. Najodpowiedniejsza chwila, by ten plan wykonać. Wybiorę ci ludzi. Muszą to być przodownicy, których słowo coś waży wśród wieśniaków poza ścianami pałacu.

— Doskonale! — zawołał Tarzan. — Dobierz ich natychmiast; powiedz im, czego od nich żądamy i nalegaj na pośpiech.

Starzec starannie dobrał trzydziestu wojowników i wyjaśnił im ich obowiązki. Zachwyceni byli pomysłem i zapewnili Tarzana, że przed upływem godziny nadejdą posiłki.

— Gdy wyjdziecie poza wrota, zepsujcie zamek, aby Bolgani nie mogli zawrzeć ich i zamknąć drogi posiłkom — pouczył ich człowiek-małpa. — Powiedzcie także, aby ci, którzy pierwsi przybędą, pozostali poza murem, dopóki nie nadejdzie dostateczna ilość, by bez narażenia się na niebezpieczeństwo wkroczyć na obszar pałacowy; powinno ich być co najmniej tylu, ilu jest obecnie w tej komnacie.

Murzyni zapewnili, że zrozumieli, wykradłszy się przez okno, znikli w mrokach nocy.

Wkrótce po oddaleniu się Gomanganich, Bolgani rzucili się na Murzynów, strzegących głównego wejścia do sali tronowej, i udało im się odciąć im drogę do komnaty. To pierwsze niepowodzenie zachwiało czarnymi. Dziedziczny strach przed Bolganiami odebrał im odwagę, potrzebną do spróbowania kontrataku. Tarzan skoczył, by odeprzeć natarcie Bolganich i przywołał Jad-bal-ja. Wskazując mu najbliższego goryla, zawołał: — Zabij! Zabij!

Jad-bal-ja skoczył wprost na piersi wroga. Wielkie szczęki zacisnęły się raz tylko na twarzy goryla. Na rozkaz swego pana złoty lew odrzucił trupa i skoczył na jego sąsiada. W ten sposób trzech ich zginęło, reszta zaś Bolganich rzuciła się do ucieczki z komnaty grozy. Ale Gomangani, podniesieni na duchu na widok łatwości, z jaką ich sprzymierzeniec szerzył śmierć i postrach wśród tyranów, zamknęli im drogę, stając między Bolganiami a drzwiami.

— Trzymajcie ich! Trzymajcie ich! — zawołał Tarzan. — Nie zabijajcie! — Następnie zwrócił się do Bolganich: — Poddajcie się, a nic się wam złego nie stanie.

Jad-bal-ja stał obok swego pana, warcząc na Bolganich i spoglądając na człowieka-małpę wzrokiem mówiącym wyraźnie: — Poślij mnie na nich.

Spośród Bolganich, którym udało się wejść do komnaty, piętnastu pozostało przy życiu. Wahali się przez chwilę, wreszcie jeden z nich rzucił broń na podłogę. Reszta poszła za jego przykładem.

Tarzan spojrział na Jad-bal-ja.

— Precz! — rzekł, wskazując na wzniesienie. Lew posłusznie wszedł na platformę, a Tarzan zwrócił się do Bolganich.

— Niechaj jeden z was pójdzie i oznajmi swym towarzyszom, że wzywam ich do natychmiastowego poddania się.

Bolgani poszeptali między sobą i wreszcie jeden z nich oświadczył, że pójdzie zobaczyć się z pozostałymi. Po jego odejściu starzec zbliżył się do Tarzana.

— Nigdy się nie poddadzą — rzekł. — Bądź przygotowany na podstęp.

— Nic nie szkodzi — odparł Tarzan — liczę na to. Ale zyskuję na czasie, a tego najbardziej potrzebujemy. Gdyby gdzieś w pobliżu było miejsce, gdzie mógłbym zamknąć tych oto, chętnie bym to zrobił, gdyż o tyle przynajmniej zmniejszyłbym siły naszych przeciwników.

— Tam jest komnata — rzekł starzec, wskazując na jedne z podwojów — gdzie możesz ich zamknąć. Dużo jest takich miejsc w cesarskiej wieży.

— Dobrze — powiedział Tarzan i po chwili Bolgani byli zaryglowani w komnacie, przyległej do sali tronowej. W korytarzu słychać było spierających się goryli. Roztrząsali widocznie poselstwo Tarzana. Minął kwadrans, pół godziny, Bolgani nie dawali odpowiedzi, ani też nie rozpoczynali kroków nieprzyjacielskich. Wreszcie wrócił poseł, wysłany przez Tarzana.

— Jaka jest odpowiedź? — zapytał człowiek-małpa.

— Nie chcą się poddać — odpowiedział Bolgani — ale pozwolą ci opuścić dolinę pod warunkiem, że wypuścisz jeńców i nikomu z pozostałych nie wyrządzisz krzywdy.

— Nie ma zgody — rzekł człowiek-małpa. — Mam moc starcia w proch Bolganich z Doliny Diamentowej. Spójrz — wskazał na Jad-bal-ja — oto prawdziwy Numa. Stworzenie, które trzymaliście na tronie, było tylko dziką bestią, ale to jest Numa, król zwierząt, cesarz wszelkiego stworzenia. Spójrz na niego. Czy trzeba go trzymać na złotych łańcuchach, jak więźnia lub jakiego niewolnika? Nie! To cesarz zaiste. Ale jest tu ktoś, nad nim górujący, ktoś, czyich rozkazów on słucha. Tym kimś jestem ja, Małpi Tarzan. Rozgniewajcie mnie, a poczujecie złość nie tylko Numy, lecz i złość Tarzana. Gomangani są moim ludem, Bolgani będą moimi niewolnikami. Idź i powiedz swym współbraciom, że jeśli chcą zachować życie, niechaj lepiej zaraz przybędą i błagają o łaskę. Idź!

Po odejściu posła Tarzan popatrzył na starca, który spoglądał na niego z wyrazem, który mógł oznaczać cześć i poważanie, gdyby nie ledwo dostrzegalny błysk w oczach. Tarzan odetchnął głęboko z uczuciem ulgi.

— Da to nam co najmniej jeszcze jedno pół godziny — powiedział.

— Bardzo się nam przyda ta zwłoka — odrzekł starzec. — Dokazałeś więcej, niż się spodziewałem, gdyż rzuciłeś ziarno zwątpienia w umysł Bolganich, którzy nigdy dotychczas nie mieli powodów do wątpienia o swej potędze.

Spory i rozprawy dochodzące z korytarzy, ustąpiły teraz miejsca odgłosowi stąpania. Oddział, złożony z pięćdziesięciu ludzi-goryli, ustawił się wprost za głównym wejściem do sali tronowej i zatrzymał się tam w milczeniu z nastawioną bronią, jak gdyby w celu niedopuszczenia do ucieczki tych, którzy owładnęli komnatą. Poza nimi widać było pozostałych goryli, jak cofali się i znikali w drzwiach i korytarzach, wiodących z głównej sieni pałacowej. Gomangani wraz z La i starcem niecierpliwie wyglądali nadejścia czarnych posiłków. Tarzan siedział na skraju wzniesienia, ramieniem otoczywszy kark Jad-bal-ja.

— Coś tam knują — odezwał się starzec. — Musimy mieć się na baczności przeciwko jakiejś niespodziance. Gdyby czarni nadeszli teraz, póki tylko pięćdziesięciu pilnuje drzwi, to byśmy ich rozgromili i prawdopodobnie, zdobylibyśmy pewną możność wymknięcia się z obszaru pałacowego.

— Twój długi pobyt tutaj — rzekł Tarzan — nappełnił cię taką samą bezsensowną trwogą wobec Bolganich, jak Gomanganich. Sadząc po twoim stosunku do Bolganich, można by mniemać, że to jakiś rodzaj nadludzi. To tylko zwierzęta, przyjacielu, i jeśli zostaniemy wierni swej sprawie, odniesiemy nad nimi zwycięstwo.

— Zwierzętami są oni — odparł starzec — ale zwierzętami o ludzkim sprycie. Ich chytryść i okrucieństwo są wprost szatańskie.

Zapadło długie milczenie, przerywane tylko nerwowymi szeptami Gomanganich, którzy pod brzemieniem naprężonego oczekiwania na posiłki, tak długo nie nadchodzące, najwidoczniej upadali na duchu. Ich przygnębienie zwiększała jeszcze niepokojąca myśl, co tam Bolgani knuli, lub co już przygotowali. Milczenie goryli groźniejsze było od wrzawy ataku. La pierwsza przerwała ciszę.

— Jeśli trzydziestu Gomanganich mogło tak łatwo wydostać się z pałacu, dlaczego my nie moglibyśmy również tego uczynić.

— Dla dwu powodów — odrzekł Tarzan. — Po pierwsze, gdybyśmy się razem wszyscy oddalili, wówczas Bolgani, którzy znacznie nas przewyższają liczebnie, mogliby nas dręczyć i przetrzymywać tak długo, póki by ich posłowie nie wyprzedzili nas do wiosek. W wyniku tego otoczyłyby nas tysiące wrogo usposobionych wojowników. Po drugie, chcę ukarać te stworzenia, aby w przyszłości obcy przybysz mógł się czuć bezpieczny w Dolinie Diamentowej. A teraz — dodał po chwili — powiem ci trzecią przyczynę, dlaczego teraz nie możemy się wydostać. — Wskazał na okna, wychodzące na taras. — Patrz, taras i ogrody pełne są Bolganich. Jakikolwiek jest ich plan, jego powodzenie zależy od naszej próby ucieczki przez okna, gdyż, jeśli się nie mylę, Bolgani na tarasie i w ogrodach starają się ukryć przed nami.

Starzec podszedł do tej części komnaty, z której mógł dojrzeć taras i ogrody, na które wychodziły okna sali tronowej.

— Masz słuszość — rzekł, wróciwszy do człowieka-mały. — Bolgani są zgromadzeni za oknami, inni prawdopodobnie zebrali się u podwojów. Musimy przekonać się o tym. — Szybko podszedł do przeciwległej ściany, odchyliwszy zasłony zobaczył mały oddziałek Bolganich. Stali bez ruchu, nie próbując wcale go pochwycić. Obszedł wszystkie wyjścia i za każdym odkrył milczących strażników. Okrążył całą komnatę, po czym wrócił do Tarzana i La.

— Tak jest, jak podejrzewałeś — rzekł — jesteśmy otoczeni. Jeśli nie nadejdzie pomoc, jesteśmy zgubieni.

— Ale ich siły są podzielone — przypomniał mu Tarzan.

— Choćby nawet — odparł tamten — dosyć ich jest, by nas przemóc.

— Może masz słuszość — rzekł Tarzan — ale przynajmniej, stoczmy wspaniały bój.

— Co to! — zawołała La. Wszyscy obecni w komnacie zadarli głowy do góry i zobaczyli w sklepieniu odsłonięte otwory, przez które zaglądały posępne oblicza kilkudziesięciu goryli.

— Co oni tam robią! — wykrzyknął Tarzan. Jak gdyby w odpowiedzi na to pytanie, Bolgani zaczęli rzucać do sali tronowej pęki płonących szmat, nasączonych tłuszczem, owiniętych skórą kozia, które napęłniły komnatę gęstym, duszącym dymem i smrodem palącej się skóry i włosów.

Rozdział XV

Krwawa mapa

Zakopawszy złoto, Esteban i Owaza wrócili do miejsca, w którym pozostawili pięciu swych Murzynów i razem z nimi podążyli nad rzekę, gdzie zatrzymali się na nocleg. Postanowili resztę towarzystwa pozostawić własnemu losowi, sami zaś mieli udać się na inne wybrzeże, gdzie mogliby zwerbować dostateczną ilość tragarzy dla zabrania złota.

— Czyż zamiast nakładać tyle drogi aż do wybrzeża po tragarzy, nie moglibyśmy ich równie dobrze nająć w najbliższej wiosce? — zapytał Esteban.

— Tacy ludzie nie doszliby z nami do wybrzeża. To nie tragarze. W najlepszym razie donieśliby złoto do następnej wioski — rzekł Owaza.

— Cóż to szkodzi! — zauważył Hiszpan. — W następnej wiosce moglibyśmy znowu nająć ludzi i tak dalej.

— Dobry to plan, Bwana, ale nie możemy go wykonać, bo nie mamy czym opłacić tragarzy. Esteban podrapał się po głowie.

— To prawda — przyznał — ale oszczędziłoby to nam diablo dużo drogi na wybrzeże tam i z powrotem. — Siedzieli czas jakiś w zamyśleniu. — Mam dobrą myśl! — wykrzyknął Hiszpan. — Gdybyśmy nawet mieli tragarzy, nie moglibyśmy się udać wprost na wybrzeże obawiając się, że spotkamy Florę Hawkes i jej kompanię. Musimy wpierw poczekać, aż oni wyjadą z Afryki. Potrwa to dobre dwa miesiące, bo oni nieprędko dostaną się na wybrzeże z tą zgrają zbuntowanych Murzynów. Tymczasem weźmy jedną sztabę złota i w najbliższym punkcie handlowym wymieńmy ją na towary. Potem wrócimy i najmiemy tragarzy, którzy będą nieśli nasze złoto od wioski do wioski.

— Bwana wyrzekł słowa mądrości — rzekł Owaza — do najbliższego punktu handlowego bliżej jest niż do wybrzeża, nie tylko więc nie zmarnujemy czasu, ale oszczędzimy sobie dużo uciążliwej drogi.

— Rankiem więc pójdziemy i odgrzebiemy jedną sztabę. Ale musimy pójść sami, bo nie trzeba, aby ktokolwiek wiedział, gdzie się złoto znajduje. Gdy po nie wrócimy, naturalnie, reszta się dowie, ale wówczas będziemy wciąż z nimi razem, nie będzie więc obawy, by je nam zabrali.

Nazajutrz Hiszpan i Owaza poszli do swych zakopanych skarbów i wyjęli jedną sztabę.

Przed odejściem Hiszpan nakreślił na wewnętrznej stronie lamparciej skóry, którą nosił na ramionach, dokładną mapę miejscowości. Wyrysował ją zaostrzonym kołkiem, umaczanym w krwi jakiegoś małego gryzonia, umyślnie w tym celu zabitego. Od Owazy dowiedział się o krajowych nazwach rzek i miejscowości, widzialnych z tego punktu, w którym skarb był ukryty, jak również otrzymał dokładne wyjaśnienie sposobu odnalezienia tego miejsca od strony wybrzeża. Wszystkie te informacje zapisał poniżej mapy i poczuł wielką ulgę na myśl, że w razie gdyby Owazie coś się przydarzyło, teraz już i sam zdoła odnaleźć swój skarb.

Gdy Janina Clayton przybyła na wybrzeże, by udać się w drogę do Londynu, zastała oczekujący ją telegram z wiadomością, że stan jej ojca nie jest już wcale groźny i że wobec tego może do niego nie jechać. Po kilkudniowym więc odpoczynku wróciła do domu i wielce zaniepokoiła się wiadomością, że Tarzan nie zjawił się jeszcze w bungalowie od czasu swej wyprawy do Oparu. Z zalem też dowiedziała się o ucieczce złotego lwa, gdyż wiedziała, że Tarzan bardzo był przywiązany do tego szlachetnego zwierzęcia.

Nazajutrz po jej powrocie Waziri, którzy wyruszyli wraz z Tarzanem, przybyli do osady bez niego. Starannie wybadła ludzi, a gdy usłyszała, że Tarzan powtórnie uległ wypadkowi, który go znowu pozbawił pamięci, oznajmiła, że nazajutrz wyruszy na poszukiwanie go i kazała tylko co przybyłym Waziri towarzyszyć sobie. Korak próbował odwieść ją od tego zamiaru, ale widząc, że nic nie wskóra, postanowił pójść razem z matką.

— Nie powinniśmy wszyscy jednocześnie oddalać się od domu — rzekła. — Zostaniesz tu, mój synu, a jeśli się moje poszukiwania nie powiodą, wrócę i pozwolę pójść tobie.

— Nic mogę puścić Cię samej, Matko — oświadczył Korak.

— Nic jestem sama, gdy jestem z moimi Waziri — roześmiała się. — Wiesz chłopcze doskonale, że pod ich opieką jestem równie bezpieczna gdziekolwiek w najodleglejszym zakątku Afryki, jak tu, w osadzie.

— To prawda — odrzekł — ale chciałbym pójść z tobą, albo żeby przynajmniej była tu Meriem.

— I ja również byłabym rada, gdyby Meriem tu była — przyznała lady Greystoke. — Nie trap się jednak. Wiesz, że moja umiejętność orientowania się w dżungli, choć nie dorównuje Tarzanowej lub twojej, nic jest do pogardzenia i że nic mi nic grozi wśród mych wiernych i dzielnych Waziri.

— Może masz słuszość — rzekł Korak — ale nie lubię, gdy oddalasz się beze mnie.

Mimo oporu syna, Janina Clayton wyruszyła nazajutrz wraz z pięćdziesięciu wojownikami na poszukiwanie męża.

Gdy Esteban i Owaza nie powrócili do obozu w oznaczonym czasie, resztę członków wyprawy ogarnął z początku gniew a później niepokój. Nie obchodziły ich losy Hiszpana, ale obawiali się, czy Owaza nie spotkał jaki wypadek, który przeszkodzi mu w doprowadzeniu ich zdrowo i cało do wybrzeża, on jeden bowiem umiał radzić sobie z krnąbrnymi tragarzami. Czarni nie wierzyli, że Owaza zaginął i skłonni byli raczej przypuszczać, że rozmyślnie wraz z Estebanem ich porzucił. Luvini, zastępca nieobecnego Owazy, miał wyrobiony pogląd na tę sprawę.

— Owaza i Bwana sami poszli złupić rabusiów kości słoniowej. Podstępem dokażą nie mniej, niż my byśmy zrobili przemocą, a będzie ich tylko dwu do podziału łupu.

— Ale w jaki sposób dwu ludzi zdoła owoładnać całym taborem? — sceptycznie zauważyła Flora.

— Nie znasz Owazy — odrzekł Luvini. — Pozyska sobie niewolników, a Arabowie gdy zobaczą, że ten, kto walczy na czele zbuntowanych niewolników, jest Małpim Tarzanem, uciekną w popłochu.

— Wierzę, że on ma rację — odezwał się Kraski. — A co myślisz, Floro, o takim planie? Poślijmy szybko biegacza do Arabów z ostrzeżeniem przed Owazą i Hiszpanem i wiadomością, że ten drugi wcale nie jest Tarzanem, tylko oszustem. Możemy zażądać, by ich pojмали i zatrzymali aż do naszego przybycia, a gdy przybędziemy, ułożymy sobie dalszy plan działania, zależny od okoliczności. Prawdopodobnie uda się nam przeprowadzić nasze pierwotne zamiary, gdy już dostaniemy się do obozu w charakterze przyjaciół.

— To brzmi wcale nieźle — przyznała Flora — i jest to niezaprzeczenie łotrowski pomysł, godny ciebie.

Rosjanin poczerwieniał. — Kocioł garnkowi przygania... — zacytował.

Dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami, ale Bluber, który wraz z Peeblesem i Throckiem w milczeniu przysłuchiwali się rozmowie, wybuchnął:

— Co to znaczy koczować garnkowi przygania? Kto pył łotr? Mófię topie, panie Karol Kraski, sze ja jestem porządny człofiek. Nikt nigty nie pofiedział, sze Adolt Bluber jest łotr.

— Stul gębę — zachnął się Kraski — gotów jesteś zgodzić się na wszystko, byle tylko nie było obawy narażenia się. Tamci sami ukradli kość słoniową i prawdopodobnie zamordowali w tym celu mnóstwo ludzi. W dodatku wzięli niewolników, których my uwolnimy.

— To co inneko — rzekł Bluber — jeszli to jest sacna szecz, to ja sze zkacam, ale pamiętaj, panie Kraski, sze ja jestem poszatyńny człofiek.

— Do diabła! — zawołał Throck — wszyscy jesteście porządni ludzie. Jak długo żyję, nie widziałem takiej paczki cnotliwych ludzi.

— Rozumie się, że jesteście porządni ludzie — ryknął Peebles — a ktokolwiek ośmieli się zaprzeczyć, temu wybiję to ze łba, i basta.

Dziewczyna uśmiechnęła się ze znużonym wyrazem twarzy.

— Możecie śmiało nazywać się porządnymi ludźmi. Pełno ich chodzi po świecie i opowiada, jacy to oni porządni. Ale mniejsza o to. Teraz musimy zdecydować, czy przystajemy na projekt Kraskiego, czy nic. Zanim przystąpimy do tej roboty, musimy być pewni zgody wszystkich. Jest nas pięcioro. Głosujemy.

— Czy ludzie pójdą z nami? — zagadnął Kraski Luviniego.

— Pójdą, jeśli przyrzekniecie im udział w zdobyczy.

— Kto jest za projektem Karola? — zapytała Flora. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się na pomysł Rosjanina. W pół godziny później wysłali gońca do osady arabskiej. Niebawem zwinęli obóz i ruszyli w tym samym kierunku. Gdy po upływie tygodnia dotarli do arabskiej osady, przekonali się, że posłaniec dobrze się wywiązał z zadania i że ich oczekiwano. Esteban i Owaza nie dali dotychczas znaku życia i w rezultacie Arabowie byli nastroszeni nieufnie, podejrzewając, że udzielone im ostrzeżenie było tylko wybiegiem, w celu umożliwienia dostania się poza ich ostrokół tak znacznej grupie białych ludzi i uzbrojonych Murzynów.

Janina Clayton i jej ludzie znaleźli ślad safarich Flory Hawkes w obozowisku, w którym ostatni raz Waziri widzieli Estebana, a według ich mniemania — Małpiego Tarzana. Idąc za bardzo wyraźnym tropem, zatrzymali się o milę drogi od stanowiska Arabów, zaledwie w tydzień po przybyciu kompanii Flory, która wciąż tam pozostawała, oczekując bądź na pojawienie się Owazy i Estebana, bądź na odpowiednią chwilę do zdradzieckiego napadu na Arabów. Tymczasem Luvini i paru innych czarnych z powodzeniem szerzyło wśród niewolników propagandę buntu przeciwko Arabom. Donosił on codziennie Florze Hawkes o postępach, jakie propaganda robiła, ale zamilczał o rozroście i rozwoju swego osobistego planu. Plan ten polegał na tym, że do buntu niewolników i wymordowania Arabów miało być dodane wymordowanie wszystkich białych prócz Flory, którą Luvini zamierzał zatrzymać albo dla siebie, albo na sprzedaż jakiemu czarnemu sułtanowi z północy. Przebiegły Luvini postanowił najpierw rozprawić się z Arabami przy pomocy białych, a potem rzucić się na białych. Ich posługacze mieli zawczasu wykraść im broń.

Nie ulega wątpliwości, że Luvini byłby z łatwością plan ten przeprowadził, gdyby nie wierność i przywiązanie małego czarnego chłopaka, przydzielonego do osobistych posług Florze.

Młoda kobieta, aczkolwiek gotowa na wszystko by zaspokoić swą chciwość, była dobrą i wyrozumiałą panią. Dobroć, okazywana temu biednemu czarnemu malcowi, miała być jej sowicie

wynagrodzona.

Pewnego popołudnia przyszedł do niej Luvini z wiadomością, że wszystko gotowe i że powstanie niewolników i wymordowanie Arabów nastąpi wieczorem, jak tylko się ściemni. Zapas kości słoniowej, posiadany przez rabusiów, dawno już wzniecił pożądanie białych, toteż byli więcej niż skorzy do doprowadzenia do końca swego spisku, który miał dać im w ręce znaczne bogactwa.

Przed samą wieczerzą mały Murzynek wsunął się cichaczem do namiotu Flory Hawkes. Był bardzo zmieniony i trząsł się ze strachu.

— Co ci się stało? — zagadnęła.

— Pss! — ostrzegł ją. — Niechaj nie zauważą, że mówisz do mnie. Przysuń do mnie ucho, a ja ci szeptem opowiem, co planuje Luvini.

Dziewczyna nachyliła się do malca.

— Byłaś dobra dla mnie i teraz, kiedy Luvini chce cię skrzywdzić, przyszedłem cię ostrzec.

— O czym mówisz? — szeptem zapytała.

— Mówię o tym, że Luvini kazał, żeby po zamordowaniu Arabów, czarni pozabijali wszystkich białych, a ciebie wzięli do niewoli. Chce albo zatrzymać cię dla siebie, albo za dużą sumę sprzedać cię na północ.

— Ale skąd wiesz o tym wszystkim?

— Wszyscy czarni w obozie wiedzą o tym — odrzekł chłopiec. — Miałem polecenie wykraść ci strzelbę. Wszyscy chłopcy wykradną broń swym białym panom.

Dziewczyna zerwała się. — Dam nauczkę temu Murzynowi! — zawołała, chwytając za rewolwer i biegnąc ku wyjściu z namiotu.

Chłopiec objął jej kolana i zatrzymał ją na miejscu.

— Nie! Nie! Nie rób tego! Nie mów nic. Cała korzyść byłaby taka, że wcześniej zabiliby białych, a ciebie i tak uwięzili. Wszyscy czarni są przeciwko wam. Luvini obiecał im, że rozdzieli kość słoniową równo między wszystkich. Są już gotowi i gdybyś zaczęła grozić Luviniemu, albo gdyby się w jakiś inny sposób dowiedzieli, że znasz ich spisek, natychmiast napadliby na was.

— A więc co chcesz, bym uczyniła?

— Cała wasza nadzieja w ucieczce. Ty i biali ludzie musicie uciec do dżungli. Nawet ja nie mogę wam towarzyszyć.

Dziewczyna w milczeniu przyglądała się chłopcu, wreszcie odezwała się:

— Dobrze, zrobię jak mówisz. Uratowałeś mi życie. Może nie zdołam ci się za to odpłacić, a kto wie, może i zdołam kiedykolwiek. Odejdź teraz, byś nic obudził podejrzeń.

Malec wymknął się z namiotu, kryjąc się za tylną ścianą, by go nie dojrzeli jego współpracownicy. Natychmiast po jego odejściu Flora, pozornie obojętnie wyszła na dwór i weszła do namiotu Kraskiego, gdzie razem z Rosjaninem mieszkał Bluber. Cichym szeptem przekazała im świeżo otrzymane wiadomości. Kraski zawołał Peeblesa i Throcka. Anglicy byli zdania, że należy rzucić się na Murzynów i pozabijać ich, ale Flora Hawkes odwiodła ich od tego zamiaru, wykazując, jak znaczną była przewaga po stronie czarnych i jak beznadziejne byłyby ich usiłowania.

Bluber z wrodzoną sobie chytryością i przebiegłością, skłaniającą go zawsze do prowadzenia podwójnej gry, gdy tylko otwierała się możliwość do tego, podsunął myśl, by ostrzec Arabów i wspólnie z nimi zająć jak najkorzystniejsze stanowisko w obozie i dać ognia do czarnych, uprzedzając ich atak.

Flora znowu zaprotestowała.

— To się na nic nie zda, bo Arabi w głębi serca bardziej są wrogo usposobieni względem nas, niż względem Murzynów. Gdyby nam się udało pokonać czarnych, niebawem Arabowie

dowiedzieliby się wszystkich szczegółów spisku, któryśmy przeciwko nim knuli. Życie nasze wówczas nie warto byłoby tego — i przytknęła palcami.

— Zdaje mi się, że jak zwykle, Flora ma rację — mruknął Peebles. — Ale co do diabła pocniemy w dżungli bez Murzynów, którzy by dla nas polowali, gotowali, dzwigali nasze rzeczy, albo wyszukiwali dla nas drogi. Chciałbym to wiedzieć, i basta.

— Zdaje mi się, że nic innego nam nie pozostaje — odezwał się Throck. — Ale niech mnie powiesz, jeśli mam ochotę uciekać i to przed tymi obrzydłymi Murzynami.

Z dalekiej dżungli doleciał grzmiący ryk lwa.

— Ojoj! — zaskamlał Bluber. — Sami pójdźmy do tej dżungli? Mein Gott! To jusz ja folę tu zostać i być sapity, jak piały człofiek.

— Oni nie zabiją cię, jak białego człowieka — zauważył Kraski. — Jeśli zostaniesz, poddadzą cię torturom.

Bluber załamał ręce, pot kroplami spływał mu po twarzy.

— Oj! — jęknął — po co mi to srobili! Dlaczego nie zostałem w kochanym Lontynie?

— Stul gębę! — warknęła Flora. — Czy nie rozumiesz, że jeśli obudzisz podejrzenie w tych ludziach, natychmiast przyjdą po nas? Jedno nam tylko pozostaje: czekać, dopóki nie rzucą się na Arabów. Broń będziemy mieli, broń zamierzają wykraść nam dopiero po zabiciu Arabów. W zamieszaniu bitwy uciekniemy do dżungli, a potem — Bóg wie... może Bóg nam dopomoże.

— Tak — zamamrotał Bluber w śmiertelnej trwodze — Gott nam dopomozie.

Po chwili wszedł do nich Luvini.

— Wszystko gotowe — rzekł. — Zaraz po wieczery bądźcie gotowi. Usłyszycie wystrzał, to będzie hasło. Wówczas rozpoczniecie prażyć Arabów.

— Dobrze — rzekł Kraski. — Właśnie mówiliśmy o tym i postanowiliśmy zająć stanowisko przy bramie, by zapobiec ich u—cieczce.

— Doskonale — odpowiedział Luvini. — Ale ty — zwrócił się do Flory — musisz tu pozostać. Nie miejsce dla ciebie wśród walczących. Pozostań w swym namiocie, a my postaramy się stoczyć bitwę po przeciwnej stronie wioski, o ile się da w pobliżu bramy.

— Chętnie zostanę tu, gdzie mi nic nie grozi — oświadczyła Flora.

Murzyn zadowolony odszedł i wkrótce cały obóz zasiadł do wieczery. Bluber był tak wystraszony, że nie mógł jeść. Siedział blady i drżący, z oczyma dziko latającymi od czarnych do Arabów, potem do bramy, za którą czekała go dżungla, gdzie, pewien był, padnie ofiarą pierwszego napotkanego lwa.

Ściemniło się. Kilku czarnych i Arabów nie skończyło jeszcze wieczery, gdy ciszę przerwał huk wystrzału. Jeden z Arabów padł na ziemię. Kraski zerwał się i ujął Florę za ramię.

Bluber, któremu strach przypiął do nóg skrzydła, pobiegł pierwszy, za nim reszta pomknęła ku bramie palisady.

W powietrzu rozlegały się chrapliwe wrzaski ludzi i huk strzałów. Arabowie, których było tylko dwunastu, walczyli bohatercko. Byli znacznie lepszymi strzelcami od czarnych i wynik bitwy był jeszcze wątpliwy, gdy Kraski rozwarł bramę i pięciu białych znikło w ciemnościach dżungli.

Czarni tak wielce przeważali Arabów liczebnie, że mimo małej celności swych strzałów, wybili do nogi północnych koczowników. Wówczas Luvini zwrócił uwagę na Europejczyków i zauważył, że znikli. Murzyn zrozumiał niezwłocznie dwie rzeczy: po pierwsze, że ktoś go zdradził, po drugie, że biali nie mogli w tak krótkim czasie nazbyt się oddalić.

Przywołał wojowników, wyjaśnił co się stało i przekonawszy ich, że jeśli dopuszczą do ucieczki białych, tamci powrócą z posiłkami, by ich ukarać, skłonił ich do puszczenia się w pościg za

zbiegami.

Rozdział XVI

Skarb diamentowy

Gdy pierwotne bomby ogniste napełniły salę tronową cesarskiej wieży duszącym dymem, Gomangani skupili się dokoła Tarzana, błagając go, by ich ratował, gdyż oni również dojrzeliby Bolganich, zgromadzonych przed wszystkimi wyjściami, i liczny ich oddział, oczekujący w ogrodach i na tarasie.

— Zaczekajcie chwilę — rzekł Tarzan — póki dym nie stanie się dosyć gęsty, by ukryć nasze poruszenia przed Bolganiami. Wówczas rzucimy się do okien, wychodzących na taras, bo znajdują się bliżej, niż inne wyjścia, bramy wschodniej. W ten sposób część nas będzie mogła łatwiej uciec.

— Mam lepszy projekt — odezwał się starzec. — Gdy dym nas zasłoni, idźcie za mną. Istnieje wyjście nie strzeżone, prawdopodobnie dlatego, że im się nie śni, byśmy z niego mogli skorzystać. Gdy przechodziłem przez wzniesienie poza tronem, zauważyłem, że żaden Bolgani go nie pilnuje.

— Dokąd ono wiedzie? — zapytał Tarzan.

— Do fundamentów wieży diamentowej, wieży, w której cię spostrzegłem. Ta część pałacu leży bliżej bramy i jeśli tylko dotrzemy do niej, zanim się oni spostrzegą, mało jest wątpliwe, byśmy się nareszcie nie dostali do lasu.

— Wspaniale! — zawołał człowiek-małpa. — Niebawem dym zasłoni nas przed Bolganiami.

Istotnie tak był gęsty, że z trudnością można było oddychać. Wielu ludzi kaszlało i krztusiło się, oczy pełne mieli łez od gryzącego dymu. Nie byli jednak zasłonięci przed wzrokiem śledzących ich goryli.

— Nie wiem, ile jeszcze zdołamy wytrzymać — rzekł Tarzan. — Co do mnie, mam już dosyć.

— Trochę gęstnieje — odparł starzec. — Za chwilę staniemy się niewidzialni.

— Nie wytrzymam dłużej! — zawołała La. — Duszę się i jestem na pół ślepa.

— Bardzo dobrze — rzekł starzec. — Wątpię, czy mogą nas widzieć, tak jest gęsty. Pójdźcie za mną — i poprowadził po stopniach wzniesienia i przez otwór za tronem — wąski otwór, zasłonięty kotarą. Starzec szedł pierwszy, za nim La, potem Tarzan z Jad-bal-ja i wreszcie Gomangani, którzy nie napierali tak gwałtownie jakby pragnęli, gdyż obecność Jad-bal-ja trzymała ich w przyzwoitej odległości.

Wyjście otwierało się do ciemnego korytarza, którym po stromych schodach spuszczało się na niższy poziom, a potem, wśród nieprzeniknionych ciemności cały oddział podążył ku wieży diamentowej. Wszyscy byli tak radzi, że wydostali się z gęstego dymu sali tronowej, że nikt nie zważał na otaczające ciemności i cierpliwie szli za starcem.

Przy końcu korytarza przewodnik zatrzymał się przed ciężkimi podwojami, które, nie bez trudności, ustąpiły pod naporem.

— Zaczekajcie chwilę — rzekł — póki nie znajdę kaganka i nie zapalę światła.

Usłyszeli jak szukał czegoś za drzwiami i wkrótce rozjarzył się słaby błysk, a po chwili

zamigotał knot kaganka. Tarzan dostrzegł prostokątną komnatę, której obszernych rozmiarów można było tylko się domyślać w chybotliwych promieniach.

— Niechaj wszyscy tu wejda, a potem zamknijcie drzwi za sobą — rzekł przewodnik. Gdy tak uczynili, zwrócił się do Tarzana. — Pójdź — rzekł. — Zanim opuścisz tę komnatę, chcę pokazać ci widok, jakiego żadne oko ludzkie nigdy nie oglądało.

Poprowadził go do najodleglejszej części komnaty, gdzie Tarzan w blasku kaganka zobaczył całe rzędy polic, a na nich całe sterty skórzanych woreczków. Starzec postawił kaganek na policy, wziął jeden woreczek i otworzywszy go, wysypał na dłoń jego zawartość.

— Diamenty — objaśnił. — Każdy taki woreczek waży pięć funtów, wszystkie zawierają diamenty. Gromadzono je przez niezliczone wieki, gdyż Bolgani dobywają ich więcej, niż mogą sami zużytkować. Legendy ich głoszą, że pewnego dnia powrócą Atlantydy i że kupią te diamenty. Dobywają je więc i gromadzą, jak gdyby mieli stały i zapewniony na nie rynek zbytu. Weźcie sobie po woreczku — i wręczył jeden Tarzanowi a drugi La.

— Nie wierzę, byśmy żywi wydostali się z doliny, ale kto wie? — I trzeci wziął sobie.

Ze skarbca diamentowego wywiódł ich po drabinie na górne piętro, a następnie poprowadził do głównego wejścia do wieży. Jedyne para cienkich podwojów, zaryglowanych od wnętrza, oddzielała ich teraz od tarasu, potem już czekały ich otwarte wrota wschodnie. Starzec miał już otworzyć podwoje, gdy Tarzan go zatrzymał.

— Zaczekaj — rzekł — aż nadejdzie reszta Gomanganich. Idą dopiero po drabinie. Gdy wszyscy staną za nami, rozewrzesz podwoje i wówczas ty i La wraz z dziesięciu lub dwunastu Gomangani, którzy są już za nami, pomkniecie ku wrotom. Reszta nas zasłoni odwrót i powstrzyma Bolganich, gdyby na nas napadli. Bacność — dodał po chwili — zdaje mi się, że wszyscy już nadeszli.

Wyłożył Gomanganim swój plan, potem zwrócił się do starca.

— Już! — Rygle ustąpiły, rozwarły się podwoje i cały orszak pędem rzucił się ku wrotom.

Bolgani, wciąż skupieni dokoła sali tronowej, nie zauważyli, że ofiary im się wymknęły. Dopiero gdy Tarzan wraz z Jad-bal-ja, zamykający pochód, mijał wrota, dostrzegli go i narobili takiego wrzasku, że kilkaset goryli rzuciło się w pogoń.

— Idą — krzyknął Tarzan — pędźcie wprost do doliny w kierunku Oparu, La.

— A ty? — zapytała młoda kobieta.

— Na chwilę pozostanę z Gomangani i spróbuję ukarać tych łotrów.

La zatrzymała się.

— Nie zrobię ani kroku bez ciebie, Małpi Tarzanie — oznajmiła. — Już i tak za „wiele narażałeś się dla mnie. Nie, nie pójdę bez ciebie.

— Jak ci się podoba — odrzekł Tarzan, wzruszając ramionami. — Już nadchodzą.

Z wielkim trudem zgromadził garść Gomanganich, którzy, poczuwszy się za wrotami, jedno tylko mieli na myśli: jak najspieszniej oddalić się od Pałacu Diamentowego. Na jego wezwanie zebrało się może pięćdziesięciu wojowników. Z nimi stanął we wrotach przeciw setkom nadbiegających Bolganich.

Starzec wrócił i dotknął ramienia Tarzana.

— Uciekaj lepiej — rzekł. — Gomangani umkną za pierwszym natarciem.

— Nic nie zyskamy na ucieczce — odrzekł człowiek-małpa. — Stracilibyśmy zdobyte zaufanie Gomanganich, a potem cała dolina stałaby się dla nas gniazdem szerszeni.

Wtem jeden z Gomanganich zawołał, wskazując na las.

— Patrzcie! Patrzcie! Idą!

— W sam czas — zauważył Tarzan, ujrzawszy mrowie Gomanganich, wyłaniających się z lasu.

— Chodźcie! — zawołał. — Chodźcie pomścić swe krzywdy! — I rzucił się na nadbiegających ludzi-goryli.

Za nim przez wrota Pałacu Diamentowego przewalała się fala za falą Gomanganich, zmiatając wszystko przed sobą, niby przypływ morza zalewając szeregi Bolganich i odrzucając ich aż ku ścianom pałacu.

Zgiełk, bój i krew doprowadziła Jad-bal-ja do takiego szału, że Tarzan z trudem powstrzymywał go od rzucania się na wrogów i przyjaciół zarówno. Trzymanie tego srogiego sprzymierzeńca na wodzy tyle mu czasu zabrało, że mały tylko udział mógł wziąć w bitwie, widział jednak, że rozwija się pomyślnie i że, o ile nie nastąpi jakiś nieprzewidziany wypadek, nieuchronną jest całkowita porażka Bolganich.

Nie mylił się. Gomangani byli tak spragnieni odwetu i tak uniesieni pierwszymi owocami zwycięstwa, że wpadli w szal, niczym sam Jad-bal-ja. Nie brali, ani dawali jeńca. Bój skończył się wówczas dopiero, gdy już nie stało Bolganich.

Po skończonej bitwie Tarzan, La i starzec wrócili do sali tronowej, wolnej już od dymu. Przyzwali do siebie naczelnika każdej wioski, a gdy ci zebrali się przed wzniesieniem, na którym stali trzej biali i wielki czarnogrzywy lew, Tarzan przemówił do nich.

— Gomangani z Doliny Pałacu Diamentowego! Dziś uwolniliście się od tyranii, która uciemiężała was od czasów niepamiętnych. Przez tyle niezliczonych wieków żyliście w jarzmie, że nie mógł powstać wśród was wódz, zdolny mądrze i sprawiedliwie wami rządzić. Musicie wybrać władcę innej niż wasza rasy.

— Ciebie! Ciebie! — jeden za drugim okrzyknęli naczelnicy Małpiego Tarzana swym królem.

— Nie! — zawołał człowiek-małpa, ręką nakazując ciszę. — Ale jest tu ktoś, kto długo żył wśród was, kto zna wasze zwyczaje, wasze nadzieje i potrzeby lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli zechce pozostać z wami i rządzić wami, będzie z niego, pewien jestem, doskonały król — i wskazał na starca.

Tamten zmieszany spojrzał na Tarzana.

— Ale ja pragnę stąd odejść — rzekł. — Pragnę wrócić do świata cywilizowanego, od którego przez tyle lat byłem odcięty.

— Nie wiesz, co mówisz — odparł człowiek-małpa. — Nazbyt się od tego świata oddaliłeś. Nie odnajdziesz już dawnych przyjaciół. Natkniesz się na oszustwo, hipokryzję, chciwość, skąpstwo, okrucieństwo. Przekonasz się, że nikt o ciebie nie dba i że ciebie nikt nic nie obchodzi. Ja, Małpi Tarzan, porzuciłem swą dżunglę i udawałem się do miast przez ludzi budowanych. Ale zawsze doznawałem rozczarowania i z radością wracałem do dżungli — do szlachetnych zwierząt, które są szczerze w miłości i nienawiści — do spokoju i prostoty przyrody.

— Jeśli odejdiesz, doznasz rozczarowania i zrozumiesz, żeś wzgardził sposobnością dokonania dzieła, któremu warto poświęcić siły. Te biedne stworzenia potrzebują ciebie. Ja nie mogę pozostać, by ich wywieść z ciemności, w jakich żyją, ale ty możesz. Możesz tak ich urobić, że staną się ludem pracowitym, cnotliwym, łagodnym, nie pozbawionym wszakże umiejętności wojennych, albowiem zawsze znajdują się zawistni, którzy, jeśli są od nas potężniejsi, zechcą przemocą odebrać nam to, co posiadamy. Musisz więc nauczyć swój lud bronić swego kraju i swych praw, by zaś ich bronić, należy posiadać zręczność i umiejętność walczenia pomyślnie i oręż odpowiedni.

— Prawdę mówisz, Małpi Tarzanie — przyznał starzec. — Nie ma dla mnie nic tam na świecie i jeśli Gomangani chcą mnie za swego wodza, pozostanę z nimi.

Zapytani o zdanie naczelnicy zapewnili Tarzana, że jeśli nie mogą jego samego mieć swym władcą, radzi zgodzą się na starca, którego wszyscy znali zarówno osobiście, jak i ze słyszenia, jako

człowieka, który nigdy nie dopuścił się żadnego okrucieństwa na Gomanganich.

Odnaleziono nielicznych Bolganich, ukrytych po różnych zakątkach pałacu i przyprowadzono ich do sali tronowej. Tu dano im do wyboru pozostanie w dolinie w charakterze niewolników, lub zupełne opuszczenie kraju. Gomangani chętnie byliby się na nich rzucili i zamordowali, ale nowy król nie dopuścił do tego.

— Dokąd pójdziemy, jeśli opuścimy Dolinę Diamentowego Pałacu? — zapytał jeden Bolgani. — Poza Oparem nie wiemy, co istnieje, a w Oparze znajdziemy samych wrogów.

Tarzan, milcząc, przyglądał im się. Długo nic nie mówił, wreszcie przywołał ich.

— Jest was około stu — przemówił. — Potężne z was istoty i bitni wojownicy. Obok mnie siedzi La, arcykapłanka i królowa Oparu. Zły kapłan pozbawił ją władzy i stracił z tronu. Ale jutro pójdziemy na Opar z najdzielniejszymi Gomanganami z Doliny Diamentowego Pałacu i ukarzymy Cadja. Arcykapłana, który okazał się zdrajcą względem swojej królowej i La odzyska tron Oparu. Wszakże tam, gdzie posiane zostało nasienie zdrady, tam plon może wzejść o każdej porze i w chwili najmniej spodziewanej. Dużo więc czasu upłynie, zanim La odzyska pełną ufność w wierność swego ludu — a to otwiera wam nowe widoki i może dać nową ojczyznę. Pójdźcie za nami i walczyte wraz z nami o osadzenie La z powrotem na jej tronie, a gdy walka się skończy, pozostaniecie tam, jako straż przyboczna La, by jej bronić, nie tylko przed zewnętrznym, ale zarówno przed wewnętrznym wrogiem.

Bolgani rozważyli między sobą sprawę i jeden z nich zwrócił się do Tarzana:

— Uczynimy wedle twej rady.

— Będziecie wiernie służyli La? — zapytał człowiek-małpa.

— Żaden Bolgani nie był nigdy zdrajcą — odrzekł człowiek-goryl.

— Wybornie! — zawołał Tarzan. — A ty, La, przystajesz na ten projekt?

— Przyjmuję ich do służby — rzekła La.

Nazajutrz wczesnym rankiem Tarzan i La z trzema tysiącami Gomanganich i setką Bolganich wyruszyli, by ukarać Cadja. Nie kryli się bynajmniej. Szli po prostu przez Dolinę Pałacu Diamentowego, spuścili się skalistym wąwozem do doliny Oparu i udali się wprost na tyły pałacu La.

Mała szara małpka, siedząca wśród pnączy na szczycie murów świątyni, ujrzała ich nadchodzących. Przekręciła główkę najpierw na jedną, potem na drugą stronę i tak się rozciekawiała, że zapomniała na chwilę podrapać się po brzuszku, któremu to zajęciu pilnie się od dłuższego czasu oddawała. W miarę zbliżania się oddziały wzrastało podniecenie Manu, małpki. Gdy zdała sobie niejasno sprawę z wielkiej liczebności Gomanganich, zaczęła odchodzić od zmysłów, ale kroplą, przepełniającą czarę jej wytrzymałości był widok Bolganich — postrachu jej rodu. Jak szalona popędziła do pałacu Oparu.

Cadj był na dziedzińcu wewnętrznej świątyni, gdzie o wschodzie słońca złożył ofiarę Płomiennemu Bogu. Byli tam też liczni kapłani i Oah z kapłankami. Że waśni ich jątrzyły, znać było po posępnych obliczach i słowach, z jakimi Oah zwracała się do Cadja.

— Znowu za dużo sobie pozwoliłeś, Cadj — mówiła cierpko. Jedyne arcykapłance Płomiennego Boga przysługuje prawo składania ofiary. Ty jednak raz po razie ośmielasz się kalać święty nóż swą niegodną dłonią.

— Milcz niewiasto — odburknął arcykapłan. — Jam jest Cadj, król Oparu, arcykapłan Płomiennego Boga. Godność swą zawdzięczasz jedynie łasce Cadja. Nie doświadczaaj zbyt mego cierpliwości, bo zaprawdę poznasz dotknięcie świętego noża.

Trudno było nie zrozumieć pogroźki w tych słowach zawartej. Wielu z otaczających go kapłanów

ledwie zdołało ukryć oburzenie na widok tak świętokradzkiego obchodzenia się z arcykapłanką. Aczkolwiek nie wielce sobie cenili Oah, faktem było, że wyniesiono ją na najwyższe stanowisko i ci, którzy wierzyli, że La umarła, co Cadj z wielkim nakładem wysiłków starał się im wmówić, ci oddawali Oah pełną cześć, należną jej z tytułu jej wysokiego urzędu.

— Uważaj, Cadj — ostrzegł go jeden ze starszych kapłanów. — Istnieją granice, których nawet tobie nie wolno przekraczać.

— Śmiesz mi grozić?! — krzyknął Cadj, błyskając oczyma, pełnymi obłądnego szału fanatyka. — Śmiesz grozić mnie, arcykapłanowi Płomiennego Boga? — I skoczył ku temu, kto go obraził, wznosząc nóż ofiarny nad jego głowę, gdy nagle skrzecząca i wrzeszcząca mała szara małpka wychyliła się z framugi w murze otaczającym dziedziniec świątyni.

— Bolgani! Bolgani! — wykrzykiwała. — Idą! Idą!

Cadj zatrzymał się i opuściwszy rękę z nożem, spojrział ku Manu.

— Widziałaś ich, Manu? — zapytał. — Prawdę mówisz? Jeśli to znów jakiś figiel z twojej strony, niedoczekanie twoje, by ci się jeszcze raz udało stroić żarty z Cadja.

— Prawdę rzekłam — zaskrzeczała małpka. — Widziałam ich na własne oczy.

— Ilu ich jest? — zapytał Cadj. — Jak blisko są Oparu?

— Jest ich tylu, co liści na drzewach — odrzekła Manu — i są już przy murze świątyni, Bolgani i Gornangani. Tylu ich, co trawy, która rośnie w wąwozach, gdzie chłodno i wilgotno.

Cadj zwrócił oblicze ku słońcu i wydał długi, przeciągły okrzyk, zakończony przenikliwym wrzaśnięciem. Po trzykrotnym powtórzeniu tego przeraźliwego hasła, pobiegł wraz z otoczeniem do właściwego pałacu. Gdy Cadj wkraczał w starożytną aleję, na którą wychodził pałac Oparu, już z każdego korytarza, z każdych podwojów wylaniały się grupy karłowatych, kudłatych postaci, uzbrojonych w ciężkie maczugi i noże. Na drzewach skrzeczały gromady małych szarych małpek.

— Nie tu, nie tu! — wykrzykiwały i wskazywały na południową stronę miasta.

Jak nie zorganizowany motłoch, horda kapłanów i wojowników zawróciła za Cadjem do pałacu i podążyła na drugi koniec gmachu. Tam wdrapali się na wyniosły mur, strzegący pałacu, właśnie w chwili gdy siły Tarzana zatrzymały się tuż pod murem.

— Skał! Skał! — wrzasnął Cadj. W odpowiedzi na ten rozkaz, kobiety zgromadzone na dziedzińcu, jęły zbierać odłamy kamieni, odkruszone od muru i pałacu i rzucać je na nieprzyjaciela.

— Idźcie precz! — krzyknął Cadj, zwracając się do armii, stojącej u bram miasta. — Idźcie precz! Jam jest Cadj, arcykapłan Płomiennego Boga, a tu jest jego świątynia. Nie plugawcie świątyni Płomiennego Boga, abyście nie doznali jego gniewu!

Tarzan wystąpił naprzód i ręką nakazał ciszę.

— Tu jest La, wasza arcykapłanka i królowa — zawołał do Oparian, stojących na murze. — Cadj jest zdrajcą i oszustem. Otwórzcie bramy i przyjmijcie królową. Oddajcie zdrajców w ręce sprawiedliwości, a nie wyrządzimy wam żadnej krzywdy. Ale jeśli odmówicie La wstępu do miasta, przemocą i z wielkim rozlewem krwi weźmiemy to, co się La z prawa należy.

Gdy skończył przemowę, La stanęła obok niego, aby cały jej lud mógł ją zobaczyć. Kilka głosów opowiedziało się za nią, ze dwa okrzyki wzniosły się przeciw Cadjowi. Widząc, że niewiele trzeba, by nastrój tłumu obrócił się przeciw niemu, Cadj wezwał swych ludzi do natarcia i sam cisnął kamieniem w Tarzana. Zdumiewająca zwinność, z jaką się uchylił, ocaliła Tarzana, pocisk minął go i trafił w samo serce stojącego za nim Gomangani. Grad pocisków zaczął się sypać na oblegających. Wówczas Tarzan poprowadził swój zastęp do ataku. Rycząc i warcząc ruszyli Bolgani i Gomangani w bój. Po kociemu, nie bacząc na grożące im ciężkie maczugi, wdrapali się na mur. Tarzan, który upatrzył sobie Cadja, jeden z pierwszych znalazł się na szczycie. Włochaty, koślawy wojownik

zamierzył się na niego maczugą. Jedną ręką zawieszony u wierzchołka ściany, Tarzan chwycił drugą ręką za oręż i wyrwał go napastnikowi. Jednocześnie dostrzegł Cadja, znikającego na tylnym dziedzińcu. Tarzan wciągnął się na mur i natychmiast rzuciło się nań dwu wojowników. Bronią, wyrwaną ich własnemu towarzyszowi, opędził się od nich z łatwością, gdyż jego olbrzymi wzrost i siła dawały mu znaczną nad nimi przewagę i pomny tylko na Cadja, przywódcę buntu przeciwko La, zeskoczył na dziedziniec, w chwili gdy arcykapłan zniknął za arkadą na końcu podwórca.

Garstka kapłanów i kapłanek usiłowała go powstrzymać w biegu. Chwycił jednego za nogi, okręcił nim wokoło siebie, oczyszczając sobie drogę, i pomknął na koniec dziedzińca. Tam się zatrzymał, zamachnął się ciałem kapłana i cisnął je w twarz pogoni.

Nie zatrzymując się dla sprawdzenia skutków swego czynu, rzucił się w pościg za Cadjem. Ten wciąż go wyprzedzał, znał bowiem drogi wśród labiryntu pałacu, świątyni i podwórców lepiej od Tarzana, który pewien był, że trop powiedzie go ku wewnętrznym dziedzińcom świątyni. Tam łatwo będzie Cadjowi znaleźć łatwy dostęp do lochów podziemnych i ukryć się tak, że trudno go będzie stamtąd wydostać. Toteż Tarzan usiłował dosięgnąć dziedzińca ofiarnego, zanim Cadj dostanie się do podziemnych wejść, gdy jednak wpadł na podwórzec, zacisnęła się na jego nogach chytrze zarzucona pętlica i został ciężko powalony na ziemię. Gromada koślawych człeczyn rzuciła się na niego i zanim odzyskał zmysły, mocno go spętała.

Na wpół przytomny czuł, jak go dźwigają z ziemi i niosą i wreszcie składają na chłodnej kamiennej powierzchni. Wówczas wróciła mu przytomność i zorientował się, że znowu leży na ołtarzu ofiarnym Płomiennego Boga, a nad nim stoi Cadj z twarzą wykrzywioną nienawiścią i tryumfem nasyconego pragnienia zemsty.

— Nareszcie! — wybełkotał arcykapłan. — Tym razem, Małpi Tarzanie, doznasz gniewu nie Płomiennego Boga, ale Cadja, męża. Nie doczekasz się teraz żadnego pośrednictwa.

Wysoko wzniosł nóż ofiarny. Małpi Tarzan spojrzął ponad koniec ostrza i na szczycie muru dziedzińca dostrzegł głowę i barki potężnego czarnogrzywego lwa.

— Jad-bal-ja! — zawołał. — Zabij! Zabij!

Cadj zawahał się i spojrzął w kierunku wzroku człowieka-małpy. W tej chwili właśnie złoty lew skoczył na ziemię i dwoma susami rzucił się na arcykapłana. Nóż zabrzczał na ziemi, wielkie szczęki zwarły się na odrażającym obliczu.

Wyżsi kapłani, którzy schwytali Tarzana i pozostali, by być świadkami jego śmierci z rąk Cadja, z krzykiem uciekli z dziedzińca, pozostawiając Tarzana i Jad-bal-ja samych na ofiarnym podwórcu świątyni.

— Pójdź, Jad-bal-ja — rozkazał Tarzan — i nikomu nie pozwól skrzywdzić Małpiego Tarzana.

W godzinę później zwycięskie zastępy La zalały starożytny pałac i świątynie Oparu. Pozostali przy życiu kapłani i wojownicy rychło się poddali i uznali La swą arcykapłanką i królową. Na rozkaz La zabrano się do poszukiwania Tarzana i Cadja i sama La, wiodąca oddział tropicieli, wkroczyła na podwórzec ofiarny.

Zatrzymała się nagle na widok tego, co ujrzała, bo oto związany leżał na ołtarzu Małpi Tarzan, a nad nim stał z jarzącymi się oczyma Jad-bal-ja, złoty lew.

— Tarzan! — krzyknęła La, zbliżając się do ołtarza. — Cadj dopiął swego nareszcie. Boże mych ojców, miej litość nade mną. — Tarzan nie żyje!

— Nie — zawołał człowiek-małpa — jestem zdrów i cały. Rozwiąż mnie. Jestem tylko spętany, ale gdyby nie Jad-bal-ja, skończyłbym pod twym nożem ofiarnym.

— Chwała Bogu! — wykrzyknęła La i pospieszyła ku ołtarzowi, ale zatrzymała ją groźna postawa lwa.

— Leżeć! — krzyknął Tarzan. — Daj jej się zbliżyć! Jad-bal-ja legł pokornie obok swego pana i złożył kark na jego piersi.

La podeszła, podjęła z ziemi nóż ofiarny i rozcięła nim pęta, więzące pana dżungli. Wówczas spostrzegła trupa Cadja, leżącego za ołtarzem.

— Najgorszy twój wróg nie żyje — rzekł Tarzan — a śmierć jego zawdzięczasz Jad-bal-ja, jak ja zawdzięczam mu życie. Panuj teraz w szczęściu i pokoju i w przyjaźni z ludem z Doliny Diamentowego Pałacu.

Tej nocy Tarzan i Bolgani, naczelnicy Gomanganich i kapłani i kapłanki Oparu zasiedli do uczyty w wielkiej sali bankietowej pałacu Oparu jako goście La, królowej, i jedli na złotych naczyniach starożytnych Atlantydzian, naczyniach, wykonanych na lądzie, dziś tylko w legendach istniejącym.

Nazajutrz Tarzan i Jad-bal-ja rankiem wyruszyli w powrotną drogę do kraju Waziri i do domu.

Rozdział XVII

Katusze ogniowe

Flora Hawkes i jej czterech kompani, ścigani przez Luvinię i jego dwustu wojowników, błąkali się wśród nocnych mroków dżungli. Nie mieli żadnego wytkniętego celu, gdyż prowadzeni dotychczas przez czarnych, pojęcia nie mieli, gdzie się znajdują i dokąd się zwrócić. Jedyłą ich myślą przewodnią było, aby jak najbardziej oddalić się od obozu arabskiego, gdyż niezależnie od wyniku bitwy, każda strona zwycięska jednakowo by im los zgotowała. Po półgodzinnym błąkaniu zatrzymali się na chwilowy odpoczynek, ale usłyszawszy wyraźny odgłos pościgu, rzucili się znowu do bezplanowej ucieczki.

Nagle spostrzegli ze zdumieniem błysk światła. Co to mogło być? Czyżby okrążyli i wrócili do obozu, z którego uciekli? Wyruszyli na rekonesans i wreszcie zobaczyli zarysy obozowiska, otoczonego ciernistą bomą z małym ogniskiem płonącym pośrodku. Dokoła ogniska zebrało się pół setki czarnych wojowników, a wśród nich uciekający dojrzeli białą kobietę. Odgłos pogoni stawał się coraz bliższy.

Z gestów wojowników łatwo można było odgadnąć, że rozprawiali o odgłosach bitwy, dochodzących od strony obozu rabusiów kości słoniowej, gdyż czarni wskazywali w tym kierunku. Nagle kobieta uciszyła ich ruchem ręki i wszyscy zaczęli nasłuchiwać. Widocznie dosłyszeli zbliżanie się wojowników, ścigających Florę Hawkes i jej towarzyszy.

— Tam jest biała kobieta — rzekła Flora. — Nie wiem, kim jest, ale w niej nasza jedyna nadzieja, bo pogoń wkrótce nas dosięgnie. Może ta kobieta nas obroni. Pójdę to wy badać — i nie czekając na odpowiedź, śmiało podeszła do bomy.

Gdy się zbliżyła, bystre oczy Waziri dostrzegły ich i niezwłocznie boma najeżyła się błyszczącymi włóczniami.

— Stój! — zawołał jeden z wojowników. — Jesteśmy Waziri Tarzana. A wy kim?

— Jestem Angielką! — odrzyknęła Flora. — Ja i moi towarzysze zabłąkaliśmy się w dżungli. Nasi safari nas zdradzili, ich wódz ściga nas ze swymi wojownikami. Jest nas tylko pięcioro i błagamy was o pomoc.

— Wpuście ich — rzekła Janina do swych ludzi.

Gdy Flora Hawkes z towarzyszami weszła do bomy pod badawczym spojrzeniem Janiny Clayton i Waziri — inna para oczu śledziła ich spośród liści wielkiego drzewa, rosnącego na skraju obozu — para szarych oczu, które dziwnie rozbłysły na widok dziewczyny i jej kompanów.

Lady Greystoke na widok przybyłych wydała okrzyk zdziwienia.

— Flora! Flora Hawkes, skąd się tu wzięłaś?

Zmieszana dziewczyna wyjąkała:

— Lady Greystoke!

— Nic nie rozumiem — powiedziała lady Greystoke. — Nie wiedziałam, że jesteś w Afryce.

Przez chwilę sprytna Flora stała w zakłopotaniu, ale szybko wrodzona przebiegłość przyszła jej z pomocą.

— Jestem tu z panem Bluberem i jego przyjaciółmi — wyjaśniła — którzy tu przybyli dla badań naukowych i wzięli mnie ze sobą, ponieważ byłam w Afryce z panią i lordem Greystoke i trochę poznałam zwyczaje miejscowe. Potem nasi czarni zbuntowali się i jeśli nam pani nie pomoże, grozi nam zagłada.

— Czy to ludzie z zachodniego wybrzeża? — zapytała Janina.

— Tak — odrzekła Flora.

— Sądzę, że moi Waziri dadzą sobie z nimi radę. Ilu ich jest?

— Około dwustu — odezwał się Kraski.

— Siły są bardzo nierówne — rzekła lady Greystoke i zwracając się do Usuli, oznajmiła mu: — Dwustu chłopców z zachodniego wybrzeża ściga tych ludzi. Musimy stanąć do walki w ich obronie.

— Jesteśmy Waziri — z prostotą odparł Usula.

Po chwili ukazało się czoło pościgu.

Na widok uzbrojonych wojowników ludzie z zachodniego wybrzeża zatrzymali się. Luvini, jednym rzutem oka dojrawszy małą liczebność wroga, wysunął się na czoło swego oddziału obrzucając przeciwnika, drwinami i zniewagami, domagał się wydania sobie białych. Słowa swe wzmacniał dziwaczными poruszeniami, potrząsaniem strzelbą i wyrażaniem pięścią. Jego ludzie poszli za jego przykładem i niebawem cała banda zaczęła wykrzykiwać, wyskakując i wprawiając się w trans podniecenia, niezbędny do dodania im odwagi do rozpoczęcia kroków wojennych.

Waziri, wyszkoleni i wyćwiczeni przez Tarzana, dawno już pozbyli się tego dziwnego wstępu, tak drogiego sercom innych plemion wojowniczych, stali spokojnie i groźnie, oczekując nadejścia wroga.

— Mają dużo strzelb — zauważyła lady Greystoke — nie wróży to nam nic dobrego.

— Nie ma ich tam więcej nad sześciu, umiających obchodzić się z bronią palną — rzekł Kraski.

— Wy wszyscy jesteście uzbrojeni. Staniecie wśród mych Waziri. Wezwijcie tamtych do odejścia i pozostawienia nas w pokoju. Nie strzelajcie, póki oni nie zaczną, ale przy pierwszym z ich strony ataku dajcie ognia i nie zaprzestawajcie. Nic tak nie odstrasza czarnych z zachodniego wybrzeża, jak strzelanie białych ludzi. Flora i ja pozostaniemy na tyłach obozu pod tym wielkim drzewem. — Mówiła tonem władczyni, jak ktoś nawykły do wydawania rozkazów i wiedzący, co mówi. Mężczyźni posłuchali jej, nawet Bluber, chociaż drżał ze strachu, stanął w pierwszym rzędzie wśród Waziri.

W blasku ogniska ruchy ich były dobrze widzialne dla Luviniego i dla tego, kto spośród liści drzewa śledził Florę Hawkes. Luvini nie przyszedł z zamiarem walki. Przyszedł po Florę Hawkes. Zwrócił się do swych ludzi ze słowami:

— Jest ich tylko pięćdziesięciu. Możemy ich z łatwością pozabijać, ale nie przyszliśmy wojować. Przybyliśmy po białą dziewczynę. Zostańcie tu i straszcie tych synów szakali. Zwracajcie wciąż ich uwagę na siebie. Posuwajcie się trochę i cofajcie, a ja tymczasem wezmę pięćdziesięciu ludzi i obejdę ich obóz, by pochwycić białą dziewczynę. Gdy mi się to uda, zawiadomię was i zaraz będziecie mogli wrócić do obozu, gdzie za palisada będziemy zabezpieczeni przeciw napaści.

Pomysł ten dogadzał czarnym, którzy wcale nie pragnęli walki. Zaczęli więc jeszcze wrzaskliwiej tańczyć, wykrzykiwać i grozić, czując, że wszystko to ujdzie im bezkarnie, skoro po bezkrwawym zwycięstwie mają się ukryć za palisadą swego obozu.

Gdy Luvini skradał się przez dżunglę na tyłach obozu, podczas gdy zgiełk czyniony przez jego ludzi, wzrastał do rozmiarów ogłuszających, nagle z drzewa, pod którym stały kobiety, zeskoczył

biały nagi olbrzym, przepasany tylko opaską na biodrach i ze skórą lamparcią na ramieniu.

— John! — wykrzyknęła lady Greystoke. — Chwała Bogu, jesteś!

— Psss! — ostrzegł ją olbrzym, kładąc palec na ustach, i nagle obrócił się ku Florze Hawkes. — Ciebie chcę — zawołał, chwycił dziewczynę, zarzucił sobie na plecy i zanim lady Greystoke zdołała przeszkodzić, zanim pojęła, co się stało, przeskoczył bomę i znikł w dżungli.

Janina Clayton stała chwilę jak skamieniała, po tym niespodziewanym ciosie, po czym ze zdławionym jękiem padła łkając na ziemię, zasłaniając twarz rękoma.

Tak zastali ją Luvini i jego wojownicy, gdy przekradli się przez bomę na tyły obozu. Przyszli po białą kobietę i znaleźli ją.

Brutalnie postawili ją na nogi, brudnymi i szorstkimi dłońmi zagłuszyli jej krzyki i ponieśli przez dżunglę do opalisadowanej osady rabusiów kości słoniowej.

Po upływie dziesięciu minut biali ludzie i Waziri zauważyli, że napastnicy z wolna się cofają, wciąż wykrzykując i grożąc — bitwa skończyła się bez jednego wystrzału, bez jednego rzutu włócznią.

— Niech mnie powiesz — odezwał się Throck — co znaczył ten cały wrzask?

— Myślałem, że żywcem nas zjedzą — rzekł Peebles — a te błazny tylko się nawrzeszczeli i basta.

Żyd wypiął piersi.

— Trzeba czegoś więcej, niż garstki Murzynów, by nastraszyć Adolfa Blubera — oświadczył pompatycznie.

Kraski popatrzył na oddalających się czarnych, po czym zwrócił się ku ognisku.

— Nic nie rozumiem — oznajmił i nagle zawołał: — Gdzie Flora i lady Greystoke?

Wówczas dopiero spostrzeżono nieobecność obu kobiet. Waziri wpadli w rozpacz. Głośno wzywali swej pani, ale na próżno.

— Chodźcie — zawołał Usula — my, Waziri, wreszcie stoczymy bój! — Pobiegł ku bomie, przeskoczył ją i wraz ze swymi pięćdziesięcioma wojownikami puścił się w pogoń za Murzynami z zachodniego wybrzeża.

Dogonili ich niebawem i to, co nastąpiło, przypominało raczej rzeź niż bitwę. W przerażeniu uciekając ku palisadzie, czarni z zachodniego wybrzeża porzucili strzelby, by szybciej biec. Ale Luvini ze swym oddziałem o tyle ich wyprzedził, że zdążyli dostać się za palisadę, zanim uciekający i ścigający nadbiegli. Znalazłszy się za bramą, stawili czoło Waziri, gdyż rozumieli dobrze, że tamci posiekaliby ich na kawałki; walczyli więc z zaciekłością i zdołali zamknąć i zabarykadować bramę. Zbudowana dla ochrony przed licznymi napastnikami, osada mogła się z łatwością bronić, gdyż teraz było mniej niż pięćdziesięciu Waziri przeciw dwustu obrońcom.

Rozumiejąc próżność ślepego ataku, Usula usunął swe siły na małą odległość od palisady i tam przystanęli wojownicy z posępnymi twarzami, utkwionymi we wrota. Usula tymczasem obmyślał sposób podejścia wroga, gdyż zdawał sobie sprawę, że siłą go nie przemoże.

— Chodzi nam tylko o lady Greystoke — oświadczył — zemsta może poczekać.

— Ale nie wiemy nawet, czy jest w osadzie — przypomniał mu jeden z wojowników.

— Gdzież by więc mogła być? — zapytał Usula. — Prawda jest, że nie wiemy, ale o tym właśnie chcę się przekonać. Posłuchajcie mojego planu. Dziesięciu pójdzie ze mną, pozostali narobią zgiełku i będą udawali, że rzucają się do ataku. Po chwili wrota się otworzą i tamci wyjdą. Za to wam ręczę. Postaram się wrócić, zanim się to stanie, ale jeśli nie zdążę, rozdzielcie się na dwie części i stańcie po obu stronach bramy. Pozwólcie uciec Murzynom z zachodniego wybrzeża, nic zależy nam na nich. Baczcie tylko na lady Greystoke i gdy ją zauważycie, odbijcie tym, którzy jej będą strzegli.

Rozumiecie? — Tamci skinęli głowami. — Chodźcie więc — i wybrawszy dziesięciu, znikł w dżungli.

Luvini zaniósł lady Greystoke do chaty, położonej niedaleko bramy osady. Tu mocno ją spętał i przywiązał do słupa, wciąż pewien, że to Flora Hawkes, po czym pozostawił ją i pośpieszył do bramy objąć dowództwo nad ludźmi w obronie osady.

Wypadki tak szybko po sobie następowały, że Janina Clayton wciąż była oszołomiona przeżyciami ostatniej godziny. Niczym było dla niej obecne położenie w porównaniu z myślą, że Tarzan ją opuścił w ciężkiej dla niej chwili i poniósł do dżungli inną kobietę. Nawet wspomnienie opowiadania Usuli o wypadku, jakiemu Tarzan uległ i który prawdopodobnie znowu poraził jego pamięć, nie mogła pogodzić jej z brutalnością jego postępków. Leżała, z twarzą na brudnej podłodze chaty arabskiej, łkając.

Tymczasem Usula i jego dziesięciu ludzi podkradli się na tyły osady. Tam znaleźli stopy chrustu, pozostawionego po budowie osady. Nazbierali go i poukładali wzdłuż palisady, tuż obok niej tak wysoko, że sięgał prawie do trzech czwartych wysokości ostrokołu. Widząc, że trudno będzie dalej, bez wzbudzenia uwagi, prowadzić tę robotę, Usula wysłał jednego człowieka do głównego oddziału przed bramą wioski z poleceniem, by podtrzymywali bezustanny zgiełk celem zagłuszenia odgłosu przygotowań jego towarzyszy. Zastosowano się do jego rozkazu, co pozwoliło Usuli i pomocnikom podwoić wysiłki, jednakże upłynęła przeszło godzina, zanim zdołał wedle swej myśli chrust ułożyć.

Luvini obserwował przez otwór w palisadzie główny oddział Waziri, których teraz wschodzący księżyc pozwalał widzieć dokładnie, i doszedł do przekonania, że nic zamierzali przypuścić szturm tej nocy. Stąd wywnioskował, że może mniej bacznie ich pilnować, a czas swój spędzić w inny, przyjemniejszy sposób. Poleciwszy swym wojownikom pozostać przy bramie w ostrym pogotowiu i, w razie gdyby Waziri zmienili zamiary, natychmiast go wezwać, udał się do chaty, w której pozostawił lady Greystoke.

Luvini był to rosty chłop o niskim, w tył cofniętym czole i wystających szczękach — przedstawiciel najprymitywniejszego Murzyna afrykańskiego. Wszedłszy do izby z zapaloną pochodnią w rękę, łakomie zerknął na leżącą kobietę. Obliznął swe grube wargi i zbliżywszy się do niej, dotknął jej. Janina Clayton spojrzała na niego i zdjęta obrzydzeniem, cofnęła się. Ujrawszy jej twarz, Murzyn się zdumiał.

— Ktoś ty? — zapytał łamaną angielszczyzną.

— Jestem lady Greystoke, małżonka Małpiego Tarzana. Jeśli jesteś mądry, uwolnisz mnie natychmiast.

Na twarzy Luviniego odmalowało się zdumienie i przerażenie. Spoglądał na nią długą chwilę, po czym zaczął rozwiązywać pęta na jej nogach i rękach.

Na tyłach palisady Usula przytknął w różnych miejscach płonące głównie do stosu chrustu. Płomienie, rozdmuchiwane przez łagodny powiew od dżungli, zamieniły się niebawem w huczącą pożogę. Suche drzewo palisady rozsypało się w czerwone iskry, które wiatr roznosił nastrzechą kryte chaty i w ciągu nieprawdopodobnie krótkiego czasu, osada stała się huczącym piekłem ogniowym. Jak to Usula przewidział, rozwarły się wrota i czarni, zdjęci przerażeniem, rzucili się w popłochu do ucieczki w dżunglę. Po obu stronach bramy stali Waziri, wypatrując swej pani. Ale, mimo że stali i bacznie się przyglądali, póki nikt już więcej nie ukazywał się w wyjściu i dopóki całego wnętrza nie objęło morze płomieni, nie dojrzeli Janiny Clayton.

Długo jeszcze, chociaż pewni, że nikt żywy nie mógł pozostać w wiosce, stali i czekali, nie tracąc nadziei. Wreszcie Usula dał za wygraną.

— Wcale jej tu nie było — zawyrokował. — Teraz musimy ścigać czarnych i pochwytać kilku,

by się od nich dowiedzieć o miejscu pobytu lady Greystoke.

Dzień już był, gdy natknęli się na zgraję maruderów. Szybko ich otoczyli i skłonili do natychmiastowego poddania obietnicą nietykalności, jeśli zgodnie z prawdą odpowiedzą na pytania.

— Gdzie jest Luvini? — zapytał Usula, który ubiegłego wieczora dowiedział się imienia wodza od Europejczyków.

— Nie wiemy, nic widzieliśmy go, odkąd opuściliśmy osadę — odrzekł jeden z czarnych. — Byliśmy niewolnikami arabskimi i gdy uciekliśmy nocą, pobiegliśmy oddzielnie od tamtych, bo sądzimy, że lepiej dla nas być samym niż z Luvinim, który jest okrutniejszy nawet od Arabów.

— Czy widzieliście białe kobiety, które przyprowadził do obozu?

— Jedną tylko białą kobiety przyprowadził — odezwał się drugi.

— Co z nią zrobił? Gdzie ona jest obecnie?

— Nic wiem. Gdy ja przyprowadził, związał jej ręce i nogi i umieścił ja w swej chacie w pobliżu bramy; odtąd jej nie widzieliśmy.

Usula spojrział na swych towarzyszy. Oczy jego wyrażały wielkie przerażenie, takie same, jakie malowało się na ich obliczach.

— Chodźcie! — rzekł. — Wrócimy do wioski, a wy pójdziecie z nami — dodał, zwracając się do Murzynów z zachodniego wybrzeża... i jeśli okłamaliście... — zrobił znaczący gest palcem po gardle.

— Nie okłamaliśmy cię — zapewnili tamci.

Spiesznie zawrócili na pogorzelnisko wioski arabskiej, z której nic nie pozostało, oprócz dymiących głowni.

— Gdzie stała chata, w której zamknięta była biała kobieta? — zapytał Usula, gdy znaleźli się wśród dymiących zgliszcz.

— Tu — objaśnił jeden z czarnych, robiąc kilka kroków poza to, co było niedawno bramą wioski. Zatrzymał się nagle i wskazał na coś leżącego na ziemi.

— Tam — rzekł — jest biała kobieta przez was poszukiwana. Usula i towarzysze pośpieszyli we wskazanym kierunku.

Wściekłość i rozpacz walczyły o lepsze w ich sercach, gdy ujrzeli zwęglone szczątki ciała ludzkiego.

— To ona — rzekł Usula, odwracając się, by ukryć łzy, spływające po jego hebanowych policzkach. Pozostali Waziri byli nie mniej poruszeni, wszyscy bowiem kochali małżonkę wielkiego Bwany.

— A może to nie ona — zauważył jeden z nich — może to kto inny.

— Łatwo się przekonamy — zawołał trzeci. — Jeśli w popiołach są jej pierścienie, tedy będzie to ona niechybnie. — Ukląkł i zaczął szukać pierścieni, które lady Greystoke nosiła zazwyczaj.

Usula potrząsnął głową z rozpaczą.

— To ona — rzekł — oto nawet słup, do którego była przywiązana — wskazał na poczerniały pieńek tuż obok trupa — a co się tyczy pierścieni, jeśli nawet ich tu nie ma, niczego to nie dowodzi, bo Luvini mógł je jej zabrać natychmiast po porwaniu. Wszyscy zdążyli opuścić wioskę prócz niej, bo była związana i nie mogła uciec — nie, to nie może być nikt inny.

Waziri wykopali płytki grób, ze czią złożyli w mm popioły i naznaczyli miejsce kamiennym kopcem.

Rozdział XVIII

Trop zemsty

Małpi Tarzan, przystosowując się do chodu Jad-bal-ja, względnie pomału kierował się do domu i w drodze rozważał doświadczenie ubiegłego tygodnia. Wprawdzie nie udało mu się ograbienie skarbcza Oparu, ale woreczek diamentów wielokrotnie wetował niepowodzenie jego zamierzeń. Jedyłą jego troską obecnie był niepokój o losy Waziri, a może również chęć odszukania białych, którzy go uśpili i wymierzenia im zasłużonej kary. Jednakże pragnienie powrotu do domu skłoniło go do porzucenia tej myśli, na razie przynajmniej.

Razem polując, razem jedząc i razem sypiając, człowiek i wielki lew szli szlakiem dzikiej dżungli w kierunku domu.

Wczoraj dzielili się mięsem Bary, jelenia, dzisiaj ucztowali na ścierwie Horty, dzika, i nie było obawy, by zaznali głodu.

Byli już o dzień drogi od bungalowu, gdy Tarzan odkrył ślady znacznego oddziału wojowników. Jak pewni ludzie pochłaniają najświeższe notowania giełdowe, tak Tarzan pochłaniał najdrobniejszy strzęp wiadomości, jakich dżungla mogła mu dostarczyć. W rzeczy samej dokładna ich znajomość była przez całe życie warunkiem sine qua non jego istnienia. Toteż starannie zbadał leżący przed nim trop, aczkolwiek pochodzący sprzed wielu dni i częściowo zatarty przez przechodzące tędy zwierzęta, ale wciąż jeszcze czytelny dla bystrych oczu i nozdrzy człowieka-małpy. Obojętność zamieniła się nagle w wielkie zainteresowanie, gdyż wśród śladów wojowników rozpoznał drobniejsze, białej kobiety, a tak dobrze mu znane, jak nam znaną jest twarz naszej matki.

Waziri powrócili i zawiadomili ją, że mnie nie ma — monologował — wyruszyła więc na poszukiwanie mnie. — Zwrócił się do lwa. — Widzisz, Jad-bal-ja, musimy zawrócić od domu — nie, tam gdzie się znajduje ona, tam jest dom.

Kierunek, w którym wiódł trop, zadziwił Tarzana, gdyż nie szedł w stronę Oparu, a raczej bardziej na południe. Szóstego dnia dosłyszał zbliżających się ludzi i poczuł woń Murzynów. Nakazawszy Jad-bal-ja ukryć się w gąszczu, wdrapał się na drzewo i tą drogą powietrzną pomknął w kierunku zbliżających się ludzi. W miarę zmniejszenia się odległości woń stawała się coraz silniejsza i zanim ich ujrzał, wiedział, że to byli Waziri. Ale jednej woni, która duszę jego napełniłaby radością, brakowało.

Zdumiony Usula, idący na czele smutnych i zgnębionych Waziri, spotkał się nagle twarzą w twarz ze swym panem.

— Małpi Tarzan! — wykrzyknął. — Czy to ty naprawdę?

— Nie kto inny — odrzekł człowiek-małpa — ale gdzie lady Greystoke?

— O Panie, jak ci to powiedzieć! — zawołał Usula.

— Nie chcesz przecie... — wykrzyknął Tarzan. — To niemożliwe. Nic się jej stać nie mogło pod opieką mych Waziri.

Wojownicy zwiesili głowy, pełni wstydu i zgryzoty.

— Weź nasze życie w zamian za jej — rzekł Usula z prostotą. Rzucił na ziemię włócznię i tarczę i rozłożywszy ramiona, nadstawił obnażoną pierś. — Uderz, Bwana — dodał.

Człowiek—małpa odwrócił się ze spuszczoną głową. Spojrzał znowu na Usulę i powiedział:

— Odpowiedz mi, jak się to stało i zapomnij o swym niemądrym przemówieniu, jak ja zapomniałem podszeptu, który je wywołał.

Usula opowiedział pokrótce zdarzenia, które sprowadziły śmierć Janiny. Gdy skończył, Tarzan wymówił tylko trzy słowa, tak dobrze go charakteryzujące.

— Gdzie jest Luvini? — zapytał.

— Ach, tego właśnie nie wiemy — odrzekł Usula.

— Ale ja się dowiem — odparł Tarzan. — Idźcie, moje dzieci, swoją drogą, wracajcie do swych chat, żon i dzieci, a gdy znowu ujrzycie Małpiego Tarzana, dowiedcie się, że Luvini nie żyje.

Błagali go o pozwolenie towarzyszenia sobie, ale ani słyszeć o tym nie chciał.

— Jesteście potrzebni w domu o tej porze roku — powiedział. — Już i tak nazbyt długo byliście oderwani od swych stad i pól. Wracajcie więc i zawiadomcie Koraka, ale powiedzcie mu, że życzeniem moim jest, by on także pozostał w domu — jeśli zginę, będzie mógł podjąć moje nie dokończone dzieło, o ile zechce. Zawrócił w stronę, skąd był przyszedł i gwizdnął z cicha przeciągle. Po chwili Jad—bal—ja, złoty lew, wyskoczył na trop leśny.

— Złoty lew! — krzyknął Usula. — Uciekł od Keewaza, by szukać swego ukochanego Bwany!

Tarzan skinął głową.

— Zawędrował aż do dziwnej krainy, zanim mnie odnalazł — rzekł, po czym pożegnał Waziri i znowu oddalił się od domu, by szukać Luvinię i pomsty.

John Peebles, wciśnięty w rozwidlenie wielkiego drzewa, znużonymi oczyma powitał nadchodzący świt. Nie opodal Dick Throck był podobnie skurczony na innym rozwidleniu, zaś Kraski inteligentniejszy od nich i bardziej pomysłowy, urządził sobie małe legowisko z gałęzi, przymocowanych do dwu równoległych sęków i leżał na nim względnie wygodnie. Dziesięć stóp nad nim Bluber, na wpół żywy, a całkowicie wystraszony, przytulił się do konara, który podtrzymywał rodzaj wideł z gałęzi.

— Panie Boże — jęknął Peebles — niechaj raczej pożrą mnie przeklęte lwy, niżbym miał jeszcze jedna taką noc spędzić i basta.

— I niech mnie powiesz — odezwał się Throck — wolę już spać na ziemi, lwy, czy nie lwy.

— Gdyby połączona inteligencja was trzech dorównywała inteligencji konia morskiego — zauważył Kraski — bylibyśmy spali na ziemi względnie bezpiecznie i wygodnie.

— Hej, Bluber, Pan Kraski do ciebie mówi! — zawołał Peebles sarkastycznie, nacisk kładąc na P a n.

— Ojoj! Nie tpać co kto mófi — jęknął Bluber.

— On życzy sobie, byśmy mu co noc budowali dom — ciągnął dalej Peebles — a on będzie stał nad nami i pouczał, co i jak mamy robić, bo on, jako wykwiniony młodzieniec, nie może pracować.

— Po co mam pracować rękami, gdy wy, dwoje wielkich zwierząt, nie macie nic innego, czym byście mogli pracować? — zapytał Kraski. — Zdechlibyście dawno z głodu, gdybym ja się nie postarał o pokarm dla was. I stalibyście się pastwą lwa, albo padlibyście z wycieńczenia, gdybyście mnie nie słuchali — zresztą, nie byłaby to wielka strata.

Tamci milczeniem zbyli jego końcowy wyskok. Istotnie tak dużo i tak długo się kłócili dotychczas, że przestali zwracać na siebie nawzajem uwagę. Za wyjątkiem Peeblesa i Throcka,

serdecznie się nienawidzili i trzymali się razem dlatego tylko, że bali się rozłączyć.

Peebles z wolna opuścił swe wielkie cielsko na ziemię. Throck poszedł za jego przykładem, potem Kraski, a na końcu Bluber, który stał chwilę w milczeniu, przyglądając się swemu nieprzyzwoitemu strojowi.

— Mein Gott! — zawołał wreszcie. — Spójszcie na mnie! Ten karnitur, on mnie kosztował twacieścia gfinej, spójszcie na nieko. Srujnofany, srujnofany!

— Idź do diabła ze swym ubraniem! — krzyknął Kraski. — Otośmy tu zabłąkani, na pół zagłodzeni, wciąż pod grozą dzikich zwierząt, a kto wie, może i ludożerców, z Florą zgubioną w dżungli, a ten stoi tu i opowiada o swym ubraniu „za dwadzieścia gwinei”. Mam cię dosyć, Bluber. Ale chodźcie, równie dobrze możemy puścić się w drogę.

— Którędy? — zapytał Throck.

— No na zachód, rozumie się — odparł Kraski. — Tam jest wybrzeże i nic innego nam nie pozostaje, jak starać się tam dostać.

— Nie dostaniemy się tam, idąc na wschód — ryknął Peebles — i basta!

— A kto mówi, że się dostaniemy? — zapytał Kraski.

— Przecież wczoraj cały dzień wędrowaliśmy na wschód — rzekł Peebles. — Cały czas wiedziałem, że coś jest nie w porządku i wreszcie zrozumiałem.

— Throck spojrział na przyjaciela z głupim zdziwieniem.

— Co chcesz powiedzieć? — mruknął. — Dlaczego myślisz, że wędrowaliśmy na wschód?

— To bardzo jasne i zaraz wam dowiodę — odrzekł Peebles.

— Ponieważ ten jegomość jest o tyle od nas mądrzejszy, reszta szła za nim wprost w głąb lądu, odkąd porzucili nas Murzyni. — Skinął w kierunku Rosjanina, który stał z rękami opartymi na biodrach, drwiąco na nich spoglądając.

— Jeśli sadzisz, że prowadzę cię w złym kierunku, Peebles — odezwał się Kraski — to idź sobie inną drogą, ale ja będę się trzymał tego kierunku, w jakim dotąd szliśmy, bo jest dobry.

— To nie jest właściwy kierunek — odciął się Peebles — i dowiodę tego. Słuchajcie. Jeśli wędrujecie na zachód, to macie słońce po lewej stronie, nieprawdaż? To jest, przez pół dnia. A patrzcie, odkąd podróżujemy bez Murzynów, zawsze mamy słońce po prawej stronie. Wciąż mi się wydawało, że coś jest nie w porządku, ale nie mogłem tego aż do tej chwili wyrazić. To jasne jak słońce. Szliśmy wciąż na wschód.

— Niech mnie powiesz! — zawołał Throck. — Rzeczywiście, na wschód, a ten tam wyobraża sobie, że jest wszystkowiedzący.

— Oj! — jęknął Bluber — to mi muszimi fracać s pofrotem?

Kraski zaśmiał się i wyruszył w raz obranym kierunku.

— Idźcie sobie, którą chcecie — rzucił na pożegnanie — a po drodze zastanówcie się, że znajdujecie się na południe od równika i że z tego powodu słońce jest zawsze na północy, co zresztą nie zmienia jego staroświeckiego przyzwyczajenia zachodzenia na zachodzie.

Bluber pierwszy zrozumiał słuszność uwagi Kraskiego.

— Chodźcie chłopcy — rzekł. — Karol ma rację — poszedł za Rosjaninem.

Peebles stał, drapiąc się po głowie, zaskoczony zdumiewającym zagadnieniem, nad którym Throck również głęboko się zastanawiał.

— Pójdź, Johnie — rzekł wreszcie — mc nie rozumiem, ale myślę, że oni mają rację. Idą w tym kierunku, w którym wczoraj słońce zaszło, to musi być z pewnością zachód.

Widząc swą teorię zachwianą, Peebles posłuchał rady Throcka, chociaż bez przekonania.

Wszyscy czterej, głodni i z obolałymi nogami, wlekli się tropem dżungli na zachód długie

godziny, na próżno upatrując zwierzyny. Nie obznajomieni byli z życiem dżungli, co chwila mogli natknąć się na jakiegoś drapieżnika lub dzikich wojowników, ale tak tępe są zmysły ludzi cywilizowanych, że najhańsliwszy wróg mógł ich tropić nie postrzeżony przez nich.

Toteż zaraz po południu, gdy mieli niewielką polankę, zatrzymał ich, pełnych trwogi, świst strzały, która o mało co nie ugodziła Blubera w głowę. Z przeraźliwym krzykiem strachu Żyd przysiadł na ziemi. Kraski zdjął strzelbę z ramienia i wypalił.

— Tam — zawołał — zza tych krzaków — a wtem druga strzała, z innej strony, przeszła mu ramię, Peebles i Throck, o ciężale i powoli się orientujący, nie tak hyżo jak Rosjanin wzięli się do roboty, ale, jak i on, nie zdradzili cienia trwogi.

— Padnijcie — zawołał Kraski, łącząc czyn ze słowami — padnijcie na ziemię!

Ledwie zdążyli rzucić się między wysokie trawy, ukazała się gromada drobnych myśliwców i chmura strzał sypnęła się na rozciągniętych Europejczyków. Z pobliskiego drzewa para stalowo-szarych oczu przyglądała się zajściu.

Bluber leżał na brzuchu z twarzą ukrytą w dłoniach, z beczynną strzelbą obok siebie, ale Kraski, Peebles i Throck, walcząc o życie, walili ołowiem w głowy wrzeszczących Pigmejczyków.

Kraski i Peebles sprzątnęli po jednym napastniku, co skłoniło pozostałych do ukrycia się w otaczających gąszczach i nastąpiła chwilowa przerwa w walce. Zapanowało głucho milczenie, które przerwał spokojny głos, wychodzący spośród listowia olbrzymiego drzewa.

— Nie strzelajcie, póki nie dam hasła — przemówił po angielsku — wyratuję was.

Bluber podniósł głowę.

— Chodź prentko! — zawołał. — Nie bęciemy ścielali. Uratuj mnie, uratuj mnie, to ci tam pięć funtów.

Z drzewa, skąd wychodził głos, rozległ się cichy, przeciągły gwizd. Chwilę trwała cisza.

Pigmejczycy, zdumieni głosem, dobywającym się z gałęzi drzewa, zaprzestali kroków nieprzyjacielskich, ale nie widząc nic groźnego, wysunęli się z krzaków i nowym gradem strzał zasypali ludzi, leżących na polance. Wtem biały olbrzym zeskoczył z gałęzi leśnego patriarchy i jednocześnie wielki czarnogrzywy lew wyskoczył z zarośli.

— Oj! — wrzasnął Bluber i znowu zakrył twarz rękami. Mali myśliwi stali przez chwilę zdjęci przerażeniem. Naraz wódz ich krzyknął. — To Tarzan! — i umknął do dżungli.

— Tak, to Tarzan, Małpi Tarzan — zawołał lord Greystoke. — To Tarzan i Złoty Lew — ale mówił dialektem Pigmejczyków i biali nie zrozumieli ani słowa. Zwrócił się następnie ku nim: — Gomangani odeszli, wstańcie.

Czterej mężczyźni podnieśli się z ziemi.

— Kim jesteście i co tu robicie? — zapytał Tarzan. — Nie mam potrzeby pytać, kim jesteście. Jesteście tymi, którzy mnie uspiłi i bezbronno zostawili w obozie na łup dla pierwszego lepszego lwa, czy dzikiego krajowca.

Bluber, zacierając ręce, płaszcząc się i uśmiechając, wystąpił naprzód.

— Ojoj! Panie Tarzan, miszmi Pana nie poznali. Mibiszmi nikty tego nie srobili, szebyśmy fiecei, sze to Małpi Tarzan. Ratuj mnie Pan! Ciesięć funtów, tfacieścia, ile Pan szata. Pofic Pan swoją cenę. Uratuj mnie Pan, to tostaniesz.

Tarzan, nie zwracając uwagi na Żyda, zwrócił się do pozostałych.

— Szukam jednego z waszych ludzi — czarnego, imieniem Luvini. On zabił moją żonę. Gdzie jest?

— Nic o tym nie wiemy — rzekł Kraski. — Luvini zdradził nas i opuścił. Pańska żona i inna biała kobieta były wówczas w naszym obozie. Nikt z nas nie wie, co się z nimi stało. Znajdowały się

za nami, gdyśmy zajęli pozycje, by bronić obozu przed naszymi ludźmi i przed Arabami. Byli tam Pańscy Waziri. Gdy nieprzyjaciel się cofnął, przekonaliśmy się, że obie kobiety znikły. Nie wiemy, co się z nimi stało. Szukamy ich teraz.

— To samo opowiedzieli mi moi Waziri — rzekł Tarzan — ale czy nie widzieliście odtąd Luvinięgo?

— Nie — odparł Kraski.

— Co tu robicie? — zapytał Tarzan.

— Przybyliśmy na wyprawę naukową pod kierunkiem pana Blubera — objaśnił Rosjanin. — Dużo mieliśmy kłopotów. Nasi przewodnicy, askarysi i tragarze zbuntowali się i uciekli. Jesteśmy zupełnie sami i nie wiemy, jak sobie radzić.

— Ojoj! — zawołał Bluber. — Niech Pan nas ratuje! Ale proszę odpęcić teko lfa — on mnie tenerfuje.

— Nic Panu nie zrobi złego — chyba że mu rozkażę.

— To proszę, szeby Pan mu nie kasał — zawołał Bluber.

— Dokąd chcecie pójść? — zapytał Tarzan.

— Próbujemy wrócić na wybrzeże — rzekł Kraski — a stamtąd do Londynu.

— Pójdźcie ze mną — zaproponował Tarzan — prawdopodobnie będę mógł wam pomóc. Nie zasługujecie na to, ale nie mogę patrzeć, gdy biali ludzie giną w dżungli.

Poszli za nim na zachód i zanocewali nad małym strumykiem leśnym.

Trudno było Londyńczykom przywyknąć do obecności wielkiego lwa. Bluber wciąż trząsał się ze strachu.

Gdy przykucnęli dokoła ogniska po wieczerzy, dostarczonej przez Tarzana, Kraski podsunąłmyśl, oż zbudować rodzaj osłony przed dzikimi zwierzętami.

— To zbyteczne — odrzekł Tarzan — Jad-bal-ja dopilnuje nas. Będzie tu spał obok Małpiego Tarzana, a czego który z was nie dosłysz, on z pewnością dosłysz.

Bluber wEstehnął.

— Mein Gott! tałbym dziesięć funtów są jetną noc snu.

— Dostaniesz to pan dziś taniej — rzekł Tarzan — bo nic się wam nie stanie, póki tu jestem ja i Jad-bal-ja.

— Kiety tak, to topranoc — rzekł Żyd i po kilku minutach, skuliwszy się o parę kroków od ogniska, zasnął. Throck i Peebles poszli za jego przykładem, niebawem to samo uczynił Kraski.

Rosjanin, na pół drzemiąc, zobaczył przez przymknięte tylko powieki, że człowiek-małpa podniósł się z kucek i podszedł do pobliskiego drzewa. Coś wypadło z jego opaski biodrowej — mały skórzany woreczek, woreczek dobrze wypchany.

Kraski zupełnie już rozbudzony, śledził, jak Tarzan ułożył się nie opodal z Jad-bal-ja u boku.

Wielki lew skulił się obok wyciągniętego męża i niebawem Kraski upewnił się, że obaj zasnęli. Zaczął z wolna się podkradać ku paczuszce, leżącej obok ogniska. Co chwila się zatrzymywał i spoglądał na parę dzikich zwierząt, ale oboje spali spokojnie. Wreszcie mógł dosięgnąć woreczka. Chwycił go zwinnie i czym prędzej ukrył za koszulą, po czym przyczołgał się z powrotem na swe miejsce za ogniskiem. Położył głowę na ramieniu i udając głęboko uspięnego, starannie palcami lewej ręki wymacywał zawartość woreczka.

— To robi wrażenie kamyków — rozmyślał — i niechybnie są to kamyki, przeznaczone na ozdobę tego dzikiego barbarzyńcy, który jest parem angielskim. Nieprawdopodobnym wydaje się, by ta dzika bestia miała zasiadać w Izbie Lordów.

Po cichutku Kraski rozwiązał woreczek i wysypał część zawartości na dłoń.

— Boże! — wykrzyknął — diamenty!

Chciwie wysypał wszystkie i pożądliwie spoglądał na wielkie, błyszczące kamienie najczystszej wody — pięć funtów pierwszorzędných białych diamentów, przedstawiających tak bajeczną fortunę, że samo spoglądanie na nie obezwładniło Rosjanina.

— Boże! — powtarzał. — Krezusowe bogactwa mam w rękach.

Pozbierał spiesźnie kamienie i schował do woreczka, wciąż z okiem bacznie utkwionym w Tarzana i Jad-bal-ja. Ale obaj spali mocno, wsunął więc sakiewkę za koszulę.

— Jutro — szeptął — jutro — daj Boże, bym się dziś na to zdobył.

Nazajutrz rano Tarzan wraz z czterema Londyńczykami zbliżył się do obszernej, opalisadowanej wioski o wielu chatach. Przyjęto go nie tylko uprzejmie, ale ze czcią, cesarzowi należną.

Na białych, wielkie zrobiło wrażenie zachowanie się czarnego wodza i jego wojowników względem Tarzana.

Gdy skończyły się zwykłe ceremonie, Tarzan wskazał czterech Europejczyków.

— To moi przyjaciele — przemówił do czarnego wodza — chcieliby oni bezpiecznie dostać się na wybrzeże. Poślij więc z nimi dostateczny zastęp wojowników, by ich żywili i pilnowali w ciągu podróży. To ja, Małpi Tarzan, proszę cię o tę przysługę.

— Małpiemu Tarzanowi, wielkiemu wodzowi, Panu dżungli, przystoi tylko rozkazywać — odrzekł czarny.

— Doskonale! — zawołał Tarzan. — Karm ich dobrze i obchodź się z nimi dobrze. Mam inne sprawy do załatwienia i nie mogę tu długo bawić.

— Brzuchy ich będą napełnione i dostaną się na wybrzeże zdrowi i cali — zapewnił wódz.

Bez słowa pożegnania, nie spostrzegając nawet jak gdyby ich obecności, Małpi Tarzan znikł z oczu Europejczykom, a za nim Jad-bal-ja, złoty lew.

Rozdział XIX

Ostra włócznia zabija

Kraski spędził bezsenłą noc. Sen z powiek spędzała mu myśl, że prędzej czy później, Tarzan zauważy brak sakiewki z diamentami, powróci i zażąda jej zwrotu. Toteż gdy zaświeciły pierwsze blaski jutrzni, podniósł się z tapczana w chacie, wyznaczonej przez wodza dla niego i dla Blubera, i cichaczem wyczołgał się na ulicę wioskowa.

— Boże! — rozmyślał. — Jedna jest możliwość na tysiąc, że dostanę się sam jeden na wybrzeże, ale to — przycisnął ręką woreczek z diamentami, ukryty za pazucha — ale to warte jest największych wysiłków, nawet życie warto złożyć w ofierze — fortuna tysiąca królów — Boże! Czego bym ja z tym nie dokazał w Londynie, Paryżu, New-Jorku!

Chyłkiem wyslizgnął się z wioski i wkrótce dżungla zawarła się za Karolem Kraskim, Rosjaninem, którego nigdy już więcej jego towarzysze nie mieli oglądać.

Bluber pierwszy zauważył nieobecność Kraskiego.

— Czy widzieliście dziś Karola? — zapytał, gdy we trzech zebrali się przy tyglu, zawierającym niesmaczną pieczeń, przyniesioną im na śniadanie.

— Nie — rzekł Peebles. — Pewnie jeszcze śpi.

— Nie ma go w chacie — odparł Bluber. Nie pyło go tam, kiety się opucziłem.

— Niech się sam o siebie kłopotuje — mruknął Throck, zabierając się do jadła.

Skończyli śniadanie, zjawił się wódz z propozycją, by wyruszyli w drogę do wybrzeża, a Kraski się nie pokazywał. Bluber bardzo był poruszony. Nie chodziło mu wcale o Kraskiego, tylko o siebie samego, bo jeśli w tej przyjaznej wiosce mogło się coś zdarzyć Kraskiemu, to i jego mogło spotkać coś podobnego. Podsunął tę myśl towarzyszom, którzy się nią również przejęli i zażądali audiencji u wodza.

Gestami, łamaną angielszczyzną, przekręconym dialektem krajowym, z którego każdy z nich nauczył się po kilka słów, udało im się powiadomić wodza o zniknięciu Kraskiego i swym życzeniu dowiedzenia się, co się z nim stało.

Oczywiście wódz był niemniej od nich zdumiony i bezzwłocznie zarządził poszukiwania. Okazało się, że Kraskiego w wiosce nie było, a wkrótce wykryto ślady jego stóp, wiodące przez bramę wioskową do dżungli.

— Mein Gott! — zawołał Bluber — poszedł tam, sam jeten, po nocy! Muszał sfarjowacz!

— Boże! — zawołał Throck — po co on tam poszedł?

— Czy niczego wam nie brak? — zapytał obydwu Peebles. — Pewnie coś ukradł.

— Ojoj! Co mi mamy to ukracenia? — zawołał Bluber. — Ścielby i amunicję mamy przy sobie. Nie fsioł ich. Oprócz teko nie mamy niczeko fartoszczowego, chiba mój karnitur są tfacieścia gfinci.

— Ale po co on tam poszedł? — zapytał Peebles.

— Pewnie wyszedł we śnie — zrobił przypuszczenie Throck. Było to jedyne wyjaśnienie

tajemniczego zniknięcia Kraskiego, na jakie mogli wpaść. W godzinę później, pod opieką oddziału wojowników, wyruszyli ku zachodniemu wybrzeżu.

Kraski, ze strzelbą na ramieniu i automatycznym pistoletem w rękę, szedł wytrwale przez dżunglę, wciąż bacznie nasłuchując, czy nie ściga go pogoń, lub czy jakie niebezpieczeństwo nie grozi mu skądinąd. Sam, w pełnej tajemnic puszczy, odczuwał bezmierną trwogę. Za każdą przebytą milą malała w jego oczach wartość diamentów w porównaniu z ogromem ciężkich prób, które go czekały, zanim zdoła się przedrzeć na wybrzeże.

Histah, wąż, zsunął się z gałęzi, wystającej nad tropem, i zagroził mu przejście. Nie śmiał strzelić do niego w obawie zwrócenia uwagi możliwej pogoni. By ominąć węża, musiał obejść wokoło przez splątany gąszcz podszycia, obficie obrastającego trop po obu stronach. Gdy się wydostał z powrotem na ścieżkę, miał ubranie poszarpane, gorzej jeszcze niż poprzednio, a ciało podrapane, pokaleczone i pokrwawione przez najeżone ciernie, przez które musiał się przedzierać. Pot lał się z niego strumieniem, ciężko dyszał z przemęczenia, a w ubraniu pełno miał mrówek, których bolesne ukąszenia doprowadzały go do szału. Zdarł z siebie odzież, chcąc wytrząsnąć napastnicze owady, ale ujrzał ich takie miriady, że nie odważył się dotknąć ubrania. Spośród rojących się mrówek, których ilość nieprawdopodobnie szybko wzrastała, wyciągnął tylko woreczek z diamentami i broń.

Oczyściwszy z mrówek wyjęte rzeczy, popędził nagi, jak go Bóg stworzył, a gdy w pół godziny później, potknąwszy się, zadyszany padł na wilgotną ziemię, zrozumiał, jak szalonym był jego zamiar dostania się na wybrzeże samemu. Nic tak nie odbiera odwagi i pewności siebie człowiekowi cywilizowanemu, jak pozbawienie go odzieży. Po odrzuceniu podartych, poszarpanych strzępów ubrania, które tak skąpo go ochraniały, czuł się nie mniej bezsilny, niż gdyby utracił broń i amunicję. Jesteśmy wszyscy niewolnikami nawyknięcia i otoczenia, toteż Kraski, który teraz trwożnie skradał się przez dżunglę, był z góry skazany na zagładę.

Głodny i zziębnięty spędził noc w rozwidleniu konarów wielkiego drzewa. Dokoła niego polujące drapieżniki ryczały, wyły, pomrukiwały w ciemnościach. Trwoga spędzała sen z jego powiek, a gdy chwilami drzemał z wycieńczenia, śniły mu się straszliwe widziadła. W ten sposób ciągnęły się nieskończone godziny okropnej nocy i zdawało się, że nigdy nie nastanie dzień. Nastął wszakże i Kraski znów ruszył na zachód.

Strach, zmęczenie i cierpienia doprowadziły go do stanu, graniczącego z obłędem. Tracił siły z godziny na godzinę, gdyż nie skosztował jadła ni napoju, odkąd opuścił swych towarzyszy, czyli od przeszło trzydziestu godzin.

Zbliżało się południe. Szedł pomału, często odpoczywając. Właśnie w czasie jednego z takich odpoczynków wydało mu się, że z niezbyt daleka dochodzą głosy ludzkie. Otrząsnął się z ogarniającej go słabości i zebrał całą siłą woli rozpierzchłą uwagę. Zaczął pilnie nasłuchiwać i z nową jak gdyby mocą zerwał się na nogi.

Nie ulegało żadnej wątpliwości — słyszał głosy i to głosy brzmiące, nie jak mowa krajowców, ale jak Europejczyków. Przezornie zachołgał się aż do zakrętu tropu, gdzie zobaczył polankę a na niej drzewa, obrastające błotnistą rzeczkę. Nad rzeczką stała mała chatka z dachem trawą krytym i otoczona grubej roboty palisadą i bomą z ciernistych gałęzi.

Z tej właśnie chatki dolatywały usłyszane głosy. Teraz wyraźnie było słychać podniesiony, gniewny głos kobiecy i odpowiadający jej głęboki głos męski.

Kraski nie dowierzał swym uszom, gdyż męski głos był głosem zmarłego Estebana Mirandy, a kobiecy — zaginionej Flory Hawkes, którą także uważał za nieżyjącą. Ale Kraski nie wierzył w

zjawiska nadprzyrodzone. Bezcielesne duchy nie potrzebują chat, palisad ani bom cierniowych. Posiadacze tych głosów byli równie żywi i cielesni, jak on sam.

Zapomniał o swej nienawiści i zazdrości o Estebana. Tak był rad, że znajdzie towarzystwo istot podobnych sobie, że pobiegł ku chacie, gdy naraz odezwał się znowu głos kobiety. Wówczas przypomniał sobie swą nagość. Zatrzymał się, rozglądając się dokoła, a po chwili zabrał się do zrywania wysokich, szerokolistnych roślin i z nich upłócił sobie bardzo pierwotną spódniczkę, którą umocował w pasie sznurem, uwitym z tych samych roślin.

Wówczas ze świeżym przyływem pewności siebie ruszył do chaty. Obawiając się, że mogą go nie poznać i wzięwszy za wroga, wystrzelić; zanim wszedł do wnętrza zawołał Estebana po imieniu. Hiszpan wyszedł z chatki, a za nim dziewczyna. Gdyby Kraski nie słyszał jego głosu, byłby go wziął za Małpiego Tarzana, tak wielkie było zadziwiające podobieństwo.

Tamci przypatrywali się dziwaczному zjawisku.

— Czy mnie nie poznajecie? — zapytał Kraski. — Jestem Karol — Karol Kraski. Floro, przecież mnie poznajesz!

— Karol! — zawołała i chciała pobiec do niego, ale Esteban chwycił ją za rękę i zatrzymał na miejscu.

— Co tu robisz, Kraski? — posepnie zapytał Hiszpan.

— Próbuję przedostać się na wybrzeże. Umieram z głodu i utrudzenia.

— Tam jest droga do wybrzeża — rzekł Hiszpan, wskazując na zachód. — Idź dalej, Kraski, tu dla ciebie niezdrowo.

— Czy to znaczy, że odsyłasz mnie, nie udzieliwszy mi odrobiny jadła i wody?

— Woda jest tam — wskazał Esteban na rzekę — a dżungla pełna jest żywności dla kogoś, kto posiada dosyć inteligencji i odwagi, by ją sobie zdobyć.

— Nie wypędzisz go w ten sposób — zawołała Flora. — Nie wyobrażam sobie, byś nawet ty mógł być tak okrutny — po czym zwróciła się do Rosjanina: — Karolu, nie odchodź! Ratuj mnie, ratuj od tego zwierza!

— Usuń się! — zawołał Kraski, a gdy dziewczyna wyrwała się Mirandzie, podniósł automat i wycelował wprost w Hiszpana. Kula chybiła celu. Kraski powtórnie nacisnął cyngiel i znowu bez żadnego wyniku.

Widząc bezużyteczność broni, klnąc rzucił ją na ziemię i spiesznie sięgnął po strzelbę, ale Hiszpan tymczasem cisnął krótką, ciężką włócznią, którą nauczył się doskonale władać. Zanim Kraski zdążył pociągnąć za kurek, ostra włócznia przeszła mu serce. Bez jęku padł martwy u stóp wroga i rywala. Kobieta, którą obaj kochali, każdy na swój egoistyczny i brutalny sposób, rzuciła się na ziemię, łkając, pogrążona w bezdennej rozpacz.

Esteban widząc, że tamten nie żyje, wyciągnął włócznię z trupa i zabrał mu broń i amunicję. Podczas obdzierania zmarłego zauważył mały skórzany woreczek, który Kraski uwiązał sobie w pasie tym samym sznurem, który przytrzymał jego liściaste przykrycie.

Hiszpan pomacał woreczek, ale nie domyślił się co zawiera, przypuszczając, że to naboje. Zaniósł do chaty broń zmarłego i zabrał ze sobą dziewczynę, która płacząc, skuliła się w kąci.

— Biedny Karol! Biedny Karol! — lamentowała. — Ty, zwierzę! — krzyknęła na przypatrującego się jej człowieka.

— Tak — zawołał ze śmiechem — jestem zwierzę. — Jestem Małpi Tarzan, a ten bezczelny Rosjanin ośmielił się nazywać mnie Estebanem. Jestem Tarzan! Jestem Małpi Tarzan! — wrzaskliwie powtarzał. — A kto ośmiela się inaczej mnie nazywać — umiera. Ja im pokażę. Ja im pokażę — zamruczał.

Dziewczyna spojrzała na niego z przerażeniem i zadrżała.

— Szalony! — pomyślała. — Szalony! Boże — sama jedna w dżungli z wariatem! — Istotnie, pod jednym względem Esteban Miranda był obłąkany — obłąkany obłądem artysty, który przeżywa odgrywaną rolę. Esteban Miranda tak długo grał swoją rolę, tak biegle naśladował wspaniały typ, iż wreszcie sam uwierzył, że jest Tarzanem. Zewnętrznym wyglądem mógłby w samej rzeczy wprowadzić w błąd najbliższych przyjaciół Tarzana. Ale te boskie kształty kryły podłe serce i tchórzliwą duszyczkę.

— Chciałby ukraść towarzyszkę Tarzana — mruczał Esteban — Tarzana, Pana Dżungli! Widziałas, jak go zabiłem jednym rzutem włóczni? Czyż mogłabyś kochać niedołęgę, gdy możesz kochać wielkiego Tarzana?

— Nienawidzę cię! — zawołała dziewczyna. — Jesteś po prostu zwierzę. Niżej stoisz od zwierzęcia.

— Będiesz moją, albo niczyją, raczej cię zabiję — odrzekł Hiszpan. — Ale zobaczymy, co miał Rosjanin w skórzanym woreczku. Robi to wrażenie nabożów, którymi można by cały pułk wystrzelać. — Rozwiązał woreczek i rozsypał przypadkiem część zawartości na podłogę.

— Matko Boska! — krzyknął — to diamenty!

— Setki diamentów — szepnęła dziewczyna. — Skąd je mógł dostać?

— Nie wiem i nie dbam o to — odrzekł Esteban. — Moje są — wszystkie są moje. — Floro, jestem bogaty. Jestem bogaty i jeśli będziesz dobra, podzielisz ze mną moje bogactwo.

Flora zmrużyła oczy. W sercu jej obudziła się właściwa jej naturze chciwość, a jednocześnie równie potężna nienawiść do Hiszpana. Na widok tych świecących cacek w głowie skryzalizowało się dawno pielęgnowane postanowienie zamordowania Hiszpana w czasie snu. Przed chwilą przerażała ją myśl pozostania z nim sam na sam w dżungli, ale teraz pragnienie posiadania tej wielkiej fortuny przemogło jej trwogę.

Tarzan, włócząc się po dżungli, znajdował trop różnych band Murzynów z zachodniego wybrzeża i uciekających niewolników zabitych Arabów. Doganiał ich i dopytywał o Luvinię, ale słyszał wciąż tę samą historię. Nikt nie widział Luvinię od owej nocy bitwy i pożaru i wszyscy byli przekonani, że musiał uciec z inną bandą.

Człowiek-małpa tak był przejęty w ciągu ostatnich paru dni swą rozpaczą i poszukiwaniem, że zaniedbał drobniejsze sprawy i nie zauważył braku woreczka z diamentami. Zupełnie zapomniał o nim, gdy jakiś drobny przypadek przywiódł mu go na pamięć. Wówczas spostrzegł się, że nie ma diamentów, ale nie miał pojęcia, kiedy je zgubił ani w jakich okolicznościach.

— To ci szubrawi Europejczycy — przemówił do Jad-bal-ja — to oni musieli je zabrać — i nagle zaogniła się czerwona blizna na jego czole i wezbrał w nim gniew na niewdzięczność i niegodziwość ludzi, którym przyszedł z pomocą. — Pójdź — rzekł do Jad-bal-ja — szukając Luvinię, możemy równie dobrze i tamtych odszukać.

Peebles, Throck i Bluber niedaleko zaszli, gdy podczas południowego postoju ze zdziwieniem zobaczyli zbliżającą się ku nim majestatyczną postać człowieka-małpy z wielkim czarnogrzywym lwem u boku.

Tarzan nie odpowiedział na ich hałaśliwe powitania, tylko w milczeniu stanął przed nimi z założonymi rękami. Twarz jego miała wyraz groźny, oskarżający, który dreszczem strachu przejął tchórzliwe serce Blubera. Obaj Anglicy pobladli.

— Co się stało? — zawołali wszyscy razem. — Co zaszło?

— Przyszedłem po sakiewkę z kamieniami, którąście mi zabrali — rzekł Tarzan spokojnie.

Każdy z trzech kompanów popatrzył podejrzliwie na drugiego.

— Nie rozumiem, co Pan mófi, Panie Tarsan — zamamrotał Bluber, zacierając dłonie. — Ja jestem pefien, sze to jakesz oszóstfo, chiba sze... — rzucił szybkie i podejrzliwe spojrzenie na Peeblesa i Throcka.

— Nie wiem o żadnej sakiewce z kamieniami — powiedział Peebles — ale mogę powiedzieć, że żadnemu Żydowi nie należy dowierzać.

— Żadnemu z was nie dowierzam — rzekł Tarzan — daję wam pięć sekund na zwrócenie mi sakiewki z kamieniami, a jeśli mi jej w ciągu tego czasu nie dostarczycie, to was dokładnie obszukam.

— Ofszem — zawołał Bluber — proszę mnie opszukać, bardzo proszę. Panie Tarzan, są nic na śfiecie nicpym Panu nie sabrał.

— Musi tu być jakieś nieporozumienie. Ani ja nic Panu nie wziętem, ani żaden z nich, pewien jestem tego — gniewnie mruknął Throck.

— Gdzie jest jeszcze jeden? — zapytał Tarzan.

— Kraski? Znikł tej samej nocy, gdy Pan nas przyprowadził do wioski. Od tego czasu go nie widzieliśmy. Ot co, teraz już rozumiem. Nie pojmwaliśmy, dlaczego się ulotnił, a teraz to jasne jak słońce. To on ukradł ten woreczek z kamieniami. Na pewno. Przemyśliwaliśmy, co też mógł ukraść, kiedy znikł, a teraz widzimy jak na dłoni.

— Z pewnością — zawołał Peebles — zrobił to i basta.

— Być może, jednak każę was obszukać — odrzekł Tarzan i wyjaśnił przewodnikowi, o co mu chodziło. Szybko dokonano szczegółowej rewizji osobistej, przetrząśnięto nawet chudy bagaż, ale poszukiwanego przedmiotu nie znaleziono.

Bez jednego słowa Tarzan zawrócił w kierunku dżungli i po chwili znikł w gęstwinie leśnej.

— Boże strzeż Kraskiego! — zawołał Peebles.

— Czego on się czepia o jakiś worek z kamieniami? — odezwał się Throck. — Musi mieć kielbie we łbie.

— Fcale nie kielbie — zawołał Bluber. — F Afryce jest tylko jeten gatunek kamieni, którepy Kraski ukrat i uciek s niemi to tszungli — tjamenty.

Peebles i Throck rozdziawili usta ze zdziwienia.

— A to szelma Rosjanin! — zawołał pierwszy. — Podwójnie nas podszedł i basta!

— Właściwie uratował nam życie — zauważył Throck. — Gdyby ten jegomość małpa znalazł wśród nas Kraskiego i diamenty, wszystkim nam dostałoby się równo. Nie moglibyśmy go przekonać, żeśmy o niczym nie wiedzieli, a Kraski na pewno nie pospieszyłby nas oczyścić.

— Spodziewam się, że przyłapie łotra — z przejęciem zawołał Peebles.

Zamilkli na widok Tarzana, powracającego do obozu. Ale on żadnej na nich nie zwrócił uwagi, a zwrócił się tylko do przewodnika, z którym przez kilka minut rozmawiał, po czym znowu znikł w dżungli.

Stosując się do wskazówek, otrzymanych od przewodnika, Tarzan podążył w kierunku wioski, w której pozostawił czterech Europejczyków pod opieką wodza i z której uciekł Kraski.

Znalazszy się pod bramą wioskową, odszukał trop Kraskiego, prawie zupełnie już zatarty, ale dla jego bystrych zmysłów jeszcze dostrzegalny. Łatwo mu było iść za śladem, gdyż Kraski uporczywie się trzymał głównego tropu, wiodącego na zachód.

Słońce już zniżyło się do szczytu drzew, gdy dotarł do polanki, przeciętej szlamistą rzeczką, nad którą stała mała chatka, otoczona palisadą i ciernistą bomą. Zatrzymał się, nadstawił uszu, wciągnął powietrze w nozdrza, wreszcie, nie sprawiając najlżejszego szmeru, przeszedł przez polankę i

podszedł do chatki. W trawie pod palisadą leżał trup białego człowieka, w którym natychmiast poznał poszukiwanego przez siebie zbiega. Wiedział, że zbyt późnym byłoby obszukiwanie zwłok, gdyż niechybnie sakiewka z diamentami znajdowała się już w posiadaniu tego, kto zamordował Rosjanina. Pobieżne badanie przekonało go, że istotnie diamentów przy trupie nie było.

Wnętrze chaty i jej otoczenie zdradzały niedawną tam bytność mężczyzny i kobiety. Męskie ślady stóp były identyczne ze śladami zabójcy Gobu, wielkiej małpy, i Bary, jelenia. Ale kobieta — kim była? Widocznym było, iż z trudnością się wlokła na obolałych, zmęczonych stopach i że, zamiast trzewików, miała szmaty.

Istotnie, Esteban nie troszczył się o Florę Hawkes, która ledwie się trzymała na okaleczonych i krwawiących stopach.

— Zaczekaj na mnie, Estebanie — prosiła. — Nie opuszczaj mnie. Nie zostawiaj mnie samej jednej w tej strasznej dżungli.

— To dotrzymuj mi kroku — rozzłościł się Hiszpan. — Czy sobie wyobrażasz, że z taką fortuną w ręku będę tu sterczał i czekał, aż ktoś nadejdzie i wydrze mi ją? Ani myślę. Pójdę jak najprędzej na wybrzeże. Jeśli możesz mi nadażyć, tym lepiej, jeśli nie, to już twój kłopot!

— Nie porzucisz mnie tu przecież! Nawet ty nie zdobędziesz się chyba na taki zwierzęcy postępek! Hiszpan roześmiał się.

— Dużo dbam o ciebie! Z tym — wskazał na woreczek z diamentami — mogę o nic i o nikogo nie dbać.

— Esteban, Esteban — zawołała — wróć, wróć. Nie mogę iść dalej. Nie zostawiaj mnie samej, ratuj mnie, błagam. — Śmiech był jedyną odpowiedzią. Na zakręcie drogi Hiszpan znikł jej z oczu. Wyczerpana, bezsilna padła Flora Hawkes na ziemię.

Rozdział XX

Umarli wracają

Tej nocy Esteban rozłożył się samotnie obozem obok tropu leśnego, który wiódł przez wyschłe łożysko rzeki. Nikły strumyczek, ciekący przy brzegu łożyska, ugasił jego pragnienie.

Wiara w to, że jest w rzeczy samej Małpim Tarzanem, opętała go tak dalece, że wlała w niego tyle odwagi, że postanowił przenocować na ziemi bez żadnych sztucznych ochron. Szczęście mu sprzyjało i żaden drapieznik nie wykorzystał jego zuchwalstwa. W czasie gdy przebywała z nim Flora Hawkes, budował zazwyczaj schroniska, ale teraz, gdy ją porzucił i znalazł się sam jeden, uważał, że nie wypada mu robić czegoś tak zniewieściałego, jak chronienie się nawet za ciernistą bomę w ciągu nocy.

Ognisko wszakże rozpalił, gdyż upolował sobie zwierzynę, a nie doszedł jeszcze do tego stopnia dzikości, by mógł wmówić w siebie, że mu smakuje surowe mięso.

Podjadłszy sobie i ugasiwszy pragnienie w strumyku, przykucnął przy ognisku, wyciągnął zza przepaski woreczek z diamentami i wysypał garść klejnotów na dłoń. W migotliwych płomykach ogniska kosztowne kamienie rozsiewały niezrównane blaski, gdy je przesypywał z ręki do ręki, wyczarowując w wyobraźni wszystko to, co może dać człowiekowi olbrzymie bogactwo — władzę, zbytki, piękne kobiety. Z na pół przymkniętymi oczyma marzył o idealnej kobiecie, której zawsze poszukiwał i nigdy nie mógł znaleźć, o kobiecie, godnej zostać towarzyszką takiego człowieka, za jakiego Esteban Miranda siebie uważał. Przez spuszczone rzęsy ujrzał jak gdyby wcielenie przedmiotu swych marzeń — postać kobiecą, odzianą w powiewną białą szatę, która zdawała się unosić nad nim, poza ogniskiem nad brzegiem wyschłego łożyska rzeki.

Zjawisko nie zniknęło. Esteban mocno zamknął oczy, potem przymknął jak poprzednio — zjawisko trwało. Otworzył oczy szeroko, ale postać kobiety w białej szacie nadal nad nim się unosiła.

Esteban Miranda zbladł jak chusta.

— Matko Boska! — krzyknął. — To Flora! Umarła i przysłała mnie straszyć.

Z wolna się podniósł z szeroko rozwartymi oczyma, gdy nagle zjawisko przemówiło miłym, łagodnym głosem.

— Duszo mej duszy, to ty naprawdę!

Esteban zrozumiał, że to ani duch bezcielesny, ani Flora, ale kto to mógł być? Kim była ta piękna zjawa, sama jedna w pustkowiu dzikiej Afryki?

Z wolna schodziła z wybrzeża i zbliżała się ku niemu. Esteban wsypał diamenty do woreczka i ukrył za przepaską. Kobieta szła ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

— Ukochany — zawołała — nie mów, że mnie nie poznajesz. — Była już tak blisko Hiszpana, że widział jej wargi, drżące i miłości i niepokoju. Skoczył ku niej, by przycisnąć ją do piersi.

Tarzan, śledząc trop mężczyzny i kobiety, nie spieszył się, gdyż wiedział, że bez wysiłku dogoni tę parę. Wcale też nie zdziwił się, gdy natknął się na skuloną postać kobiecą, leżącą pośrodku

ścieżki. Ukłął przy niej i położył rękę na jej ramieniu, budząc okrzyk przerażenia. — Boże — zawołała — oto już koniec!

— Nic ci nie grozi — zapewnił ją człowiek-małpa. — Nie zrobię ci nic złego.

Spojrzała na niego. W pierwszej chwili sądziła, że to Esteban.

— Wróciłeś, by mnie ratować Estebanie? — zapytała.

— Esteban! — wykrzyknął. — Nie jestem Esteban. To nie moje imię. — Wówczas poznała go.

— Lord Greystoke! — zawołała. — Czy to Pan naprawdę?

— Tak — odrzekł — a ty kto jesteś?

— Jestem Flora Hawkes. Byłam pokojówką lady Greystoke.

— Przypominam sobie ciebie — rzekł. — Co tu porabiasz?

— Boję się wyznać to Panu, boję się Pańskiego gniewu.

— Mów — rozkazał. — Powinnaś wiedzieć, Floro, że nie mam zwyczaju krzywdzić kobiet.

— Przyszliśmy po złoto ze skarbcza Oparu — wyznała. — Ale o tym Pan już wie.

— Nic o tym nie wiem — odparł. — Czy chcesz powiedzieć, że byłaś z tymi Europejczykami, którzy mnie uśpili i porzucili w swym obozie?

— Tak — rzekła — ale Pan przyszedł ze swymi Waziri i odebrał nam złoto.

— Z żadnymi Waziri nie przychodziłem i nic wam nie odbierałem — rzekł Tarzan. — Nic nie rozumiem.

Spojrzała ze zdumieniem, wiedziała bowiem, że Małpi Tarzan nigdy nie kłamie.

— Zostaliśmy rozdzieleni — mówiła dalej — gdy się nasi ludzie przeciwko nam zbuntowali. Esteban mnie wykradł, a potem niedługo odnalazł nas Kraski. Przyszedł z woreczkiem pełnym diamentów, a Esteban go zabił i zabrał mu diamenty.

Teraz przysła na Tarzana kolej zdumiewania się.

— Czy Esteban to ten człowiek, który jest z tobą? — zapytał.

— Tak — odrzekła — ale on porzucił mnie. Nie mogłam iść dalej na swych obolałych nogach. Poszedł sobie i zostawił mnie tu, bym skonała i wziął ze sobą diamenty.

— Znajdziemy go — oświadczył człowiek-małpa. — Chodź.

— Ale ja nie jestem w stanie iść — rzekła dziewczyna.

— To drobnostka — powiedział i nachyliwszy się wziął ją na plecy.

Z łatwością niósł wycieńczoną dziewczynę.

— Niedaleko stąd jest woda — rzekł — a tobie właśnie wody potrzeba. Powróci ci życie i siły. Może być, że zdołam znaleźć wkrótce pożywienie dla ciebie.

— Dlaczego Pan jest taki dobry dla mnie? — zapytała.

— Bo jesteś kobietą. Nie mógłbym dać ci umrzeć opuszczonej w dżungli, cokolwiek bądź uczyniłaś — odrzekł człowiek-małpa.

Flora Hawkes, wzruszona do głębi, łkając jęła go błagać o przebaczenie za wyrządzoną mu krzywdę.

Zmierzch zapadł, ale Tarzan wciąż dążył naprzód, póki nie dojrzał w oddali blasku ogniska.

— Zdaje mi się, że wkrótce odnajdziemy twego przyjaciela — szepnął. — Zatrzymał się cicho.

Niebawem dosłyszał głosy. Zatrzymał się i opuścił dziewczynę na ziemię.

— Jeśli nie możesz iść sama, zaczekaj tutaj. Nie chcę, by zdążył uciec. Wrócę po ciebie. Jeśli możesz z wolna iść za mną, to zrób to.

Ostrożnie zaczął się podkradać do światła i głosów. Słyszał, że Flora Hawkes idzie za nim, widocznie nie mogła znieść samotności w ciemnej dżungli. Jednocześnie usłyszał cichy szloch. — Jad-bal-ja — szepnął — do nogi. — Wielki lew przypełzał do niego, a Flora Hawkes, ze

zdławionym okrzykiem, nadbiegła i chwyciła ramię Tarzana.

— Cicho — szepnął — Jad-bal-ja nic ci nie robi.

Po chwili wszyscy troje znaleźli się na krawędzi dawnego łożyska rzeki i poprzez wysokie trawy spojrzeli na małe obozowisko poniżej rozbite.

Z najwyższym zdumieniem Tarzan ujrzał swego sobowtóra, stojącego przed ogniskiem i z wolna zbliżającą się z wyciągniętymi ramionami kobietę w powiewnej białej szacie. Usłyszał jej słowa, słowa miłości, słowa pieszczotliwe. Usłyszawszy ten głos i poczuwszy woń, którą mu doniósł lekki wietrzyk, poczuł dziwną mieszaninę uczuć: szczęście, rozpacz, wściekłość, miłość i nienawiść.

Ujrawszy, że człowiek przy ognisku z rozwartymi ramionami kroczył ku kobiecie, by ją wziąć w objęcia, Tarzan wystąpił na brzeg i krzyknął:

— Janino!

Mężczyzna i kobieta odwrócili się i zobaczyli jego postać oblaną blaskiem ogniska. Mężczyzna na ten widok popędził w przeciwnym kierunku do dżungli, a Tarzan zeskoczył na dół i pobiegł do kobiety.

— Janino, to ty, to ty! — zawołał.

Kobietę ogarnęło zdumienie. Obejrzała się za znikającym człowiekiem, popatrzała na Tarzana, palcem potarła się po czole i znów obejrzała się na Estebana. Ale Estebana nie było już widać. Wówczas chwiejnym krokiem podeszła do człowieka-małpy.

— Boże — zawołała — co to ma znaczyć? Kim jesteś, a jeśli jesteś Tarzanem, to kim był tamten?

— Jam jest Tarzan, Janino — rzekł człowiek-małpa. Spozregła zbliżającą się Florę Hawkes.

— Tak — powiedziała — tyś jest Tarzan. Widziałam, jak uciekłeś do dżungli z Florą Hawkes. Nic nie rozumiem, Johnie. Nie mogłam uwierzyć, abyś mógł zrobić coś podobnego, nawet uległszy uderzeniu w głowę.

— Ja uciekłem do dżungli z Florą Hawkes? — zapytał z nieudanym zdumieniem.

— Widziałam na własne oczy — odparła Janina. Człowiek-małpa zwrócił się do Flory. — Nic nie rozumiem — oświadczył.

— To Esteban porwał mnie do dżungli, lady Greystoke — rzekła dziewczyna. — To Esteban, który o mały włos byłby panią znowu w błąd wprowadził. To jest naprawdę lord Greystoke. Tamten był szalbierzem, który mnie porzucił w dżungli na pewną śmierć. Gdyby nie nadszedł lord Greystoke, już bym nie żyła.

Lady Greystoke, chwiejąc się, podeszła do męża.

— Ach, Johnie, wiedziałam, że to nie możesz być ty. Serce mnie ostrzegało, ale oczy mnie oszukały. Prędko — zawołała — trzeba pochwycić tego oszusta. Śpiesz, Johnie, zanim umknie.

— Niech sobie ucieka — odparł człowiek-małpa. — Aczkolwiek chciałbym go złapać i odebrać mu to, co mi ukradł, nie pozostawię cię, Janino, samej w dżungli nawet po to, by go dostać w swe ręce.

— Ale Jad-bal-ja — zawołała — czemu by nie on?

— Ach, zapomniałem — przyznał człowiek-małpa — i zwracając się do lwa, wskazał w kierunku, w którym uciekł Hiszpan. — Weź go, Jad-bal-ja! — zawołał. Jednym susem płowy zwierz rzucił się śladem zwierzyny.

— Czy on go zabije? — zapytała Flora, drgnąwszy, choć w głębi serca rada była sprawiedliwej karze, oczekującej Hiszpana.

— Nie, nie zabije go — odparł Tarzan. — Może go trochę pokąsa, ale, jeśli to możliwe, przyniesie żywego i całego. — Zapominając niemal o losach zbiega, zwrócił się do żony.

— Usula zapewnił mnie, że nie żyjesz. Powiedział, że znalazł twoje spalone zwłoki w wiosce

arabskiej i że je tam pogrzebał. Jakim więc sposobem jesteś żywa i nietknięta? Przetrzaśałem dżunglę, by odnaleźć Luvinię i pomścić twoją śmierć. Może i dobrze się stało, że go nie znalazłem.

— Nigdy byś go nie odnalazła — odparła Janina Clayton — ale nie pojmuję, dlaczego Usula ci powiedział, że znalazł i pochował moje zwłoki.

— Jeńcy opowiedzieli mi, że Luvini zaniósł cię związaną do jednej z chat arabskich w pobliżu bramy i że tam przytwierdził cię do słupa, białego w podłogę izby. Po spaleniu się wioski Usula i inni Waziri wraz z kilku jeńcami powrócili, by cię szukać. Jeńcy wskazali, gdzie stała owa chata i tam znaleźli zwęglone szczątki ludzkie obok słupa, do którego widocznie były przywiązane.

— Ach — zawołała Janina — rozumiem. Luvini związał mi ręce i nogi i przytwierdził mnie do słupa, ale potem mnie rozwiązał. Gdy zaczął się pożar, oszalał i chciał mnie zamknąć w płonącej chacie. Rozpoczęła się między nami walka. Udało mi się wyrwać mu zza pasa nóż, pchnęłam go nim pod lewe ramię: Luvini padł na podłogę i prawie jednocześnie zapaliła się ściana i dach budynku. Byłam prawie naga, bo podczas walki poszarpał mi odzież na strzępy. Na ścianie wisiał ten biały burnus, zapewne własność jednego z zabitych Arabów. Owinęłam się nim i pobiegłam ulicą wioskową. Wszystkie chaty płonęły, a krajowcy puciekali przez bramę. Po prawej ręce miałam część palisady nie objętą jeszcze ogniem. Gdybym uciekała przez bramę do dżungli, wpadłabym w ręce wroga, wdrapałam się więc na palisadę i zeskoczyłam, przez nikogo nie widziana.

— Niełatwo mi było uniknąć spotkania z licznymi grupami zbiegów. Jakiś czas szukałam Waziri, ale przeważnie siedziałam w ukryciu. Siedziałam w rozwidleniu drzewa o jakie pół mili stąd, gdy spostrzegłam to ognisko i nieomal skamieniałam z radości, że jak mi się zdawało, natknęłam się na swego Tarzana.

— A więc to trupa Luvinię, a nie twego, pogrzebali — rzekł Tarzan.

— Tak — potwierdziła Janina. — I to ten człowiek, który właśnie uciekł, porwał Floreę, a nie ty, jak mi się zdawało.

— I to musiał być Esteban — odezwała się nagle Flora Hawkes — który przyszedł z Waziri i ukradł nam złoto.

— Każdego mógłby oszukać, jeśli nawet mnie wprowadził w błąd — rzekła Janina Clayton. — Nie wątpię, że wkrótce poznałabym omyłkę, ale w chwiejnych blaskach ogniska wzięłam go za lorda Greystoke'a, tym bardziej że tak byłam uszczęśliwiona widokiem męża, że z łatwością uwierzyłam w to, w co uwierzyć pragnęłam.

— Nie rozumiem jednak — zauważył człowiek-małpa — jak mógł w biały dzień omamić Usulę.

— A ja rozumiem — oświadczyła Janina. — Powiedział mi, że doznał uderzenia w głowę, co spowodowało częściowy zanik pamięci, wykręt, który tłumaczył różne braki w jego naśladowaniu ciebie.

— Mądry szelma — przyznał człowiek-małpa.

Po upływie godziny poruszyły się trawy na wybrzeżu rzeki i cicho zjawił się Jad-bal-ja. W szczękach trzymał poszarpaną i pokrwawioną skórę lamparcią i złożył ją u stóp swego pana.

Tarzan podniósł przyniesiony przedmiot, obejrzał go i zachmurzył się.

— Podejrzewam, że jednak Jad-bal-ja go zamordował.

— Opierał się prawdopodobnie — rzekła Janina — i Jad-bal-ja, dla samoobrony, musiał go zapewne zabić.

— Czy pani przypuszcza, że go pożarł? — zawołała Flora Ha-wkes, z przerażeniem odsuwając się od zwierzęcia.

— Nie — rzekł Tarzan — nie miał na to czasu. Rankiem pójdziemy za śladem i znajdziemy trupa. Chciałbym odzyskać diamenty. — I opowiedział Janinie dziwne zdarzenie, związane ze zdobyciem

wielkiego majątku w postaci woreczka z kamieniami.

Nazajutrz wyruszyli na poszukiwanie zwłok Estebana. Trop wiódł poprzez gęste zarośla i cienie do brzegu rzeki i tam znikał. Mimo, że człowiek-małpa przeszukał obie strony rzeki na kilka mil w górę i w dół od miejsca, w którym się trop urywał, nie znalazł Hiszpana. Były tylko ślady krwi na drodze, przez niego przebytej, i na trawie nad krawędzią rzeki.

Wreszcie człowiek-małpa powrócił do oczekujących go kobiet.

— Nie istnieje już człowiek, który chciał być Tarzanem — oznajmił.

— Czy sądzisz, że nie żyje? — zapytała Janina.

— Pewien tego jestem — odparł. — Po krwi domyślam się, że Jad-bal-ja go pokąsał, ale udało mu się wyrwać i dostać do rzeki. Ponieważ nie znalazłem nigdzie śladu jego wylądowania, dochodzę do przekonania, że pożarły go krokodyle.

Florą Hawkes znowu wstrząsnął dreszcz.

— To był zły człowiek — rzekła — ale najgorszemu wrogowi nie życzę losu, jaki go spotkał.

Człowiek-małpa wzruszył ramionami.

— Sam ściągnął ten los na siebie i niewątpliwie świat na tym tylko zyskał.

— To moja wina — przyznała się Flora. — To moja niegodziwość sprowadziła tutaj jego i tamtych. Opowiedziałam im to, co słyszałam o skarbach Oparu. Moim było pomysłem wykraść je i wyszukać człowieka, który by mógł udawać lorda Greystoke'a. Przez moją niegodziwość zginęli ludzie i pan, lordzie Greystoke, i żona pana o mało co nie utracili życia. Nie śmiem prosić o przebaczenie.

Janina Clayton położyła rękę na ramieniu dziewczyny.

— Chciwość spowodowała wiele złego na świecie — rzekła — a gdy posiłkuje się zbrodnią, przybiera wówczas najbardziej odrażające kształty i najczęściej niesie w zarodku karę, o czym sama się, Floro, przekonałaś. Co do mnie, wybaczam ci. Przypuszczam, że ta nauczka nie pójdzie w las.

— Ciężko odpokutowałaś swe winy — dodał Tarzan. — Dostatecznie surowo zostałaś ukarana. Zaprowadzimy cię do twych przyjaciół, którzy są w drodze do wybrzeża pod opieką życzliwych mi ludzi. Nie muszą być daleko, bo przypuszczam, że nie są zdolni szybko maszerować, wnosząc po stanie, w jakim ich znalazłem.

Dziewczyna padła na kolana.

— Jak podziękować państwu za tyle dobroci? — rzekła. — Ale wołałabym pozostać w Afryce u pana i u lady Greystoke i pracować dla państwa, by wiernością odkupić wyrządzone zło.

Tarzan spojrzał pytająco na żonę. Lady Greystoke dała znak, że zgadza się na prośbę dziewczyny.

— A więc dobrze — rzekł człowiek-małpa — możesz pozostać, Floro.

— Nigdy państwo tego nie pożałują — zawołała dziewczyna. — Ręce po łokieć sobie dla was urobię.

Trzy dni szli w kierunku domu, gdy naraz Tarzan, idący na przodzie, zatrzymał się i zaczął węszyć, po czym zwrócił się do żony z uśmiechem.

— Moi Waziri są nieposłuszni. Odesłałem ich do domu, a oto idą nam naprzeciw.

Po upływie kilku minut spotkali przednią straż Waziri. Wielka była radość Murzynów na widok pana i pani zdrowych i całych.

Gdy skończyły się powitania i niezliczone pytania i odpowiedzi, Tarzan odezwał się:

— A teraz powiedzcie mi, coście zrobili ze złotem, zabranym z obozu Europejczyków.

— Zakopaliśmy je, o Bwana, tam, gdzie kazałeś — odpowiedział Usula.

— Nie było mnie wówczas z wami, Usulo — rzekł człowiek-małpa. — To był kto inny, kto tak samo oszukiwał lady Greystoke, jak i was — zły człowiek, który tak sprytnie naśladował Małpiego

Tarzana, że nic dziwnego, iż daliście się wprowadzić w błąd.

— A więc to nie Ty powiedziałaś nam, że doznałeś uderzenia w głowę i że nie pamiętasz mowy Waziri? — zapytał Usula.

— To nie ja — zapewnił go Tarzan — gdyż nic mi się w głowę nie stało i doskonale pamiętam mowę swych dzieci.

— Ach — zawołał Usula — więc to nie nasz wielki Bwana uciekł przed Buto, nosorożcem?

Tarzan wybuchnął śmiechem. — Czy tamten uciekł przed Buto?

— Tak — odrzekł Usula — uciekał w wielkim strachu.

— Nie mogę go za to potępić — rzekł Tarzan — gdyż Buto nie jest przyjemnym towarzyszem zabawy.

— Ale nasz wielki Bwana nie byłby przed nim uciekł — dumnie oświadczył Usula.

— Chociaż kto inny, a nie ja ukrył złoto, wyście kopali dół.

Zaprowadź mnie do tego miejsca, Usula.

Waziri zrobili pierwotne, ale wygodne nosze dla kobiet, mimo że Janina Clayton śmiała się z tego pomysłu i częściej szła obok swych tragarzy, niż pozwalala się nieść. Ale Flora Hawkes tak była słaba i wycieńczona, że nie daleko by zdołała zająć, z radością więc powitała Waziri, którzy ją ponieśli bez utrudzenia przez dżunglę.

W doskonałym usposobieniu zdążyło towarzystwo do miejsca, gdzie Esteban kazał zakopać złoto. Doszedłszy do brzegu rzeki, Murzyni zaczęli kopać ze śmiechem i śpiewami, ale niebawem śpiew ustał i śmiech ustąpił wyrazowi zdumienia.

Tarzan przyglądał się im przez chwilę w milczeniu, wreszcie przemówił:

— Musiałeś bardzo głęboko zagrzebać, Usula. Czarny poskrobał się po głowie.

— Nie, wcale nie tak głęboko, Bwana — zawołał. — Nie rozumiem. Powinniśmy już byli dawno znaleźć złoto.

— Czy jesteś pewien, że szukasz we właściwym miejscu? — zapytał Tarzan.

— To to samo miejsce, Bwana — zapewnił go Murzyn — ale złota nie ma. Ktoś je zabrał.

— Znowu Hiszpan — wywnioskował Tarzan. — To był sprytny łotr.

— Ale nie mógł sam go zabrać — rzekł Usula. — Tu było dużo sztab złota.

— Nie, nie mógł — przyznał Tarzan — a jednak nie ma go tu. Tarzan i Murzyni przeszukali starannie dokoła miejsce, w którym złoto było zakopane, ale Owaza tak umiejętnie zatarł ślady, że nawet bystre zmysły człowieka-małpy nie mogły trafić do nowej kryjówki.

— Przepadło — rzekł wreszcie Tarzan — ale postaram się, by się nie wymknęło z Afryki. — Porozsyłałam gońców w różne strony z żądaniem do wodzów zaprzyjaźnionych szczepów, sąsiadujących z moimi posiadłościami, by dali pilne baczenie na safarich, przechodzących przez terytorium i nie przepuszczali nikogo niosącego złoto.

Tej nocy, rozłożywszy się obozem przy tropie, wiodącym do domu, troje białych zasiadło przy ognisku z Jad-bal-ja tuż za Tarzanem, który przyglądał się skórze lamparciej, zdartej przez złotego lwa z Hiszpana. Tarzan zwrócił się do żony:

— Miałaś słuszność, Janino, skarby Oparu nie są mi przeznaczone. Tym razem straciłem nie tylko złoto, ale i bajeczną wprost fortunę w diamentach, narażając się przy tym na utratę najcenniejszego skarbu — Ciebie.

— Mniejsza o złoto i diamenty, Johnie — odrzekła. — Mamy siebie i Koraka.

— I prócz tego zakrwawioną skórę lamparcia — dodał człowiek-małpa — z tajemniczą mapą, krwią na niej wyrysowaną.

Jad-bal-ja obwąchał skórę i polizał jej strzępy — czy to było przewidywanie, czy

przypomnienie?

Rozdział XXI

Ucieczka i uwięzienie

Na widok prawdziwego Tarzana, Esteban Miranda pomknął na oślep do dżungli. Serce zamarło w nim ze strachu. Nie miał żadnego wytkniętego celu. Nie wiedział, dokąd pędzi. Jedyłą jego myślą, jedynym życzeniem było zniknąć z oczu człowieka-małpy. Gnał więc przez gęste zarośla i ciernie, które raniły i rozdzierały mu ciało do tego stopnia, że za każdym krokiem pozostawiał po sobie krwawy ślad. Nad krawędzią rzeki o ciernie zahaczyła się znowu, jak i wielokroć przedtem, cenna skóra lamparcia, o którą mu chodziło w równej mierze, co o życie samo. Ale teraz kolce nie puszczały zdobyczy. Zaczął ją wyszarpywać i w trakcie tego spojrzął poza siebie. Usłyszał szelest wielkiego cielska, przedzierającego się przez zarośla, a po chwili zobaczył dwa gorejące żółtozielone ogniki. Ze stłumionym okrzykiem przerażenia poniechał skóry lamparciej i skoczył do wody.

Gdy czarne tonie zamknęły się nad jego głową, Jad-bal-ja nadbiegł nad brzeg rzeki i zobaczył wodę, zataczającą coraz szersze kręgi w miejscu, w którym znikła jego zwierzyna. Esteban był dobrym pływakiem i nurkując pod powierzchnią, zmierzał do przeciwległego brzegu.

Złoty lew badał przez chwilę powierzchnię rzeki, po czym zawrócił, obwąchał skórę, którą Hiszpan zmuszony był porzucić, pochwycił ją w zęby, wyszarpnął z przytrzymujących ją cierni i zaniósł swemu panu.

Hiszpan, zmuszony wreszcie zaczerpnąć powietrza, wypłynął na powierzchnię wśród splątanej gęstwiny gałęzi i liści. Z początku mniemał, że przyszedł już jego koniec, tak mocno się zaplątał w gałęziach; wreszcie jednak wydobył się na powierzchnię wody i przekonał się, że dostał się pod zwalone drzewo, które płynęło środkiem rzeki. Po wielkich wysiłkach udało mu się wciągnąć na gałęzie, usiąść okrakiem na wielkim pniu i względnie bezpiecznie popłynąć w dół rzeki.

Westchnął z uczuciem ulgi zrozumiałwszy, jak stosunkowo łatwo uniknął słusznej zemsty człowieka-małpy. Opłakiwał wprawdzie utratę skóry z mapą, wskazującą miejsce ukrycia złota, zachował jednak w swym posiadaniu skarb znacznie większy. Myśląc o tym, łapczywie pomacał woreczek z diamentami, przymocowany do przepaski. A jednak wciąż uparcie myśl jego krążyła dokoła sztab złota przy wodospadzie.

— Owaza zabierze je sobie — rozważał. — Nigdy nie dowierzałem temu czarnemu psu, a gdy mnie porzucił, domyśliłem się od razu jego planów.

Przez całą noc Esteban Miranda płynął na wyrwanym drzewie, nie spotykając żywej duszy, i dopiero wczesnym rankiem minął wioskę krajowców.

Była to wioska Obebe, ludożercy. Na widok białego olbrzyma, płynącego na pniu drzewa, śledząca go młoda kobieta podniosła taką wrzawę, że na wybrzeże zbiegła się cała ludność wioski.

— To obcy Bóg — zawołał ktoś.

— To duch rzeczny — rzekł znachor. — To mój przyjaciel. Teraz zaprawdę będziemy łowili

dużo ryb, jeśli dacie mi dziesięcinę z połowu.

— To nie duch rzeczny — ryknął głęboki głos Obebe, ludożercy. — Starzejesz się — zwrócił się do znachora. — Już od dawna twoje leki nie mają żadnej siły, a teraz chcesz mi wmówić, że największy wróg Obebe, to duch rzeczny. To jest Małpi Tarzan. Obebe zna go doskonale.

W samej rzeczy, wszyscy ludożerczy wodzowie dobrze znali Małpiego Tarzana, lękali się go i nienawidzili, gdyż człowiek–małpa zwalczał ich bez wytchnienia.

— To Małpi Tarzan jest w trudnym położeniu. Może uda się nam go pochwycić.

Zwołał swych wojowników i niebawem pół setki młodzieńców pobiegło tropem, równoległym do rzeki. Mile całe towarzyszyli wolno poruszającemu się drzewu, które unosiło Estebana Mirandę. Wreszcie, na zakręcie rzeki drzewo zostało pochwycone przez wir, który zaniósł je pod zwieszające się gałęzie drzew, rosnących tuż nad wybrzeżem.

Głodny i zmarznięty Esteban chętnie opuszczał swój statek i wydostał się na brzeg. Pracowicie wdrapał się na gałęzie drzewa, które mu ofiarowało chwilową przystań, po czym spuścił się po pniu na ziemię, nie domyślając się, że dokoła niego ukrytych było pięćdziesięciu ludożerców.

Oparty o pień drzewa, odpoczywał. Pomacał diamenty i przekonał się, że ma je przy sobie.

— Bądź co bądź, szczęście mi sprzyja — odezwał się głośno. Natychmiast zerwali się czarni i rzucili się na niego. Napad był tak nieoczekiwany, siły były tak przeważające, że Hiszpan nie znalazł sposobności do bronienia się nawet i zanim zrozumiał, co się dzieje, już leżał powalony i mocno związany.

— Mam cię nareszcie, Małpi Tarzanie — zaskrzeczał ludożerca Obebe, ale Esteban, nie rozumiejąc jego słów, nie mógł nic mu odpowiedzieć. Przemawiał do Obebe po angielsku, ale tego języka znowu tamten nie rozumiał.

Jednego tylko był pewien, a mianowicie, że został wzięty do niewoli i że go prowadzą z powrotem w głąb lądu. Gdy znalazł się w wiosce Obebe, powstała tam wielka radość wśród kobiet i dzieci i pozostałych w domu wojowników. Tylko znachor potrząsał głową, krzywił się i przepowiadał jak najgorsze następstwa.

— Pochwyciliście ducha rzecznego — mówił. — Nie uda się nam żaden połów, a niebawem na lud Obebe spadnie ciężka choroba i ludzie będą umierali jak muchy. — Ale Obebe śmiał się z tych przepowiedni. Jako stary człowiek i wielki król, posiadał dużo mądrości, a wraz z mądrością sceptycyzm w sprawach religijnych.

— Śmieję się, śmieję, Obebe — straszyl znachor — niedługo będziesz się śmiał. Poczekasz a zobaczysz.

— Gdy własnymi rękami zamorduję Małpiego Tarzana, zaiste będę się śmiał — odrzekł wódz — a gdy wraz z moimi wojownikami zakosztuję jego serca i mięsa, wówczas, zaprawdę, nie będziemy się już więcej lękali twych demonów.

— Czekaj — gniewnie zawołał znachor — a zobaczysz.

Mocno związanego Hiszpana wrzucili do brudnej chaty, przez której drzwi mógł widzieć przygotowania do wieczornej uczy. Zimny pot wystąpił na czoło Mirandy, gdy przyglądał się tym ponurym przygotowaniom, których znaczenie aż nazbyt wyraźnie wyjaśniały gesty i spojrzenia w jego kierunku rzucane przez mieszkańców wioski.

Godziny, pozostające mu do życia, mógłby już Hiszpan policzyć na dwu palcach jednej ręki, gdy od strony rzeki rozległy się przenikliwe wrzaski, które poruszyły całą wioskę i pchnęły ją ku rzece. Za późno jednak przybyli i zdążyli tylko dojrzeć kobietę, znikającą pod powierzchnią wody, wciągniętą przez wielkiego krokodyla.

— Aha, co ci mówiłem, Obebe? — tryumfował znachor.

— Już duch rzeczny zaczął swą pomstę nad twym ludem. Ciemni wieśniacy, pełni przesądów, ze strachem spoglądali to na znachora, to na wodza. Obebe spochmurniał.

— To Małpi Tarzan — upierał się.

— To duch rzeki, który przybrał na się kształty Małpiego Tarzana — twierdził znachor.

— Przekonamy się — rzekł Obebe. — Jeśli to duch rzeczny, to potrafi wydostać się z naszych więzów, jeśli zaś jest Małpim Tarzanem, nie zdoła. Jeśli to duch rzeczny, to nie umrze śmiercią naturalną, jaką ludzie umierają, ale wiecznie będzie żył. Jeśli zaś to Małpi Tarzan, to umrze pewnego dnia. Zatrzymamy go więc i przekonamy się, czy jest Małpim Tarzanem, czy duchem rzeczny.

— W jaki sposób? — zapytał znachor.

— Bardzo prosty — odrzekł Obebe. — Jeśli pewnego ranka zobaczymy, że znikł, to będziemy wiedzieli, że był to duch rzeczny, a ponieważ nie zrobiliśmy mu żadnej krzywdy, jeno dobrze go karmiliśmy w czasie jego pobytu w naszej wiosce, poweźmie dla nas przyjaźń i nie będzie nam szkodził. Jeśli zaś nie zniknie, to będzie dowód, że jest Małpim Tarzanem, o ile, rozumie się, umrze naturalną śmiercią. Tak więc, jeśli nie ucieknie, będziemy go trzymali aż do śmierci. Wtedy przekonamy się, że to był istotnie Małpi Tarzan.

— A jeśli nie umrze? — zapytał znachor.

— Wówczas — tryumfująco zawołał Obebe — przekonamy się, że ty miałeś słuszność i że to był zaiste duch rzeczny.

Obebe poszedł nakazać kobietom, by zaniósły jadło Hiszpanowi, a tymczasem znachor stał wciąż w tym samym miejscu, drapiąc się po głowie zadumany.

W ten sposób Esteban Miranda, posiadacz najbajeczniejszej fortuny w diamentach, o jakiej świat kiedykolwiek słyszał, został skazany na dożywotnie więzienie w wiosce Obebe, ludożercy.

Tymczasem jego zdradziecki sprzymierzeniec, Owaza, ujrzał z przeciwległego wybrzeża rzeki, jak Tarzan i jego Waziri poszukiwali złota i jak odeszli z niczym. Nazajutrz Owaza wrócił z pięćdziesięcioma najętymi ludźmi, odkopał złoto i ruszył z nim w stronę wybrzeża.

Tej nocy rozbił obóz w pobliżu niewielkiej wioski podrzędnego wodza, niezbyt zasobnego w wojowników. Stary wyga zaprosił Owazę do swej zagrody, nakarmił go i napoił krajowym piwem, a tymczasem jego poddani krążyli wśród ludzi Owazy i zarzucali ich nie kończącymi się pytaniami. Wreszcie prawda wyszła na jaw i stary wódz dowiedział się, że tragarze Owazy dźwigają wielką ilość złota.

Wiadomość ta zmieszała go bardzo, wreszcie, po rozmowie z na pół pijanym Owazą uśmiech przemknął po jego wargach.

— Masz dużo złota ze sobą — rzekł stary wódz — i bardzo jest ono ciężkie. Trudno będzie twoim chłopcom donieść je na wybrzeże.

— Tak — przyznał Owaza — ale dobrze im zapłacę.

— Gdyby nie musieli dźwigać go tak daleko, nie miałbyś potrzeby tak dużo im płacić, nieprawdaż? — zapytał wódz.

— Tak — odrzekł Owaza — ale nie mogę go sprzedać w tych okolicach.

— Wiem o miejscu o dwa dni drogi stąd, gdzie mógłbyś się go pozbyć.

— Gdzie? — zapytał Owaza. — I kto mógłby je tu kupić?

— Jest tu pewien biały człowiek, który dałby ci za nie kawałek papieru, a ty z tym kawałkiem papieru mógłbyś na wybrzeżu otrzymać całą wartość złota.

— Co to za biały człowiek? — zapytał Owaza. — Gdzie on jest?

— To mój przyjaciel — rzekł wódz. — Jeśli chcesz, to jutro rano zaprowadzę cię do niego. Możesz wziąć ze sobą swe złoto i otrzymać kawałek papieru.

— Zgoda — rzekł Owaza — wówczas małą tylko sumkę będę musiał wypłacić tragarzom.

Tragarze bardzo byli radzi, gdy się nazajutrz dowiedzieli, że nie czekała ich daleka droga na wybrzeże, gdyż nawet pokusa sutej zapłaty nie była dość wielka dla przewyciężenia ich niechęci do tak długiej podróży i obawy przed tak znacznym oddaleniem się od domu. Z radością więc wyruszyli w dwudniową drogę w stronę północno-wschodnią. Uradowany był Owaza i stary wódz, który mu osobiście towarzyszył, chociaż Owaza nie domyślił się, dlaczego tamten się cieszył.

Szli już prawie dwa dni, gdy wódz wysłał naprzód jednego ze swych ludzi.

— Zawiadamiam mego przyjaciela — objaśnił — by wyszedł nam naprzeciw i zaprowadził nas do swej wioski.

W kilka godzin później, gdy mała karawana wyłoniła się z dżungli na szeroką, trawą porośłą równinę, ujrzeli spieszący ku nim znaczny zastęp wojowników. Owaza wstrzymał dalszy pochód.

— Co to za jedni? — zapytał.

— To wojownicy mego przyjaciela — odrzekł wódz — a on jest wśród nich, widzisz? — i wskazał na jakąś postać na czele czarnych, którzy klusem nadbiegli, z włóczniami i piórami błyszczącymi w promieniach słońca.

— Idą z wojną, a nie z pokojem — trwożliwie zauważył Owaza.

— To od ciebie samego zależy — odparł wódz.

— Nie rozumiem cię — odrzekł Owaza.

— Zrozumiesz, gdy tylko nadejdzie mój przyjaciel.

Gdy zbliżający się wojownicy podeszli bliżej, Owaza zobaczył na ich czele olbrzymiego białego człowieka — Esteban, jak sądził, którego tak zdradziecko opuścił. Zwrócił się do wodza.

— Oszukałeś mnie! — zawołał.

— Zaczekaj — odrzekł stary wódz — nie zostanie ci odebrane nic, co jest twoją niezaprzeczną własnością.

— To nie jego złoto — zawołał Owaza. — On je ukradł — i wskazał na Tarzana, który zatrzymał się przed nim, ale nie zwracając żadnej na niego uwagi, zwrócił się do wodza.

— Twój goniec przybył i przyniósł wiadomość. Tarzan i jego Waziri przyszli dowiedzieć się, czego sobie życzy stary przyjaciel.

Wódz się uśmiechnął.

— Twój goniec, o Tarzanie, przyszedł do mnie przed czterema dniami, a po upływie dwu dni zjawił się ten człowiek ze swymi tragarzami, niosącymi sztaby złota na wybrzeże. Powiedziałem mu, że mam przyjaciela, który da mu za nie kawałek papieru, ale naturalnie tylko wtedy, jeśli się okaże, że złoto jest własnością

Owazy.

— Dobrześ uczynił, przyjacielu — odparł z uśmiechem człowiek-małpa. — To złoto nie należy do Owazy.

— Ani do ciebie! — zawołał Owaza. — Nie jesteś Małpim Tarzanem. Znam cię. Przyszedłeś z czterema białymi ludźmi i białą kobietą, by ukraść złoto w kraju Tarzana, a potem ukradłeś je własnym przyjaciołom.

Wódz i Waziri wybuchnęli śmiechem. Człowiek-małpa uśmiechnął się spokojnie.

— Tamten był oszustem, Owazo — rzekł — ale ja jestem Małpi Tarzan i dziękuję ci za przyniesienie mi mego złota. Chodź, kilka tylko mil dzieli nas od mego domu — i wezwał Owazę, by skierował swych tragarzy do bungalowu Greystoke'ów. Tam Tarzan nakarmił tragarzy i zapłacił im. Nazajutrz odesłał ich do domów, a wraz z nimi Owazę, nie bez cennego podarku, do którego przydał ostrzeżenie, by czarny nigdy nie ważył się pokazywać w krainie Tarzana.

Gdy wszyscy się oddalili, na werandzie bungalowu pozostali Tarzan, Janina i Korak z Jad-bal-ja, skulonym u ich nóg. Człowiek małpa położył rękę na ramieniu żony.

— Będę musiał cofnąć to, co powiedziałem o skarbach Oparu, że nie są mi przeznaczone. Widzisz przed sobą nowe bogactwo, które samo do mnie przyszło z podziemi Oparu bez żadnego z mojej strony wysiłku.

— Gdyby jeszcze ktoś chciał przynieść twoje diamenty — zaśmiała się Janina.

— Na to nie ma co liczyć — odparł Tarzan. — Niewątpliwie leżą na dnie rzeki Ugogo.

Hen, daleko, na wybrzeżu tejże rzeki, w wiosce ludożercy Obebe, Esteban Miranda leżał w brudnej chacie, pożądliwie spoglądając na bogactwo, którego nigdy nie będzie mógł spożytkować w swym dożywotnim więzieniu, na które skazały go upór i przesąd Obebe.